

MARIUSZ CHROSTEK

**EWOLUCJA WYGNAŃCZEJ PSYCHIKI.  
PRZYCZYNEK DO DUCHOWEGO PORTRETU DZIE-  
WIĘTNASTOWIECZNEGO ZESŁAŃCA**

Spałem i twardom zasnął, lecz nie ciałem.  
Zmysły czuwały; tylko dusza senna,  
Kiedy ją troska objęła codzienna,  
Zwisła ku ziemi skrzydłem ociężałem,  
  
Myślą pozorną, czuciem odrętwiałem,  
[...] Wola zanikła prawie. Twardo spałem.<sup>1</sup>

Stan duszy przypominający głęboki sen, ów letarg umysłu, doświadczony na Syberii i poetycko udokumentowany przez Gustawa Ehrenberga w przywołanych strofach stylizowanego na psalm liryku *Ego dormivi et soporatus sum* – stan tak dobrze znany wielu polskim zesłańcom, o czym sami często przekonują w listach i pamiętnikach – nie od razu stawał się ich udziałem. Apatia i zanik emocjonalnych odruchów stanowiły jeden z dalszych etapów przemian, jakie dokonywały się w psychice więźniów.

Jak powszechnie wiadomo, cierpienia duchowe bywają nieraz bardziej dotkliwe od cierpień fizycznych. Przeżycia skazanych na wieloletnią katorgę potwierdzają tylko słuszność takiego rozumowania: o ile mogli oni dzielnie przetrzymać trudy wielomiesięcznych marszów, mrozy albo upały, brak odpowiedniej odzieży, głód, piekło etapowych noclegów, a nawet bicie – o tyle nigdy nie pogodzili się z utratą ojczyzny, najbliższych sercu osób czy najlepszych lat życia. Wprawdzie już sam moment opuszczenia rodzinnych stron inicjował udrękę zarówno ciała jak i ducha, zaś dalsze wypadki mogły tylko pogłębiać przykre odczucia, jednak z chwilą przybycia na miejsce przeznaczenia wycieńczone organizmy doznawały fizycznej ulgi. Odwrotne procesy nasilały się w umysłach ludzi, którzy z biegiem czasu coraz boleśniej uświadamiali sobie dramat pozbawionej sensu i perspektyw na przyszłość egzystencji.

Na zesłańcą rzeczywistość reagowali rozmaicie – osobiste, niekiedy intymne wynurzenia, adresowane do współtowarzyszy niedoli lub krewnych, także żale i westchnienia rozsiane po dziełach literackich tworzonych na Syberii, ujawniają pełną gamę duchowych przeżyć polskich

---

<sup>1</sup> G. Ehrenberg, *Ego dormivi et soporatus sum* [w:] *Wiersze*, zebrał i opracował A. Zejman, Kraków 1969, s. 62.

wygnañców: od tęsknoty, rezygnacji, poprzez nudę, zubożenie, do nadziei, poszukiwania sensu w codziennej pracy, a nawet do patriotycznych uniesień; od samotności, zagubienia, poczucia poniżenia, przez drażliwość, obłąkanie, samobójstwa, do stanu spokoju, wewnętrznej równowagi, pogody ducha na co dzień. Interesującej próby skreślenia duchowego wizerunku zesłańca podjęli się także niektórzy pisarze krajowi, przeważnie spod znaku romantyzmu.

### **Tęsknota za ojczyzną i niepokój o losy najbliższych**

Uczuciem ogarniającym bodaj wszystkich zesłanych za „przestępstwa” polityczne Polaków, jednym z najboleśniejszych i nieodłącznym aż do szczęśliwego powrotu lub śmierci na wygnaniu, była tęsknota za ojczyzną. Postaci trapione tą chorobą stają się literackimi bohaterami dzieł Juliusza Słowackiego, Aleksandra Fredry czy Marii Rodziewiczówny. Pojawiają się także – nierzadko na zasadzie autokreacji – w syberyjskiej twórczości lirycznej niektórych poetów, np. Karola Balińskiego, Gustawa Zielińskiego, Tomasza Zana, Edwarda Żeligowskiego czy wspomnianego już Gustawa Ehrenberga, zapewniają też karty późniejszych epickich *Szkiców* Adama Szymańskiego.

Przejmującą kreację stworzył autor *Anhellego*. Tytułowy bohater, bez reszty oddany miłości do kraju ojców, nie zawahał się przed największym poświęceniem – gotów był złożyć swoje młode, niewinne życie w ofierze za przyszłość własnego narodu. Jako męczennik, pokornie pogodzony z losem, tylko ciałem pozostawał na Syberii. Jego duch, któremu na chwilę pozwolono poczuć się wolnym, upersonifikowany w postaci pięknego anioła z białymi skrzydłami na ramionach, wyszedł z Anhellego, „poszedł [...] na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe [...]”.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.<sup>2</sup>

Kiedy później dowiedział się od Szamana, co uczyniła jego dusza, będąc wolną, „na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się zaczął płakać mówiąc: Oto chciała powrócić do ojczyzny.”<sup>3</sup>

Biedny zesłańca, nie mając nadziei powrotu, krzepił się myślą, że może przynajmniej po śmierci jego dusza trafi w rodzinne strony. Podobne zapewnienie usłyszał z ust umierającej Ellenai: „Oto ja polecę do krajiny twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.”<sup>4</sup>

Myśl o wiecznym odpoczynku wśród prochów ojców i dziadów stała się na zesłaniu gorącym pragnieniem innego bohatera romantycznej

<sup>2</sup> J. Słowacki, *Anhelli* [w:] *Dzieła wszystkie* pod red. J. Kleinera, tom III, Wrocław 1952, s. 23.

<sup>3</sup> *Ibidem*, s. 23.

<sup>4</sup> *Ibidem*, s. 47.

literatury – Fredrowskiego wygnańca, który roztaczając przed czytelnikiem uroki polskich „wierzby przy drodze”, „chat nędznych” i „borów w nocy”, zwracał się wprost w swoim dzienniku: „ty, który to czytasz, każesz dobyć kości moje, spalić, a popiół weźmiesz i złożysz w mojej rodzinnej ziemi. [...] tam Ojczyzna moja, tam złożysz popiół kości moich, o to cię proszę.”<sup>5</sup> Inną troską nękającą diarystę, dosyć typową zwłaszcza dla tych zesłańców, którym nie pozwolono odbywać kary wspólnie z rodakami, był brak choćby „jakiego słowa w ojczystej mowie”.

Wspomnienia rodzinnych stron zawsze stanowiły dla polskich sybiraków wartość szczególną. Przekonują o tym nie tylko pisarze romantycy. W opublikowanej w 1893 roku powieści *Anima vilis* Maria Rodziewiczówna dowiodła, że na nostalgię cierpieli w nie mniejszym stopniu także represjonowani po powstaniu styczniowym, a choroba duszy trapiła bez różnicy zarówno świeżo przybyłych, jak i zasiedziały od wielu lat na Syberii. Interesująca okazuje się obserwacja zwłaszcza tych ostatnich. Wprawdzie powieściowe postaci krzątają się przede wszystkim około spraw codziennych, zużywając niemal całą energię na zapewnienie sobie godziwego bytu, wydawać by się mogło, bez reszty pochłonięte współczesnymi realiami i na dobre przywykłe do takiego życia – a przecież kiedy w długi zimowy wieczór Walka rozpoczynała gawędę o Polsce, twarze obecnych nabierały rumieńców, piersi falowały... „Gasa fajka doktora, opadały na kolana pracowite ręce panny Marii, Antoni zapominał ognia podniecać, cichł kołowrotek Utowiczowej, i ci ludzie, trzeźwi, oschli, rachunkami i handlem tylko zajęci, stawali się jak dzieci w kraj baśni zaczarowane, jak młodzieńcy, rzeczywistości niepomni.”<sup>6</sup> Opowieści o utraconym kraju wprawiały słuchaczy w stan zapomnienia, swoistej hipnozy, której jednak starano się unikać, jako że pogrążała w jeszcze większą rozpacz.

Przy okazji warto podkreślić trafność literackiego opisu u Rodziewiczówny, skoro autentyczni zesłańcy także nieraz zapewniali we wspomnieniach, że nawet po latach nie przywykną do swego losu. Skazany w 1838 r. za sprawę Szymona Konarskiego Jerzy Brynk donosił pułkownikostwu Bielińskim, jak to z innymi towarzyszami niedoli codziennie znosi niewygody, „paskudne jądło” i „głupie towarzystwo” miejscowych, jak zewnętrznie coraz bardziej zmienia się, ale nie przyzwyczajają: „Już ósmy rok tu jestem, a ile razy zdarzy mi się pić ich herbatę ceglana, tyle razy muszę przechorować.”<sup>7</sup>

Nawet jeżeli ucieczka w marzenia o kraju lat dzieciennych okazywała się balsamem dla wielu zbolełych dusz, to jego kojące skutki bywały zwykle krótkotrwałe. Zdawali sobie z tego sprawę poeci-zesłańcy, a przecież woleli żyć ułudą niż rzeczywistością.

Więc me wspomnienie polotnym,  
Cieszę się samym złudzeniem,

<sup>5</sup> A. Fredro, *Dziennik wygnańca* [w:] *Pisma wszystkie*. Wyd. krytyczne, oprac. S. Pigoń. Tom XIII, część I: *Proza*, Warszawa 1968, s. 46.

<sup>6</sup> M. Rodziewiczówna, *Anima vilis*, Kraków 1989, s. 160.

<sup>7</sup> M. Bielińska, *Dwa pokolenia*, Kraków 1909, s. 135.

A tak, co było istotnym,  
Stało się dzisiaj marzeniem<sup>8</sup>

– wyznawał Tomasz Zan w wierszu *Wygnaniec*. Dla Karola Balińskiego przyjacielem na nieludzkiej ziemi stawał się majowy wietrzyk, kiedy wiał z rodzinnych stron. Miał on wówczas moc nie tylko „zebrać wygnańca łzy”, ale być może przynieść trwałą ulgę, o co cierpiący gorąco zabiegał.

Ach! Ukończ moje katusze!  
Zeszliz sny – wśród snów  
Weź zmęczoną moją duszę,  
Odnieś Bogu znów!<sup>9</sup>

Prośba o wieczny odpoczynek nie dziwi w kontekście innej wypowiedzi poety: „Tęsknota za krajem to ma w sobie najokropniejszego, że jej ani wyśpiewać, ani wypłakać nie można – nic jej ulgi przynieść nie może.”<sup>10</sup> Bezpieczniej zatem było żyć tylko przeszłością i – jak Gustaw Zieliński – pielęgnować w sercu „pamiętki osób, miejsc i chwil przyjemnie kiedyś spędzonych”, zamiast zastanawiać się nad dniem jutrzejszym, gdyż „nadzieja bez ziszczeń nie jest dla serca balsamem, ale trucizną”<sup>11</sup>. Zrozumiał to także zesłany do Wołogdy Apolla Korzeniowski, rozpamiętujący jedynie czasy minione, któremu marzenia o przyszłości zastępowała raczej myśl o śmierci. „Jestem chory na nostalgię – zwierzał się w jednym z listów do Zagórskich. – Nie uwierzycie, jakie to męczące, ale wykurować się nie pragnę. Wolę na nią umrzeć.”<sup>12</sup>

Pełniejsze literackie studium tej choroby zawdzięczamy syberyjskim *Szkicom* Adama Szymańskiego, szczególnie opowiadaniu *Srul z Lubartowa*. Lęk przed śmiercią w obcej ziemi, przed świadomością, że można już nigdy nie zobaczyć ojczystych stron, wywołany udziałem w pogrzebie towarzysza niedoli, chłopca Bałdygi, który do końca marzył o powrocie nad Narew, obudził w uczestnikach obrzędu falę wspomnień. Narastająca i tłumiona od dawna tęsknota znalazła ujście w czasie spotkania tytułowego bohatera, chasydzkiego Żyda, i narratora, polskiego szlachcica. Okazało się wówczas, że ci dwaj tak różni ludzie cierpią na to samo. Wywołane z pamięci obrazy Polski i towarzyszące im łzy wzruszenia nie tylko przyniosły ulgę udręczonym zesłańcom, ale też kazały zapomnieć o dzielących wcześniej barierach narodowościowych, religijnych i społecznych. „[...] niespodziewane takie znalezienie współkolegi cierpienia rozrzewniło mnie wielce [...]: – Więc ty nie myślisz o lu-

<sup>8</sup> T. Zan, *Wygnaniec* [w:] Z. Trojanowiczowa, *Sybir romantyków*, Kraków 1992, s. 185.

<sup>9</sup> K. Baliński, *Do majowego wietrzyka* [w:] idem, *Pisma*, Poznań 1849, s. 10.

<sup>10</sup> Ibidem, s. XV.

<sup>11</sup> List G. Zielińskiego do Z. Aleksandrowej [w:] P. Chmielowski, Wstęp do: G. Zieliński, *Poezje*, tom 1, Toruń 1901, s. 167.

<sup>12</sup> List Apolla Korzeniowskiego do Jana i Gabrieli Zagórskich, Wołogda, 27 czerwca 1862 [w:] J. Jarzębowski, *Mówią ludzie roku 1863. Antologia*, Londyn 1963, s. 244.

dziach, o swej doli ciężkiej [...] lecz tęsknisz do słońca, powietrza, ziemi rodzinnej?... [...] Chcesz, żebym ci je przypomniał.”<sup>13</sup>

Szczególny żal budziła w zesłańcach pamięć o najbliższych, z którymi przyszło się rozstać na długie lata. A przecież wielu z nich opuściło, niekiedy na zawsze, całe rodziny – matki, ojców, rodzeństwo albo własne dzieci. Niemal każdy zostawił w kraju kogoś, kogo kochał i po kim miał powód płakać, stąd też tęsknota za bliskimi – obok nostalgii – należała do uczuć przeżywanych na Syberii najsilniej i najczęściej. Pamiętali o tym także twórcy wielkiej literatury romantycznej, gdy nawiązując do martyrologii Polaków na Wschodzie, czynili swoich bohaterów uczestnikami takich przeżyć.

W *Anhellim* męczennicy jęczą i mówią przez sen: „jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem [...] i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.”<sup>14</sup> Niestety. I po raz kolejny doznają koszmaru. Myśl o rodzinie nie odstępuje tytułowego bohatera nawet w chwili śmierci – w ostatnim widzeniu zdaje się on słyszeć jęk ptaków niebieskich i białych mew, lecących do ojczyzny, by obudzić matkę lub krewnych. Na wieść o stracie syna i brata będą oni „płakać w ciemności z przerażenia”.<sup>15</sup>

Niepokój o losy rodzin, znacząco wpływający na psychikę zesłańców, wynikał z jednej strony z obawy, że pozostawione własnemu losowi nie poradzą sobie, z drugiej zaś – podyktowany był troską o nieprzysparzenie im dodatkowych cierpień z powodu smutnych informacji o własnym położeniu.

Z pierwszą postawą można się spotkać u Fredrowskiego wygnańca. I tym razem zamierzona fikcja literacka nosi wiele cech prawdopodobieństwa, gdy na kartach dziennika bohatera, wśród stale powracającego tematu rodziny, szczególnie wyraźnie rysuje się troska o dwójkę małych dzieci – Karola i Emilkę, które odtąd musi wychowywać samotna Maria. Wprawdzie skoro mają jeszcze matkę, „Bóg nie zostawiłby ich zupełnie sierotami”, jednak „ojca tylko przez ciebie poznają” – żali się do żony.<sup>16</sup> Rozterki zesłańca znajdują wyjątkowo mocne uzasadnienie w XIX-wiecznej polskiej rzeczywistości: gdy dom opuszczał ojciec i mąż, to znaczy głowa rodziny i zarazem jedyny jej żywiciel – a przecież wyroki obejmowały w ogromnej większości właśnie mężczyzn – osierocone kobiety i dzieci, jeżeli nie mogły liczyć na łaskawy chleb u bogatych krewnych, pozostawały często bez środków do życia.

Za przykład drugiej postawy może posłużyć korespondencja młodego Aleksandra Bielińskiego z rodzicami z okresu jego pierwszego ze-

<sup>13</sup> A. Szymański, *Srul z Lubartowa* [w:] A. Kuczyński, *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory. Antologia historyczno-kulturowa*, Wrocław 1993, s. 295.

<sup>14</sup> J. Słowacki, *Anhelli*, op. cit., s. 26.

<sup>15</sup> Por. ibidem, s. 56.

<sup>16</sup> Por. A. Fredro, op. cit., s. 46, 50.

słania w latach 1839-1840. W listach pisanych z Kurganu przebija troska o spokój matki i ojca. Wiedząc, że pozbawieni towarzystwa ukochanego jedynaka pociechę mogą czerpać tylko z wiadomości o nim, stara się koncentrować na pozytywnych aspektach zesłania. Dzięki temu nie pogłębia smutku najbliższych. Donosi zatem, że Kurgan jest całkiem przyjemnym miastem, cieszy się z tanich arbuźów, zapewnia o swoim zdrowiu, bo „klimat jest zdrowy”, przysięga nawet, że „nie doznaje żadnych przykrości, żadnego niebezpieczeństwa”, a jeżeli gdzieś dostrzeżga cierpienia, to dotyczą one raczej jego współtowarzyszy i w ich stronę powinno kierować się współczucie czytelników. Celowo omijając trapiące go problemy, dopytuje się raczej stale o losy rodziców. Nakazuje im dzielnie znosić nieszczęścia, nie poddawać się rozpaczom, gdyż „najmniejszy uszczerbek w Waszym zdrowiu jest okropną karą dla mnie”. Gdzie indziej dodaje: „Uważam, że od czegokolwiek zacznę list mój, zawsze prawie kończę go na pocieszeniu.”<sup>17</sup>

Bez względu jednak na stosowaną w niektórych listach autocenzurę zesłańców pożerała tęsknota za najbliższymi. Dawali jej wyraz w pełnych smutku lirykach – jak Edward Żeligowski, który zapytywał listek pędzony wichrem „z zachodniej strony”:

Czy z ogrodowej może alei  
Niesiesz mi wieści od mojej matki?

Może mi powiesz o ojcu starym,  
O przyjaciółach, braciach, o siostrze...  
Mów, ja zrozumieć – ja słuch wyostrzę.<sup>18</sup>

Brak jakichkolwiek wieści z kraju potęgował niepokój poety.

Niewielką ulgę przynosiło zwierzenie się ze zmartwienia w listach do życzliwych znajomych czy – rzadziej – przyznawanie się do swych rozterek przed samym sobą na kartach dziennika. Niejedną taką notatkę można znaleźć wśród dziennych zapisków Juliana Sabińskiego, na przykład pod datą przypadającą w rocznicę urodzin syna ojciec wyznał, że obchodził je „z sercem uciśnionem i łzami”, czytając wszystko, co o nim napisali krewni, wpatrując się w jego podobiznę i „nie spuszczać oka z tych wyrazów, które rączka jego kreśliła”.<sup>19</sup> Oceniając zaś w innym miejscu dziesięciolecie swojej niewoli, które „bez wątpienia całemu wiekowi wyrówna”, pytał z goryczą:

Bo któż z nas tyle co ja postradał? Żonę – ojca – matkę – dwie siostry – wuja, któregom kochał jak ojca – kilka osób krewnych – a ileż to jeszcze przyjaciół, całą mocą duszy ukochanych, całą siłą nieutulonego żalu oplakiwanych przeze mnie.<sup>20</sup>

<sup>17</sup> Zob. M. Bielińska, op. cit., s. 66, 69, 70, 73, 75.

<sup>18</sup> E. Żeligowski, [*Błądzą w dzikiej pustyni...*] [w:] Z. Trojanowiczowa, op. cit., s. 218.

<sup>19</sup> Zob. J. Glaubicz-Sabiński, *Dziewiętnaście lat wyrwanych z mojego życia, czyli dziennik z mojej niewoli i wygnania od roku 1838 do 1857 włącznie*, t. III, cz. IV (lata 1843-1857), Bibl. Ossolineum, rkps 14465, k. 1352 (250).

<sup>20</sup> Ibidem, k. 1860 (758).

Tomasz Zan uciekał przed tęsknotą w świat wyobrażeń o najbliższych. Nie rozstawał się z nimi ani na chwilę w czasie swojego wieloletniego zesłania – już w 1825 roku zwierzał się z Orenburga w liście do Onufrego Pietraszkiewicza, że zarówno karmił się własnymi wyobrażeniami, jak i był nimi pożerany. Po jedenastu latach zapewniał Helenę i Franciszka Malewskich, że one pozwoliły mu przetrwać czas niewoli, bo chociaż pozbawiony domu, rodziny, przyjaciół, jednak żył tylko dla nich i dzięki nim. „Musiałem sam w sobie stwarzać zewnętrzne i wewnętrzne okoliczności, w których wystawiać ich sobie lubiłem.”<sup>21</sup>

### **Sybirska choroba duszy zaczynała się od nudy, bezsilności i rezygnacji...**

Jakkolwiek tęsknota należała do emocji najsilniej przeżywanych przez zesłańców, nie zamykała przecież bogatej gamy ich doznań duchowych. Sybirska choroba duszy zaczynała się zwykle od nudy i to uczucie – na pozór niegroźne i niezbyt męczące – ogarniało wiele umysłów. Miało też, jak się jeszcze okaże, dalsze, bardziej szkodliwe następstwa.

Przymusowa beczynność, na którą skazanych było wielu osiedleńców, ale też ci spośród pozostających na katordze, którzy nie musieli pracować, wynikała zarówno z poczucia nadaremnie upływającego czasu, jak i niemożności zapewnienia go pożyteczną działalnością. Dla ludzi wykształconych, niegdyś z powodzeniem realizujących się na polu kultury, nauki czy gospodarki, zresztą czynnych patriotów, później pozbawionych na długie lata kontaktu z polską mową, książkami, czasopismami, osadzonych pomiędzy obcymi ludźmi, nie rozumiejącymi ich potrzeb – właściwie każde zajęcie wydawało się pozbawione głębszego sensu. I nie chodzi tu jedynie o nudę pojmowaną jako nadmiar nie zagospodarowanego czasu, ale o monotonię i bezcelowość egzystencji w ogóle, na którą skarżyli się także wygnańcy spędzający czas w pracy.

Zesłańcy wykształceni borykali się z dramatem pozostawania „na dziejów odłogu” – taką pustkę wokół siebie odczuwał zarówno Ignacy Orpiszewski, jako jedyny Polak osadzony w głuchej prowincji w okolicach Jenisejska, jak i mieszkająca pod jednym dachem z polską towarzyszką Józefą Rządewską Ewa Felińska. Tomasz Zan, mimo że potrafił wypełnić każdy dzień pożytecznymi zajęciami, skarżył się przecież w listach do przyjaciół, że bardzo boli go świadomość, iż jest niepotrzebny nikomu.<sup>22</sup> Nawet doktor Antoni Beaupré, mieszkający w Nerczyńsku – prężnej kolonii polskich zesłańców, prowadzący bardzo aktywny tryb ży-

<sup>21</sup> List Tomasza Zana do Franciszka i Heleny Malewskich, Orenburg, 21 stycznia 1836 [w:] *Archiwum filomatów*. Tom II: *Listy z zesłania. Krąg Tomasza Zana, Jana Czczota i Adama Suzina*. Zebrał i oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1999, s. 157. Zob. także: list T. Zana do O. Pietraszkiewicza, Orenburg, 16 grudnia 1825 [w:] *Archiwum Filomatów*. Tom I: *Na zesłaniu*, pod red. Cz. Zgorzelskiego, Wrocław 1973, s. 105.

<sup>22</sup> Zob. Z. Trojanowiczowa, op. cit., s. 42, 43, 63; *Archiwum filomatów*, t. II, oprac. Z. Sudolski, s. 156 (cytowany wcześniej list T. Zana do F. i H. Malewskich).

cia i słynny na całą Syberię dom otwarty dla rodaków, napisał: „Tutaj nie ma treści do pisania listów – jeden dzień tak jest do drugiego podobny, że można z góry naprzód na cały rok program życia ułożyć.”<sup>23</sup>

Monotonia syberyjskich przestrzeni stała się sławna nawet w kręgu naszych krajowych romantyków. Teofil Lenartowicz próbował wczuć się w specyficzną atmosferę życia wśród śnieżnej głuszy:

Wówczas siedzący ludzie nieruchomie  
Wstają, ciekawie nadstawiają ucho,  
A śnieg wciąż sypie, że aż gaśnie płomień  
I na umarłym polu znowu głucho!  
He! he! Przepadło, ren zabeczkał w stepie.<sup>24</sup>

Szczególnie dramatycznie przeżywali swoje położenie więźniowie ze stanów niższych. O ile bowiem wykształceni potrafili wynaleźć sobie różne zajęcia – lekturę, twórczość literacką, pracę naukową, rozmaite intelektualne dyskusje, korepetycje, wreszcie poznawanie życia i obyczajów tubylców – o tyle chłopci czy rzemieślnicy mogli najwyżej wykonywać swój fach (co nie zawsze było możliwe) i wyczekiwać następnego dnia. Chłopom, którzy wcześniej byli związani wyłącznie z własnym domostwem i wsią i nie wyobrażali sobie życia poza nimi, z chwilą zesłania – oderwania ich od korzeni i przetrzucenia na daleką Syberię – zawalił się cały dotychczasowy świat. W nowej rzeczywistości czuli się zagubieni i bezradni, toteż doznawali szoku psychicznego.

Brak perspektyw na lepsze jutro i bezsilność wobec własnego położenia pozbawiał nadziei i w konsekwencji prowadził do rezygnacji, co objawiało się zwykle pogodzeniem z losem. Ten kolejny symptom syberyjskiej choroby zesłańców dostrzegali także (albo trafnie przewidywali) narodowi twórcy romantycznej literatury. I znowu wypadnie nawiązać do Słowackiego i Fredry. W *Anhellim* więźniowie nie mają żadnych złudzeń: „ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekrecie, co je potępił, napisano było: na wieki!...”<sup>25</sup> Nie lepsze samopoczucie wykazuje znajomy wygnaniec: „Dziś nów – wicher ustał – zimno coraz większe, ogień mało grzeje [...] I jutro tak będzie... i pojutrze. Za tydzień, miesiąc, rok żadnej nadziei? – Żadnej!”<sup>26</sup>

Gustaw Zieliński nie musiał przewidywać, czym się objawia upadek ducha zesłańca, podobne rozterki stały się bowiem jego udziałem. Jeżeli wierzyć poetyckiej deklaracji, autor uległ rezygnacji bardzo szybko – już w chwili odjazdu:

Odjeżdżam wesół – bom stracił nadzieję,  
Ostatnie źródło udręczeń człowieka.<sup>27</sup>

<sup>23</sup> Zob. Z. Trojanowiczowa, op. cit., s. 64.

<sup>24</sup> T. Lenartowicz, *Z północy* [w:] Z. Trojanowiczowa, op. cit., s. 250.

<sup>25</sup> J. Słowacki, *Anhelli*, op. cit., s. 26.

<sup>26</sup> A. Fredro, op. cit., s. 44.

<sup>27</sup> G. Zieliński, *Odjazd* [w:] *Kirgiz i inne poezje*, opracował i wstępem poprzedził J. Odrowąż-Pieniążek, Warszawa 1956, s. 53.



Uważna lektura całego tekstu przekonuje jednak, że było inaczej. Ironiczne wyznanie w pierwszych strofach komentują dalsze informacje, m.in. o syberyjskiej codzienności, także idealizacja rodzinnych stron, które zdają się wskazywać na dystans czasowy: autor wspominał moment opuszczenia ojczyzny już jako zesłaniec, z perspektywy wielu dni przeżytych na Syberii – i to tłumaczy jego załamanie.

Literackie świadectwa znajdują szerokie uzasadnienie w syberyjskiej korespondencji i wspomnieniach wielu Polaków. Sam Zieliński potwierdza w listach nastrój, który ujawnił wcześniej w formie lirycznego wyznania. Powiada, że osiągnął stan spokoju i może obojętnie spoglądać w przyszłość, gdyż uwolnił się od nadziei i marzeń. Te ostatnie, niegdyś podobne wielobarwnym wiosennym motyloom, w obecnym „jesiennym” położeniu zachowały ledwie „smutne resztki niedotartych skrzydełek”.<sup>28</sup> U Bronisława Zaleskiego, piszącego ze stepów kirgiskich, pogodzenie się z losem wynika z przeświadczenia o niezmiennej woli Opatrzności, na którą przecież nie mamy wpływu.<sup>29</sup> Podobne wytłumaczenie własnych nieszczęść – bo „tak się podobało doświadczać nas Opatrzności” – stało się źródłem spokoju i rezygnacji dla Onufrego Pietraszkiewicza.<sup>30</sup> Natomiast wieloletnia korespondencja Aleksandra Bielińskiego z rodzicami pozwala obserwować, jak stopniowo, ale nieuchronnie, w miarę poddawania człowieka długotrwałemu wpływowi negatywnych czynników zesłania, zamiera nadzieja nawet w odpornych psychicznie organizmach. O ile z listów pisanych w czasie pierwszego swojego pobytu na Syberii w latach 1839-1840 przebija młodzieńcza wiara, energia i optymizm tego niespełna 22-letniego wygnańca, o tyle ponowny, tym razem znacznie dłuższy pobyt na katordze i osiedleniu w latach 1844-1857 uczynił go znacznie innym człowiekiem. Już w 1850 roku czuje się on przedwcześnie postarzały, a na drugą połowę życia, która mu jeszcze pozostała, spogląda bez entuzjazmu jak na szarą, jednostajną drogę wijącą się wśród bezkresnych stepów może donikąd. Jeżeli wypatrywał jakiejś gwiazdy przewodniej, to stała się ona wątłym światełkiem, które świeci coraz dalej i słabiej...<sup>31</sup>

Oceniając z perspektywy lat „dziwne życie na Syberii”, trafnie podsumował przeobrażenia zesłańczej psychiki Konstanty Wolicki:

Pierwszy rok wygnania był ciągłym oczekiwaniem wolności w marzeniu i na jawie. Z każdą chwilą czekał uwolnienia, każdy brzęk dzwonka pocztowego zdawał się zwiastunem wolności... Potem człowiek zaczyna godzić się z losem, zapomina złudzeń i upatruje sobie już naprzód, gdzie przyjdzie mu złożyć kości swoje w oddaleniu od rodzinnej ziemi, staje się nieczułym i żyje życiem konieczności.<sup>32</sup>

<sup>28</sup> G. Zieliński, *Poezje*, t. I, op. cit., s. 167.

<sup>29</sup> B. Zaleski, *Listy ze stepów kirgiskich i z Syberii*. „Przegląd Poznański” 1851, t. I, s. 299, 300.

<sup>30</sup> List Onufrego Pietraszkiewicza do rodziny, Tobolsk, 5 listopada 1832 [w:] *Archiwum filomatów*. Tom I: *Listy z zesłania. Krag Onufrego Pietraszkiewicza i Cypriana Daszkiewicza*, oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1997, s. 96.

<sup>31</sup> M. Bielińska, op. cit., s. 147, 148.

Utrata nadziei wprawiająca w stan rezygnacji i obojętności wobec wszystkiego – pomimo pozornego spokoju – niekiedy była manifestowana określonym zachowaniem skazanych. Pełniejsze wyobrażenie o takich postawach przynosi literacka kreacja przybyłych na katorgę do kopalni zaliwaczyków (czyli uczestników lub sprzymierzeńców partyzantki Józefa Zaliwskiego), skreślona z epickim talentem przez Marię Konopnicką w noweli *Z 1835 roku*.

W odróżnieniu od przebywających już w Nerczyńsku powstańców listopadowych, nowi przybysze nigdy nie śpiewali, nawet nie rozmawiali ze sobą. „Cichość szła przed nimi [...] spojrzenia osłupiały, jakiś wielki cień smutku upadł na oblicza. [...] Po duszach przewiał cień i chłód, przewiało widmo rozpaczy. [...] Szli, jako się na każą pewną idzie, sami siebie dekretując z góry.”<sup>32</sup> Podobnie wyobrażał sobie idących skazańców Włodzimierz Wolski, który w *Marszu sybirskim* przekonuje, że nawet rozpacz może być stłumiona.

Idziemy śmiało – jak duchy cmentarne,  
Martwi na męki – jak chodzące trupy.  
Kiedy nam w sercach nawet głos rozpaczy  
Już brzmi za cicho przy brzęku kajdanów.<sup>34</sup>

### Odrętwienie umysłu, depresja, nadmierna drażliwość

Doznawane nieszczęścia nie zabijały w zesłańcach politycznych godności i człowieczeństwa, nie wypierały też z pamięci obrazu ojczyzny i najbliższych, co wcześniej zostało wykazane. Prowadziły natomiast do kolejnego, głębszego stadium choroby duszy – do odrętwienia umysłu, apatii, niewrażliwości na bodźce. Powracamy zatem do trafnych obserwacji Gustawa Ehrenberga, sygnalizowanych na początku rozważań:

Spałem i twarodom zasnął, lecz nie ciałem.  
Zmysły czuwały; tylko dusza senna  
[...] Zwisła ku ziemi skrzydłem ocieżałem.<sup>35</sup>

„Czucie odrętwiałe”, wola, która zanikła – oto stan letargu, stan martwoty umysłu, nazywany także „pleśnieniem duszy”, „paraliżem moralnym”, którego w końcu doświadczali zesłańcy – po wcześniejszej fazie nudy, rozpaczy, także kryzysu dotychczasowych wartości, wreszcie utraty nadziei i rezygnacji. To osobliwe położenie przypomina bytowanie między życiem a śmiercią. Skazańcy w zasadzie już nie żyją dla świata, bo nie reagują na jego sygnały, a jeżeli jeszcze coś odczuwają, to tylko ciałem: „twarodom zasnął, lecz nie ciałem”. To znaczy jeszcze żyją w tym sensie, że cierpią.

<sup>32</sup> K. Wolicki, *Wspomnienia z czasów pobytu w Cytadeli warszawskiej i na Syberii*, Lwów 1876, s. 91.

<sup>33</sup> M. Konopnicka, *Nowele*, tom 2, Warszawa 1962, s. 300, 301.

<sup>34</sup> W. Wolski, *Marsz sybirski* [w:] M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928, s. 444.

<sup>35</sup> G. Ehrenberg, *Ego dormivi...* [w:] *Wiersze...*, op. cit., s. 62.

Skarg na podobną, trudną do wyleczenia dolegliwość zachowało się w syberyjskich listach i pamiętnikach bardzo wiele. Ewa Felińska z niejakim zdumieniem odkrywała przed sobą, że nic jej nie jest w stanie poruszyć. „Za każdym uderzeniem piorunu pochylają ku ziemi przerażone czoła – pisała o mieszkańcach Berezowa – widno, że im miłe życie, widno, że mają lękać się o co. Dlaczegoż mnie żadna nie przejmuję trwoga [...] ? Zdaje się, że gdyby słońce i gwiazdy ruszyły ze swych stanowisk i ten dziwny fenomen nie wyprowadziłyby duszy mojej z odrętwienia.”<sup>36</sup> Podobnie Aleksander Bieliński pomimo młodego wieku zobojętniał nawet na wieści z kraju. Ksiądz Krzysztof Szwermicki konstatował, że u ludzi bardzo religijnych, kierujących się przedtem głębokimi uczuciami, „oschłość i nieszczęsna obojętność wciska się do duszy i serca”. Stanisław Półkoźic-Plichta, zesłaniec postyczniowy, po przybyciu na miejsce przeznaczenia nie słyszał, by który z rodaków miał się jakiegos konkretnego zajęcia – „wszyscy jak zahipnotyzowani czekali czegoś nieokreślonego”. Ciekawie ujął swoje odczucia pamiętnikarz Jakub Gordon, który porównywał siebie do żywego trupa: „Wszystkie me funkcje żywotne odbywały się, a nie mogłem powiedzieć, że żyję.”<sup>37</sup>

Nie inaczej określali w listach swoje duchowe doznania filomaci. „Nie potrafię wystawić swojego stanu duszy i nie będę się starał – przekonywał Jan Czeczot Onufrego Pietraszkiewicza i Józefa Zawadzkiego – ale rzucony pomiędzy skały i stopy jestem coś do nich podobny. Wszystko, co się zbliża, co otacza, kamiennym i drewnianym czyni.”<sup>38</sup> Z kolei Tomasz Zan ze stoickim spokojem reagował na wiadomości od przyjaciół, powtarzając, że już nie ma takiej przyjemności, która by go mogła ożywić. „Żyję, abym cierpiał [...]. Niczego, niczego już nie potrzebuję, całe zobojętniałem; niczego, niczego już żądać nie mogę, bo już nie znam, co by mnie nasycić mogło” – wyznawał na kartach wygnańczego dziennika.<sup>39</sup> Skarżył się ponadto w liście Ignacemu Domeyce, że „serce ustawicznie boli” – pomimo wszelkich usiłowań: wyszukiwania coraz to nowych rozrywek, „na których nie zbywa”, kochania „jakimś gorzkim kochaniem”, podziwiania egzotycznych krajobrazów i ludów, urzekających wschodów i zachodów słońca. „Straciłem ducha poetyckiego – powiada – [...] wysiliłem się i osłabiałem [...] A serce moje przecież drży i gore bez przedmiotu, pobudek i celu. [...] Więdniję [!] i gasnę.”<sup>40</sup>

<sup>36</sup> E. Felińska, *Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i Saratowie*, tom 1, Wilno 1852, s. 155.

<sup>37</sup> J. Gordon, *Soldat, czyli sześć lat w Orenburgu i Uralsku*, Lipsk 1865, s. 10. Zob. także: A. Bielińska, *Dwa pokolenia*, s. 95; K., *Z Syberii*, „Przegląd Polski” 1880/1881, t. 3 (59), s. 432 (o K. Szwermickim); S. Półkoźic-Plichta, *Pamiętnik z czasów 1863-1872*, Warszawa-Kraków 1911, s. 100.

<sup>38</sup> List J. Czeczota do O. Pietraszkiewicza i J. Zawadzkiego, Kizyl, 22 października 1825 [w:] *Archiwum filomatów* pod red. Cz. Zgorzelskiego, s. 100.

<sup>39</sup> T. Zan, *Z wygnania. Dziennik z lat 1824-1832*, wyd. M. Dunajówna, Wilno 1929, s. 42, 43. Zob. także list T. Zana do O. Pietraszkiewicza, Orenburg, 16 grudnia 1825 [w:] *Archiwum Filomatów* pod red. Cz. Zgorzelskiego, s. 105.

<sup>40</sup> List T. Zana do I. Domeyki, Orenburg, 25 lipca 1826 [w:] *Archiwum filomatów*, tom 2, oprac. Z. Sudolski, s. 257.

Przejmujące wyznania zesłańców po raz kolejny znalazły swoje odzwierciedlenie na kartach literatury. Wśród tekstów romantycznych na uwagę zasługuje zwłaszcza sugestywna kreacja ostatniego polskiego więźnia „w carskiej pieczarze”, tytułowej postaci poematu Zygmunta Krasińskiego z 1847 roku. Bezimienny męczennik daremnie bronił się przed agonią umysłu i serca.

I mrące myśli tchem woli cucilem,  
By się nie poddać umysłowej śmierci!  
[...] Jak mózg stopniami zsycha i więdnije!  
Serce też – serce do zgonu się skłania –  
Nie pęka zaraz – kostnieje powoli –  
Aż zbezsilnieją w nim wszystkie kochania.<sup>41</sup>

Wyjątkowo celną diagnozę sybirskiej choroby duszy postawiła w powieści *Anima vilis* niespełna pół wieku później Maria Rodziewiczówna. Jej objawy wylicza jedna z bohaterek, która przebywając od dawna na wygnaniu, pomaga nowo przybyłemu w te strony Antoniemu Mrozowickiemu zrozumieć jego dziwne zachowanie. Otóż początkowo ma człowieka ogarniać nieokreślony niepokój i smutek, potem niechęć do jada i niecierpliwość, która sprawia, że nie może on sobie znaleźć nigdzie miejsca i nie potrafi niczym się zająć. Po etapie bezsilnej złości, wewnętrznego buntu i chęci ucieczki przychodzi kolej na znany już stan martwoty umysłu. „Potem następuje kryzys: to bezwładność i bezmysł na otoczenie, na wrażenia zmysłowe. Może duch wtedy odbiega i tam jest, bo ma się w uszach dalekie dźwięki, w nozdrzach dalekie wonie, w oczach widoki nietutejsze. [...] Skoro jednak duch wróci [...] wtedy człowiek tamtego jakby zapomniał. Nigdy nie wspomni, nigdy nie pomyśli [...]. Będzie taki, jak ludzie tu zrodzeni. Uważał pan? Oni się nigdy szczerze nie śmieją, nie bawią, nie szaleją bez wódki.”<sup>42</sup>

W zesłańczym szkicu *Dwie modlitwy* Adam Szymański potwierdza z własnego doświadczenia ten kolejny symptom duchowej choroby: „pacjenci” celowo starają się nie mówić o tym, co dla nich najdroższe, wykazują pozorną obojętność na sprawy ojczyzny i najbliższych. W rzeczywistości jednak dobrze o nich pamiętają i tylko konsekwentnie unikają wszystkiego, co mogłoby pogorszyć ich stan.<sup>43</sup>

Niezależnie od dokonanej w oparciu o liczne przykłady diagnozy, ewolucja zesłańczej psychiki mogła prowadzić także w nieco innym kierunku, wywołując odmienne od opisanych objawy: doznawane cierpienia w połączeniu z uczuciem samotności jednych pogrążały w depresji, u innych powodowały nerwice i rozdrażnienie, a mniej odporni popadali w obłąkanie.

Onufry Pietraszkiewicz długo i dzielnie pocieszający współtowarzyszy własnego losu, po wielu latach sam pilnie potrzebował duchowe-

<sup>41</sup> Z. Krasiński, *Ostatni*, Paryż 1862, s. 7, 8.

<sup>42</sup> M. Rodziewiczówna, op. cit., s. 69, 70.

<sup>43</sup> Zob. A. Szymański, *Szkice*, wstęp i oprac. B. Burdziej, Kraków 1998, s. 306, 307.

go wsparcia. List do Heleny Malewskiej pisany w Tobolsku w 1839 roku ujawnia stan depresyjny nadawcy. Fizycznie zdrowy, nawet utył, przypomina jednak roślinę stepową przykutą do jednego miejsca, rozmawia tylko z własnym cieniem, zaś „myśl wystygła i blada nie używa swoich skrzydełek lekkich, jakiś ciężar popycha, może wieku i starości przedwczesnej, sumą wszystko zawsze w mogile”<sup>44</sup>.

W nie lepszej kondycji znajdowali się inni filomaci, na przykład Tomasza Zana do tego stopnia denerwowali ludzie, że „nie mógł z nimi godziny przetrwać bez przykrości”<sup>45</sup>. Z kolei Jan Czeczot w liście do Pietraszkiewicza przyznawał słuszność Marianowi Piaseckiemu, gdy tamten ganił zesłańców za nieuzasadnione pretensje o drobiazgi, donosząc, co następuje: „jeden o sto mil pisze impertynencje, że mu dziennik nie kupiony; drugi, nie przysławszy pieniędzy, gniewa się, że mu sukna nie posyłają, jak gdyby tu zostawił jakie sumy; trzeci gniewa się, że nie odebrał ballady i nie wie, za kogo panna Wańkowiczowa poszła za męż.”<sup>46</sup> Podobne komunikaty, którymi korespondenci obdzielali się częściej, trafnie obrazują atmosferę panującą wśród wygnańczej gromady. W miarę upływu czasu wszyscy stawali się nadmiernie drażliwi, czemu nieraz towarzyszył znaczny rozstrój nerwowy. Jak zbadała Elżbieta Kaczyńska, „charakterystyczną cechą zachowania się była duża amplituda wahań nastroju – od ludycznej ekscytacji do apatii, od egzaltacji w przyjaźni, uczuciach religijnych, od ckliwości i łzawego sentymentalizmu do zaciętej, ponurej wrogości [...], od brawurowego męstwa do rozpacz i zwierzęcego lęku.”<sup>47</sup> Dlatego w postępowaniu represjonowanych można było niekiedy zauważyć sprzeczności.

### Obłęd i samobójstwa

Daleko groźniejszym zaburzeniem psychiki okazywał się obłęd, na który zapadały jednostki mniej odporne, często wrażliwsze, ale także te, które doświadczone nazbyt okrutnie. Autorzy syberyjskich wspomnień i listów utrwalili niejedną smutną relację, nie pozwalając zapomnieć o swych cierpiących towarzyszach. Wiadomo na przykład, że Ewa Felińska udając się do Berezowa, odwiedziła w Tobolsku w 1839 roku pułkownika Seweryna Krzyżanowskiego, który aresztowany jeszcze w 1826 r. za sprzyjanie rosyjskim dekabrystom i w rezultacie po kilku latach twierdzy zesłany, stopniowo tracił władze umysłowe. Kiedy autorka wspomnień widziała go na kilka miesięcy przed jego śmiercią, przedsta-

<sup>44</sup> List O. Pietraszkiewicza do Heleny z Szymanowskich Malewskiej, Tobolsk, 21 listopada 1839 [w:] *Archiwum filomatów*, tom 1, oprac. Z. Sudolski, s. 113.

<sup>45</sup> List T. Zana do O. Pietraszkiewicza, Uskałyk, 15 września 1828 [w:] *Archiwum Filomatów* pod red. Cz. Zgorzelskiego, s. 140.

<sup>46</sup> List J. Czeczota do O. Pietraszkiewicza, Kizyl, 21 stycznia 1826 [w:] *ibidem*, s. 113.

<sup>47</sup> E. Kaczyńska, *Syberia: największe więzienie świata (1815-1914)*, Warszawa 1991, s. 211.

wiał żalony obraz: mówił z trudem, miał sparaliżowane obie nogi i tylko na chwilę odzyskiwał równowagę psychiczną.<sup>48</sup>

Wiele lat później powstaniec styczniowy Apolinary Świętorzecki, będąc już osiedleńcem, wizytował twierdzę w Wilujsku, odwiedzając tam jako jedyny Polak odbywających katorgę rodaków, wśród których szczególnie przygnębiające wrażenie zrobił na nim Jozafat Ohryzko. Ten przedwcześnie postarzały, przygarbiony mężczyzna na widok gościa nie objawił żadnych żywszych uczuć, nie reagował też na pieniądze przekazywane w imieniu kolonii polskich wygnańców. „– Nic mi już nie trzeba! – przerwał Ohryzko – księga żywota mego już zamknięta... Dajcie mi pokój! [...] Nie wyjdę stąd – nigdy!” Codziennie do wieczora spisywał pamiętniki swojego życia, po czym darł je, a rano rozpoczynał na nowo. Dozorcy więzienni opowiadali, że trzeba było postępować z nim jak z dzieckiem. Po wyjściu z więzienia kryzys psychiczny zesłańca pogłębił się, co rychło doprowadziło do śmierci na obczyźnie.<sup>49</sup>

Literackiej ilustracji obłąkania dostarcza zachowanie bohaterów noweli Konopnickiej. Dotyczy ono, jak już wiadomo z wcześniejszych rozważań, grupy Polaków z partyzantki Zaliwskiego, skazanych na ciężkie roboty do Nerczyńska. Kto uległ głębokiej melancholii, „taki zamyślał się, chudł, czerniał, słowa nie przemówił, dłoni nie uściśnął, za czym w nagłe szaleństwo popadłszy nędźnie żywot kończył. [...] Wariacja i żądza samobójstwa, dwie najstraszliwsze plagi duszy ludzkiej [...] szerzyły się w kopalni jak dżuma.”<sup>50</sup>

Jak widać, zaburzenia psychiczne w zestawieniu z nadmiarem cierpień i brakiem nadziei mogły prowokować tak desperackie decyzje, jak chęć odebrania sobie życia. Zresztą śmierć samobójcza nawet dla niejednego zdrowego Polaka na Syberii stanowiła silną, nie zawsze możliwą do pokonania pokusę ucieczki od rzeczywistości. Obłąkanie ułatwiało tylko jej realizację. Dodatkowo inspirowały do działania konkretne przykłady innych, którzy w samounicestwieniu znaleźli wieczny spokój. Wieści o Konstantym Szokalskim, męczenniku spod Omska, który zapadając coraz bardziej na umyśle, w końcu zastrzelił się, czy o tragicznym epilogu

<sup>48</sup> Zob. E. Felińska, op. cit., s. 42-44.

<sup>49</sup> A. Świętorzecki, *Ze wspomnień wygnańca z 1863 r.* [w:] *Sybir. Obrazy i wspomnienia*, Warszawa 1916, s. 139-143. Por. także: M. Janik, op. cit., s. 374, 426.

<sup>50</sup> M. Konopnicka, op. cit., s. 302, 303.

losów Jana Dobrowolskiego<sup>51</sup> – przekazywane z ust do ust – obiegały szerokim kręgiem Syberię.

Problem świadomego trucia się katorżników w kopalniach, obecny w literaturze romantycznej (w *Anhellim* spożywają „ołów zgniły”) i pozytywistycznej (w *Z 1835 roku* Konopnickiej „rudę jedzą”), pokazuje, że jej twórcy trafnie przeczuwali sytuację wygnańców, mimo że sami nie dzielili ich losów. Kolejnego, nieco innego przykładu dostarcza poezja zesłańcza. Autentyczne wydarzenie (jak zapewnia w przedmowie sam autor) zainspirowało Gustawa Zielińskiego do napisania poematu *Samobójca*. Tytułowy bohater, podobnie jak wcześniej nie znany z imienia młody zesłaniec, odbiera sobie życie. Motywacja takiego czynu nie jest do końca znana – wiadomo tylko o jego samotności i tęsknocie za krajem.<sup>52</sup>

### **Świadomość narodowej misji i myśl o powrocie pomagają trwać...**

Życie Polaków na Syberii nie składało się wyłącznie z tęsknoty, cierpienia i łez. Codzienna egzystencja przynosiła także swoje drobne radości, które dodawały sił do dalszego trwania. Wiele czynników, jak choćby działalność kulturalna, naukowa i gospodarcza czy życie towarzyskie, sprawiało, że zesłańcy mimo wszystko potrafili się cieszyć, a budując się wzajemnie towarzystwem rodaków, przeżyli w dalekim kraju wiele pięknych i niezapomnianych chwil, pamiętanych niekiedy do końca życia. Umieeli sami dzielnie opierać się nieszczęściu i byli w stanie moralnie (choć często i materialnie) dźwigać upadających na duchu bliźnich.

Ważnym czynnikiem pomagającym cierpliwie i z godnością znosić nawet najgorszy los stawało się towarzyszące wielu zesłańcom poczucie spełnianej misji, przeświadczenie o własnym posłannictwie prowadzącym do ulepszenia siebie i innych, jak to poetycko wyraził Kornel Ujejski.

Wygnanie nasze było apostolską  
Misją; tam ludzie stawali się lepsi  
I sercem czulsi, i na duchu krzepi.<sup>53</sup>

<sup>51</sup> Ksawery Szokalski, uczestnik powstania listopadowego, wcielony w styczniu 1832 r. do Korpusu Syberyjskiego, został w 1833 r. aresztowany pod zarzutem organizowania spisku omskiego. W 1837 r. jako jedyny z tzw. pierwszej grupy skazanych (na 6 tysięcy kijów) przeżył egzekucję (dzięki interwencji znajomego lekarza, który przerwał kaźń po 3 tysiącach uderzeń, by dokończyć w późniejszym czasie). Skazany następnie na katorgę zaczął zdradzać lekkie obłąkanie, które z latami miało się pogłębiać (według informacji zesłańców – por. F. Nowiński, *Polacy na Syberii Wschodniej. Zesłańcy polityczni w okresie międzypowstaniowym*, Gdańsk 1995, s. 136). Ostatecznie pod wpływem załamania po nieudanej próbie ucieczki podjętej w 1844 roku zastrzelił się, zabarykadowawszy się wcześniej we własnym domu.

Jan Dobrowolski również został zesłany za udział w powstaniu 1831 r. Katorgę odbywał w Akatui. W 1840 r. powiesił się na pasku przywiązany do drabiny. Prowadzone przez stronę rosyjską śledztwo nie zdołało ujawnić przyczyn desperackiego czynu. Znaleziono jedynie pożegnalną notatkę, zakończoną stwierdzeniem: „lepiej niż żyć w tak haniebnym położeniu, jest uwolnić się od tego”. (Por. F. Nowiński, op. cit., s. 134, 135).

<sup>52</sup> Zob. G. Zieliński, *Kirgiz i inne poezje*, Warszawa 1956, s. 195.

<sup>53</sup> K. Ujejski, *Ustęp z powieści sybirskiej* [w:] Z. Trojanowiczowa, op. cit., s. 245.

Jakub Gieysztor, dzielący wygnańczą niedolę po 1863 roku, dowodził, że dla Polaków słowo „sybirak” powinno mieć takie znaczenie jak dla chrześcijan „męczennik”. „To nie wyznawca, nie apostoł, ale cierpiący prześladowanie za prawdę.” Stąd – jak tłumaczył w pamiętniku – przymusowa wędrówka z zachodu na wschód pozwala odegrać zesłańcom dziejową rolę – niosą oni prawdę innym narodom i zarazem na obcej ziemi całym swoim życiem dają świadectwo tej prawdzie.<sup>54</sup> Zgodnie z intencją autora osiedleńcy rzeczywiście ogromnie przyczynili się na niektórych obszarach do podniesienia poziomu życia miejscowych, zwykle prymitywnych ludów – nie sposób przecież przecenić zasług cywilizacyjnych polskiej diaspory dla mieszkańców Syberii.

Ale misja zesłańców oznaczała coś więcej niż dobry przykład dla otoczenia i pomoc potrzebującym. Cechowała ją wiara, że nikt nie cierpiał na darmo: „cierpieli za Polskę – pisał z Orenburga Bronisław Zaleski – i wolno nam się spodziewać, że ich cierpienia na szali sprawiedliwości Bożej zaważą.”<sup>55</sup>

Być może najpełniejsze ucieleśnienie znalazła syberyjska misja w kreacji *Anhellego*. Ten szlachetny młodzieniec o niewinnej duszy czyni z siebie dobrowolną ofiarę, którą złoży za współczesną sobie, zwaśnioną i zepsutą przez otaczające zło, społeczność wygnańców – po to, by mogło narodzić się nowe pokolenie, zdolne wyzwolić ojczyznę. Podczas wędrówki z Szamanem widzi i rozumie syberyjskie piekło, przeżywa też cierpienia swoje, ale i męczeństwo całej zbiorowości. Nieustannie się doskonali, wyzbywa się wszelkich pobudek osobistych, oczyszcza się wreszcie całkowicie, tak iż uświęca innych, którzy z nim obcuja – na przykład zbrodniarkę i pokutnicę Ellenai. Żyje i umiera, nie przestając myśleć o ojczyźnie i – na chwilę przed śmiercią – również o najbliższych.

Walka o podtrzymanie w sobie polskiego ducha stawała się dla zesłańców nie lada wyzwaniem. Starali się oni podkreślać swój patriotyzm w rozmaity sposób: obchodzili narodowe i religijne święta, nosili narodową odzież i odznaki, pokrzepiali się też przy każdej innej okazji. Bronisław Zaleski donosił z korpusu w Orenburgu, że po odbyciu musztry żołnierze często się schodzili, a wówczas nawet prywatny list od rodziny czy wiadomość z kraju stawały się przedmiotem nie kończących się rozmów. Chociaż nikt nie potrafił przewidzieć, czy powróci, czy też złoży kości na miejscowym cmentarzu, „wątpliwość o przyszłych losach Ojczyzny pewno w żadnym nie powstała umyśle. Mieć zawsze nadzieję wbrew wszelkiej nawet nadziei, to już przeznaczenie i to siła nasza!”<sup>56</sup>

Nadzieja mimo wszelkich przeciwności podnosiła na duchu Józefa Dworzaczka, którego w kazamatach w Wilujsku odwiedził Apolinary

<sup>54</sup> M. Janik, op. cit., s. 345, 346.

<sup>55</sup> B. Zaleski, *Wygnańcy polscy w Orenburgu*. „Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu. Rok 1866”, Paryż 1867, s. 107.

<sup>56</sup> B. Zaleski, op. cit., s. 103.



Świętorzecki. Żywa reakcja więźnia na odwiedziny rodaka, zainteresowanie dołą innych wygnańców i z uporem wyrażana wiara w uwolnienie świadczyły o dobrej kondycji psychicznej młodzieńca. Nawet jeżeli nie było żadnych podstaw do optymizmu, co ze wzruszeniem odnotował pamiętnikarz. „Z bólem patrzyłem na tę walkę sił duchowych i cielesnych. Dworzaczek był blady i mizerny, osłabiony brakiem powietrza i złym odżywianiem się, ale duch jego borykał się jeszcze i nie poddawał się beznadziejnej rozpacz.”<sup>57</sup> Nie przeczuwał biedak zapewne, że wkrótce umrze na suchoty, nie doczekawszy upragnionej wolności.

Myśl o powrocie ocaliła niejednego ducha przed załamaniem, stała się siłą pozwalającą czekać i trwać. Gustawowi Zielińskiemu szczęśliwie towarzyszyła przez cały długi okres zesłania.

Przyszłość nasza jest ciemna, lecz przeczucie wieszczę  
Kiedyś każe chwil lepszych spodziewać się jeszcze:  
A przetrwawszy już próby i ognia, i wody,  
Gdy kiedyś u ojczystej zejdzem się zagrody<sup>58</sup>

– manifestował *W imionniku St[aniśława] D[utkiewicza]*. Z perspektywy czasu umiał się też poeta pokrzepiać innym przeświadczeniem: bez względu na przeżyte lata, poświęcenie i wykonaną pracę – nie dbając o to, czy będzie kiedy nagrodzony, czy też utonie w ludzkiej niepamięci – „dość pociechy wewnętrzne przekonanie, że życie miało swój cel i nie było ową bańką mydlaną, która się w powietrzu w nic rozproszyła.”<sup>59</sup>

Spośród twórców narodowej literatury Zygmunt Krasiński przekonuje, że możliwy jest większy heroizm – ocalenie ducha pomimo braku jakiegokolwiek nadziei, pomimo skrajnej rozpacz. Jego bezimienny bohater skrzywdzony potrójnie, bo nie dość że osadzony w głębokim lochu syberyjskiej twierdzy, w dodatku potraktowany przez własnych rodaków – wyzwolicieli jak kryminalista i wreszcie pozostawiony w więzieniu sam jeden, ulega wprawdzie chwilowej desperacji, bluźni i zadaje sobie rany, jednak w finałowej scenie pogrąża się w modlitwie za wolną Polskę. Romantyczny imperatyw nakazujący zawsze stawiać dobro ojczyzny ponad szczęście osobiste bierze górę nawet w tak skrajnych dla zesłańca okolicznościach.

W bardziej praktyczny sposób hartują się duchowo katorżnicy wykreowani przez Konopnicką. Dotyczy to pierwszej grupy (bo o zaliwszczykach była już mowa), mianowicie byłych powstańców listopadowych. „Co wieczór w ostrogu brzmiały suplikacje – opowiada jeden z nich – co rano w kopalni rozlegały się narodowe pieśni. [...] Jeśli gdzie była wiara w Polskę, to pomiędzy nami.”<sup>60</sup>

<sup>57</sup> *Sybir. Obrazy i wspomnienia*, op. cit., s. 145. Zob. także s. 143-145. Por. M. Janik, op. cit., s. 318.

<sup>58</sup> G. Zieliński, *W imionniku St[aniśława] D[utkiewicza]* [w:] *Kirgiz...*, op. cit., s. 62.

<sup>59</sup> List G. Zielińskiego do O. Pietraszkiewicza, *Iszym*, 29 lipca 1841 [w:] *Archiwum filomatów*, tom 1, oprac. Z. Sudolski, s. 263.

<sup>60</sup> M. Konopnicka, op. cit., s. 299.

Przywołany ponownie tekst wskazuje na kolejny ważny czynnik podtrzymujący narodową tożsamość – na rolę wielkiej polskiej literatury na wygnaniu. Wzruszająca scena, w której katorżnicy otrzymują przemycony niemal cudem z Polski kompletny ręczny odpis *Pana Tadeusza*, i kolejna, gdy głośno odczytują fragmenty eposu, dotyka jednocześnie kilku ważnych kwestii. Pierwsza dotyczy bezgranicznego poświęcenia jednostki dla ogółu potrzebujących rodaków. „Kurierem” okazał się bowiem młody człowiek, który sam pędzony w sołdaty i od siedmiu miesięcy znoszący wszystkie próby drogi przez mękę, dodatkowo cały czas narażał się na śmierć, przemycając zaszyty w podszewce munduru obszerny rękopis: „Siedem miesięcy na piersiach to niosłem... Siedem miesięcy grzało to... karmiło... dawało siły...” Innym zasygnalizowanym przez autorkę problemem są straszliwe represje spadające na posiadaczy zakazanych książek: „chowaj to głębiej niżli duszę w ciele – ostrzega Siewluk. – W Ustkamienogorsku *Wallenroda* znaleźli u Barancewicza... *Zasiekli!*” Interesujące wydaje się także zjawisko kultu Mickiewicza, który „w całej Litwie jest... *Wallenrod... Dziady... Pieśni... teraz Pan Tadeusz*. [...] Emisariusz nad emisariusze. [...] duch mocny, duch wskrzesiciel w Mickiewiczu jest... Litwa i Korona nim żyje... Mąż narodowy jest... wódz... prorok...”<sup>61</sup> – tyle zdołał przekazać zdumionym zesańcom Siewluk, spieszając w dalszą drogę.

Powyższe słowa zapowiadają kwestię kluczową dla całego utworu – wpływ twórczości wieszczka na samych wygnańców. W ostatniej scenie widzimy, jak bohaterowie wzruszonym głosem próbują czytać z rozsypanych kartek. Są tam obecni zarówno ci, którzy się nie poddają, jak i pogrążeni w rozpacz, obojętni na wszystko, nawet bliscy obłąkania. W miarę jak słowa poety składają się w wyobraźni słuchaczy w cudne malowidła – nadniemeńskiej przyrody w Inwokacji, potem wrywkowo zaścianka Dobrzyńskich, wiosny 1812 roku, wreszcie koncertu Jankiela – w serca niešťczęśliwych gwałtownie wraca nadzieja. Oczarowani urokiem kraju lat dziecinnych, przypominający sobie i odnoszący do siebie wszystkie detale jego opisu, stają się niepomni rzeczywistości i przestają kontrolować swoje emocje: płaczą, krzyczą, śmieją się na przemian, ściskają jedni drugim wygolone głowy. Nawet najbardziej dotąd załamani, jak Chodykiewicz, jak Bakiewicz, deklarują swój patriotyzm: „Usta mam zapchane ołowiem, głos zdławiony ciemnicą, ale mówię, wołam, krzyczę: Ojczyzna! Ojczyzna! Ojczyzna! I bodaj mi język przyschnął do podniebienia, jak się kłął Jeremiasz, jeśli kiedy wołać i mówić przestanę! Dość tego szaleństwa! Tej strupieszności! Tego samobójstwa! [...] Precz z tym wszystkim, co zabija ducha!”<sup>62</sup> Mickiewicz wyrwał ich z martwoty, odrętwienia, ocalił ducha, a być może i niejedno życie, które rychło mogłoby znaleźć finał w akcie samobójczym. Mickiewicz wskrzesił ich na nowo.

<sup>61</sup> Ibidem, s. 318-319.

<sup>62</sup> Ibidem, s. 322.

O tym, jak wielkim duchowym orężem stawała się dla Polaków na Syberii narodowa literatura romantyczna, przekonują wspomnienia niejakiego Sabatowicza, zesłanego przed I wojną światową. Opublikował je w 1935 roku pod znamienym tytułem „*Anhelli*” – księga naszej Golgoty i zmartwychwstania. Gloryfikacja moralnego męczeństwa, tak mocno akcentowana przez Słowackiego, była skazanym bliska, sankcjonowała bowiem cierpienie, nadając sens wygnańczej egzystencji.

„Dla przetrwania tych bolesnych dni oczekiwania na Sybirze trzeba nam było jakiejś ideologii, która by naszą bezużyteczność otoczyła nimbem, a Słowacki w *Anhellim* ideę ofiarnictwa postawił tak wysoko, że przyjąwszy ją na swój rachunek mogliśmy wobec samych siebie chodzić w przedziwnej chwale spełnionego posłannictwa.”<sup>63</sup>

Zdaniem autora przynosił też *Anhelli* trafną ocenę zbiorowości, gdyż każdy sybirak mógł tam odnaleźć siebie.

### Aktywne życie i solidarność w nieszczęściu

Nie tylko sprawy wzniosłe, jak świadomość apostołskiej misji, pozwalały katorżnikom trwać – życie na zesłaniu tworzyły przede wszystkim przyziemne zajęcia. Absorbowała codzienna krzątania, podtrzymywała na duchu wykonywana praca i powszednie obowiązki, jak choćby przygotowywanie posiłków, sprzątanie, palenie w piecu. Często dochodziły do tego zajęcia umysłowe. Socjalista Stefan Juszczyński dzięki temu, że stale był czymś zajęty, „nie miał czasu na tęsknotę”<sup>64</sup>. Stanisław Pilat przekazał, że jedną z metod, którą umacniano kondycję psychiczną wcielonych do korpusu kaukaskiego, była nałożona przez zgromadzenie powinność „nieustawiania w ćwiczeniach umysłowych”. W praktyce każdy miał obowiązek coś czytać, choćby nawet z braku lepszej literatury książki rosyjskie, każdy też przynosił na wieczorne zebrania jakiś napisany przez siebie tekst – w miarę intelektualnych możliwości mogły to być streszczenia lektur, ale też samodzielna twórczość prozatorska lub poetycka. Niekiedy zdarzały się wprawki o charakterze naukowym. Wszystkie „wypracowania” poddawano wspólnej dyskusji.<sup>65</sup>

Syberyjskie losy Adolfa Januszkiewicza mogłyby posłużyć za kolejny przykład człowieka, który z godną podziwu konsekwencją nie poddawał się nostalgii. Starał się prowadzić aktywne, interesujące życie, wypełnione troską o dom i ogród, utrzymywaniem regularnej korespondencji z krajem oraz z przyjaciółmi na zesłaniu. Ponadto pracował, dużo czytał, wyruszał na polowania, a w późniejszym okresie poświęcił się poznawaniu i pomaganiu Kirgizom, którzy stali się jego największą radością.

Warto wreszcie wskazać na jedność w nieszczęściu i gotowość niesienia pomocy jako ważne czynniki podtrzymujące odporność psychiczną

<sup>63</sup> M. Sabatowicz, „*Anhelli*” – księga naszej Golgoty i zmartwychwstania. „Sybirak” 1935, nr 4, s. 25, 26.

<sup>64</sup> S. Juszczyński, *Z pobytu w Tunce*. „Niepodległość” 1931, t. 4, s. 183.

<sup>65</sup> Zob. S. Pilat, *Ustęp z pamiętników* [w:] *Album lwowskie 1862*, s. 131.

ną. Ciekawego materiału może pod tym względem dostarczyć korespondencja związana z osobą Aleksandra Bielińskiego z czasu jego drugiego pobytu na zesłaniu.<sup>66</sup> Ponieważ sam jako katorżnik nie miał prawa pisać listów, wyręczały go różne osoby, informując rodziców o położeniu jedyńca. Wiele inicjatywy przejawiały także pozostające w Polsce rodziny innych wygnańców, które za pośrednictwem poczty od własnych dzieci dowiadywały się trochę o Olesiu. Zadziwia przy tym postawa nadawców wobec obcych sobie adresatów: zarówno troska o rzetelność i częstotliwość przekazywanych wiadomości, jak też liczne słowa pociechy i współczucia. Oto pogrążony w cierpieniu mecenas Lewicki, któremu zabrano dwóch synów, donosił o szczegółach związanych z Bielińskim, a mianowicie, że zdrowy, w dobrym nastroju, zmienił mieszkanie itp. Z Syberii pisywał do pułkownikostwa Michał Gruszecki. Także Antonilla Roszkowska opisywała domek i ogród pana Aleksandra, jego codzienne zajęcia, zapewniała o jego pogodzie ducha, ale też o wielkiej tęsknocie za domem. Bardzo pochlebnie wypowiadał się Jerzy Brynk, który po uwolnieniu Roszkowskiej dzielnie ją zastępował w przekazywaniu listów. Pamiętał o starych Bielińskich Antoni Wałęcki.

Maria Bielińska, krewna i zarazem autorka wspomnień o Aleksandrze, opatrzyła ten fenomen dobroci i życzliwości prostym stwierdzeniem: „wtedy ludzie dotknięci nieszczęściem, a spora ich liczba była w Polsce, stanowili jakby jedną wielką rodzinę, pocieszającą się w smutku i w żałobie. Znajomi lub nieznajomi uważali za swój obowiązek, o ile mieli jakiegokolwiek wiadomości o zesłańcach, przysyłać je natychmiast rodzinom, których owe wiadomości dotyczyły.”<sup>67</sup>

To niby takie oczywiste, a jednak chlubnie świadczące o mentalności dawnych Polaków.

### **Wewnętrzna równowaga i pogoda ducha**

Jeszcze jeden element kształtujący psychikę niektórych zesłańców trzeba wymienić. Trudne warunki przyspieszają wewnętrzne dojrzewanie młodych, a długotrwałe ich oddziaływanie pozwala wypracować stan wewnętrznej równowagi, który w rezultacie prowadzi do spokoju ducha. Sam Bieliński przyznawał, że życiowe wypadki tym są dla duszy, czym słońce dla rośliny – „im silniej dogrzewa, tym prędsza wegetacja”. Szybko też nauczył się cierpliwości i nieulegania emocjom bez względu na okoliczności, a po latach doszedł do stanu wewnętrznej harmonii – „jedynego szczęścia w moim położeniu.”<sup>68</sup>

---

<sup>66</sup> Zob. M. Bielińska, *Dwa pokolenia*, Kraków 1909, s. 118-146 (szczególnie przytoczone obszernie fragmenty listów: Lewickiego – s. 118, 119; Gruszeckiego – s. 121, 122; Roszkowskiej – s. 125, 126 oraz 130, 131; Brynka – s. 135-143; Wałęckiego – s. 145, 146).

<sup>67</sup> Ibidem, s. 118.

<sup>68</sup> Zob. ibidem, s. 164.

Stąd już tylko krok do umiejętności zachowywania pogody ducha na co dzień. Na przykład Ewa Felińska, gdy w końcu uporowała się z apatią, była kontenta z kwatery „bardzo przyjemnej”, „bardzo czystej”, z gospodarzy „bardzo dobrych, poczciwych”, czuła się syta, wypoczęta, niezależna. Cieszyły ją drobiazgi, fascynowało zjawisko zorzy polarnej, lubiła miejscowych mieszkańców, dla których była uczynna i życzliwa. I tylko komary wieczorami stanowiły pewien problem.

Podobnie wspomnienia Eugeniusza Żmijewskiego<sup>69</sup> cechuje bardzo pogodny klimat. Nie ma w nich obrazów męczeństwa, zaś zesłańcze realia zostały odsunięte na daleki plan. Autor w oparciu o własne przeżycia lansuje typ Polaka, który zawsze i wszędzie jest zaradny i przedsiębiorczy. Nie potrzeba dodatkowo przekonywać, na ile taki stosunek do rzeczywistości ułatwiał przetrwanie niewoli. Zdobywali się wszakże na taką postawę jedynie nieliczni.

Na podstawie dokonanego opisu częściej spotykanych stanów emocjonalnych towarzyszących Polakom na Syberii nie sposób jeszcze wyprowadzić jakiegoś modelu przeżywania wspólnego wszystkim lub przynajmniej większości zesłańców. Jak widać, ich reakcje bywały bardzo rozmaite, biegunowo różne – od skrajnej rozpaczliwej obłąkaniem i samobójstwem włącznie do codziennej pogody ducha. Już choćby dlatego niemożliwe staje się jakiegokolwiek ujednoczenie postaw. Należy ponadto pamiętać, że wizerunek duchowy wygnańca kształtowany jest przez wiele czynników zewnętrznych i wewnętrznych, które w każdym indywidualnym przypadku mogą się okazać inne – zależy zatem między innymi od miejsca przeznaczenia, długości odbywanej kary, izolacji lub towarzystwa rodaków, nastawienia personelu nadzorującego, statusu społecznego i materialnego, ale także od wieku i zdrowia skazanego. Zależy też od odporności psychicznej każdego człowieka. Nietrudno zauważyć, że mimo wszystko u większości dominuje smutek i tęsknota za ojczyzną i bliskimi, nie wyczerpują one przecież bogatej gamy duchowych doznań polskich sybiraków.

---

<sup>69</sup> Chodzi przede wszystkim o *Sceny z życia koczowniczego*, tom 1-2, Warszawa 1859.

WALERY SKUBNIEWSKI (BARNAUL)

---

## DOM HANDLOWY

### „A. F. POKLEWSKIEGO-KOZIEŁŁA NASTĘPCY”

Osoba Alfonsa Poklewskiego-Koziella budzi żywe zainteresowanie wśród badaczy polskiej diaspory w Rosji. Pisał już o nim Michał Janik, podkreślając, że A. Poklewski-Koziell był liczącym się przedsiębiorcą, właścicielem zakładów metalurgicznych, gorzelnii, zajmował się wydobyciem złota i handlem, zatrudniając przy tym wielu polskich zesłańców. Autor zwraca szczególną uwagę na jego działalność dobroczynną, wspieranie zesłańców-uczestników powstania styczniowego.<sup>1</sup> A. Poklewski-Koziell często wspomniany jest również w pracach współczesnych polskich autorów, jak np. przez wielce zasłużonego dla badań nad dziejami Polaków na Syberii A. Kuczyńskiego i in.<sup>2</sup> Wiele nowych danych o Poklewskich ujrzało światło dzienne dzięki rosyjskim badaczom, E. Biriukowowi, T. Mosunowej, S. Fielowi, A. Mariupolskiemu.<sup>3</sup> S. Fiel zgromadził unikatowe eksponaty, w tym fotografie, dotyczące rodziny Poklewskich i ich działalności na Syberii, dla Muzeum Polskiego Zesłania w Tiumeniu.<sup>4</sup> J. Biriukow i A. Mariupolskij zajmują się bardziej działalnością gospodarczą A. Poklewskiego, natomiast T. Mosunowa i S. Fiel – dobroczynną.

W historiografii rosyjskiej okresu poradzieckiego dynastie przedsiębiorców stały się przedmiotem szczególnego zainteresowania, czego wcześniej nie było. Szczególnie intensywnie bada się środowiska moskiewskiego kupiectwa i petersburskiej burżuazji. I choć Poklewscy byli przedsiębiorcami na skalę krajową, mimo to w opracowaniach ogólnorosyjskich raczej się o nich nie wspomina.<sup>5</sup>

---

<sup>1</sup> M. Janik, *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków 1928, s. 289.

<sup>2</sup> A. Kuczyński, *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory. Antologia historyczno-kulturowa*, Warszawa-Wrocław 1995.

<sup>3</sup> J. Biriukow, *Pitejnyje koroli Urala*, „Byłoje”, 1996, nr 1-2, s. 12; T. Mosunowa, *Alfons Koziell-Poklewski i jego firma*, „Wrocławskie Studia Wschodnie”, 2000, nr 4, s. 49-63; S. G. Fiel, *Gubernskie rimsko-katoličeskije hramy Tobolska (1847-2000 gg)*, Tiumen 2000; A. M. Mariupolskij, *Častnoje predprinimatelstvo v vinokurenii i vinotorgovle Tobolskoj gubernii w 60-je gg. XIX v. (na primere Tovariščestva Poklevskogo-Kozell)*, [w:] *Predprinimatelstvo v Sibiri; Materiały konferencji*, Barnaul 1994, s. 75-79.

<sup>4</sup> S. Fiel, *Znaczenie Muzeum Polacy w kraju Tiumeńskim w odrodzeniu świadomości narodowej*, [w:] *Polonia syberyjska: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Materiały Międzynarodowej Konferencji Naukowo-Praktycznej. Tomsk, 20-23 maja 1999 r.*, Tomsk 1999, s. 49-52.

Zarówno polscy jak i rosyjscy autorzy, w których polu widzenia znalazła się rodzina Poklewskich, więcej uwagi poświęcają osobie Alfonsa Fomicza, mniej jego następcom. My uważamy za konieczne zwrócić uwagę również na komercyjną działalność jego następców, która została w o wiele mniejszym stopniu zbadana i przedstawiona w literaturze. W tym celu sięgniemy do szeregu publikacji informacyjnych dotyczących statystyki fabryk i zakładów, które zawierają wykazy przedsiębiorstw przemysłowych z podaniem właścicieli, wielkości produkcji, liczby robotników itd.<sup>6</sup>

Jak wiadomo, Alfons Fomicz zmarł w roku 1890, pozostawiając swoim synom Wincentemu, Stanisławowi i Iwanowi ogromny majątek w kwocie 4 mln rub. Majątek nieruchomy wyceniony został na sumę 1,6 mln rub., w jego skład wchodziło mienie w 17 miastach, w tym w Jekaterynburgu, Szadrińsku, Tiumeniu, Tobolsku, Omsku i in., oraz w 10 wsiach, w tym w Talicy w powiecie kamyszłowskim w guberni permskiej, gdzie znajdowały się duże gorzelnie i browary Poklewskich. A. Poklewskiego nazywano „królem wódki” – był największym na Uralu producentem spirytusu – ponad 850 tys. wiader i 260 tys. wiader piwa.<sup>7</sup> Gorzelnia w Paduńsku w guberni tobolskiej również zaliczana była do największych zakładów. Sieć gospód Poklewskiego rozciągała się od guberni wiackiej na zachodzie do Altaju na wschodzie, a na północy do miasta Wiernyj (potem Ałma-Ata, obecnie Ałmaty w Kazachstanie). Wspomnieć należy o doskonałej opinii produktów firmy. Były one prezentowane na Wszechrosyjskiej Wystawie Przemysłowej w Moskwie w 1882 r. i Syberyjsko-Uraleskiej Naukowo-Przemysłowej Wystawie w 1887 r. w Jekaterynburgu.<sup>8</sup>

Oprócz tego do A. Poklewskiego należały zakłady metalurgiczne w Chołunicy w guberni wiackiej, funkcjonujące na „prawie posesoryjnym”. Oznaczało to, iż mimo że zakłady stanowiły własność prywatną, ziemia, na której stały oraz lasy na ziemi wokół zakładów pozostawały własnością państwa. Jeśli zakłady te nie pracowały przez okres 3 lat, państwo miało prawo odebrać je prywatnemu właścicielowi i przekazać pod zarząd państwowy.<sup>9</sup>

Synowie Alfonsa Poklewskiego, Wincenty, Stanisław i Jan(Iwan) założyli w 1890 roku Dom Handlowy „A. F. Poklewskiego-Koziełła Następcy”, który został zarejestrowany jednocześnie w dwóch miastach – Jekaterynburgu i Tiumeniu. Kapitał trwały spółki wynosił 420 tys. rubli.

<sup>5</sup> Na przykład: M. N. Baryšnikov, *Delovoj mir Rossiji: istoriko-biografičeskij spravočnik*, S.- Petersburg 1998.

<sup>6</sup> *Perečen' fabrik i zavodov*, S.- Petersburg 1897, *Fabrično-zavodskije predprijatija Rossijskoj imperii*, „Petrograf” 1914

<sup>7</sup> J. Biriukov, op. cit.

<sup>8</sup> S. Fiel, op. cit.

<sup>9</sup> M. P. Viatkin, *Gornozavodskoj Ural v 1900-1917 gg*, Moskwa - Leningrad 1965, s. 20.

Działalność Domu Handlowego w Jekaterynburgu określona została następująco: „wydobycie złota, działalność hutnicza i handel winami”, a w Tiumentiu – „gorzelnie i handel przedmiotami ich produkcji”.<sup>10</sup>

W 1898 r. Jan wycofał się z działalności Domu Handlowego i bracia musieli wypłacić mu gotówką 240 tys. rub.<sup>11</sup> Oddali mu również zakłady metalurgiczne w Chołunicy. W 1896 r. na Wszechrosyjskiej Wystawie Przemysłowej i Sztuk Pięknych w Niżnim Nowgorodzie zakłady te zdobyły złoty medal za udoskonalenie produkcji wielkopiecowej i wysoką jakość żelaza.<sup>12</sup> Ale w roku 1902 Jan Poklewski stał się niewypłacalnym dłużnikiem i zakłady przeszły pod zarząd masy upadłościowej, tj. faktycznie przekazane zostały Skarbowi Państwa.<sup>13</sup> Wielu badaczy wykazuje, że Jan był złym handlowcem (w przeciwieństwie do Wincentego), miał skłonność do alkoholu, większość czasu spędzał nie w zakładach, a za granicą.<sup>14</sup> Z drugiej zaś strony wiadomo, że na początku XX w. hutnictwo uralskie przeżywało kryzys, który osiągnął swoje apogeum w roku 1903. Nie było popytu na metale i niektórzy właściciele sprzedawali jego zapasy nawet poniżej kosztów produkcji, ponosząc straty.<sup>15</sup>

W „Raporcie Departamentu Górnictwa za rok 1909” jako właścicieli zakładów metalurgicznych w Chołunicy wymienia się następców A. Poklewskiego. W tym roku wydobyto 1 227 360 pudów rudy żelaza, wytopiono ponad 700 tys. pudów surówki, 552,6 tys. pudów żelaza i stali, 19 tys. pudów żeliwa.<sup>16</sup> Ale był to ostatni rok pracy zakładów metalurgicznych w Chołunicy, ponieważ po roku 1909 przerwały one produkcję.<sup>17</sup>

Synom A. Poklewskiego przyszło zajmować się gorzelnictwem i handlem napojami alkoholowymi w zupełnie nowych warunkach. Rzecz w tym, że ich ojciec zajmował się produkcją wódki i spirytusu w warunkach systemu akcyzowego. Został on wprowadzony w Rosji w 1863 r. i oznaczał swobodę w produkcji i zbycie napojów alkoholowych. System akcyzowy wzbudził żywe zainteresowanie przedsiębiorców tą dziedziną handlu. Na przełomie XIX-XX w. w Rosji został wprowadzony państwowy monopol alkoholowy. Oznaczało to, że odtąd prywatni producenci nie mogli już produkować wódki, a jedynie spirytus, który zobowiązani byli zdawać do państwowych oczyszczalni spirytusu, tak zwanych magazynów gorzelnianych. W efekcie wiele prywatnych gorzeln zostało wte-

<sup>10</sup> *Svedenija o targowych domach, dejstvjuščich v Rossii v 1892 godu*, S. Petersburg 1893, s. 113, 209.

<sup>11</sup> Archiwum Państwowe Obwodu Tiumeńskiego F.1.Op.1.D.36.L.7, 37 ob.

<sup>12</sup> *Vserossijskaja promyšlennaja i chudożestvonnaja vystavka 1896 g. v Niżnem Novgorode*, S.-Petersburg 1897, s. 70.

<sup>13</sup> *Rossija. Polnoje geografičeskoje opisanije našego otečstva*, pod red. V. P. Semenova-Tian-Šanskogo, tom 5: *Ural i Priuralje*. S.-Petersburg 1914. s. 573.

<sup>14</sup> J. Biriukov, op. cit.

<sup>15</sup> M. P. Viatkin, op. cit.

<sup>16</sup> *Otčet Gornogo departamenta za 1909.g.*, S.-Petersburg 1911, s. 394, 409.

<sup>17</sup> *Fabrično-zavodskije predprijatija Rossijskoj imperii*, Piotrogród 1914.



dy zamkniętych. Wódkę sprzedawać mogło tylko państwo. W guberniach uralskich reformę tę przeprowadzono w 1895 r., a na Syberii Zachodniej – w 1902 r. Oczywiście, reforma ta odbiła się na interesach Domu Handlowego następców A. Poklewskiego, prowadząc do zmniejszenia dochodów firmy.

Według danych za rok 1897 Dom Handlowy „A.F. Poklewskiego-Kozięła Następcy” posiadał na Uralu i Syberii Zachodniej 13 zakładów przemysłu przetwórczego, których wartość produkcji wynosiła 940 tys. rub., a zatrudnienie – 724 robotników.<sup>18</sup> Ale nie jest to pełny wykaz. Na przykład, źródło to nie uwzględnia wytwórni wódek w Omsku, która była, co prawda, niewielkim zakładem. W roku 1897 pracowało w niej 4 robotników, a wartość produkcji wynosiła 20 tys. rub.<sup>19</sup>

Spośród zarejestrowanych zakładów 9 znajdowało się w guberni permskiej, po 2 w orenburskiej i tobolskiej. W 9 zakładach produkowano lub oczyszczano spirytus. Można uznać, że produkcja spirytusu była pod koniec XIX w. głównym kierunkiem działalności Domu Handlowego Poklewskich. W niektórych zakładach oprócz spirytusu wytwarzano sód, mąkę, a w Talicy znajdowały się również warsztaty naprawcze (zapewne do napraw wyposażenia zakładów). Sądząc po wartości produkcji i liczbie robotników, zakłady w Talicy w guberni permskiej (w liczbie 2) były duże: wartość produkcji 257,9 tys. rub. przy zatrudnionych 267 robotnikach. Duży zakład był też w Szadryńsku w guberni permskiej (127,9 tys. rub., 90 robotników). Do innych zakładów tej grupy należały: we wsi Demarino w powiecie troickim w guberni orenburskiej (produkcja spirytusu, siodu i mąki) z 73,6 tys. rub., 86 robotników, gorzelnia w Paduńsku w guberni tobolskiej (89,9 tys. rub. i 62 robotników). Dom Handlowy posiadał 2 browary: w Talicy w guberni permskiej (74,7 tys. rub., 32 robotników) i w Wierchnieuralsku w guberni orenburskiej, którą zarządzali wspólnie z Domem Handlowym „Bracia Pokrowscy”. Huta szkła następców Poklewskich znajdowała się w powiecie krasnufimskim w guberni permskiej. Produkowano w niej butelki, naczynia, szyby okienne na kwotę 53,4 tys. rub., przy zatrudnieniu 62 robotników. Większość zakładów wyposażonych było w silniki parowe, rzadziej wodne, łącznie 22 silniki parowe o mocy 275 koni mechanicznych i 6 wodnych o mocy ponad 20 koni mechanicznych, w niektórych zakładach były również pompy parowe.

Nie jesteśmy w posiadaniu danych o sieci placówek handlowych Domu Handlowego następców Poklewskich, ale fragmentaryczne wiadomości z tego zakresu mówią o dużej skali sprzedaży. Na przykład, w roku 1897 na Syberii Zachodniej w posiadaniu Domu Handlowego znaj-

<sup>18</sup> Wyliczono wg: *Perečen fabrik i zavodov*. S.-Petersburg 1897.

<sup>19</sup> Centralne Archiwum Państwowe Republiki Kazachstan. F.393, Op.1, D.42, L.40.

dowało się 8 hurtowni alkoholu, w tym w guberni tobołskiej 6, w guberni tomskiej i Omsku w obwodzie akmołińskim – po jednej.<sup>20</sup>

**Tabela 1**  
**Zakłady przemysłowe Domu Handlowego**  
**„A. F. Poklewskiego-Koziella Następcy” w przeddzień I wojny światowej**

Nazwa zakładu	Siedziba (gubernia)	Rok założenia	Wielkość produkcji	Ilość robotników
Kopalnie w Błagodacku, wydobycie złota	permska		25 pudów	1200
Kopalnia złota, wydobycie złota	orenburska		1 pud 17 funtów	230
Kopalnie i huta miedzi w Błagodacku	permska		Wydobyto 651192 pudy rudy, wytopiono 17500 pudów miedzi	1012
Kopalnie azbestu	permska		300 tys. pudów azbestu	1135
Huta szkła w Sarsińsku	permska	1861	200 tys. rub.	300
Huta szkła w Jektarsku	permska	1895	300 tys. rub.	440
Gorzelnia i zakład rektyfikacji nr 14 w Isiecku	permska	1864	200 tys. rub.	130
Gorzelnia i zakład rektyfikacji w Talicach	permska		300 tys. rub.	
Drożdźownia i gorzelnia nr 2 w Talicach	permska	1885	Spirytus na kwotę 680 tys. rub.; drożdże na kwotę 200 tys. rub.	40
Drożdźownia i gorzelnia	obwód akmołiński, Omsk	1907	85 tys. rub.	30
Browar w Talicach	permska	1882	400 tys. rub.	70
Gorzelnia w Paduńsku	tobolska	1863	8 mln stopni	40
2 tartaki	permska			

Źródło: *Fabryki i zakłady Imperium Rosyjskiego (z wyjątkiem Finlandii)*, Piotrogód, 1914.

W samym tylko Jekaterynburgu w roku 1909 były 22 punkty detalicznej sprzedaży napojów alkoholowych.<sup>21</sup>

Firma następców Poklewskiego przeszła przez etap reorganizacji przemysłu gorzelnianego, związany z wprowadzeniem monopolu państwowego na sprzedaż wódki, o czym świadczy skala produkcji na początku XX w. Przykładowo, zakład w Talicy osiągnął produkcję 950 tys. wiader spirytusu, 160 tys. wiader piwa i 12 tys. pudów drożdży przy zatrudnieniu 350 robotników.<sup>22</sup> W Omsku w 1907 roku Dom Handlowy za-

<sup>20</sup> A. M. Mariupolskij, *Vinokurenije i vinotargovla Zapadnoj Sibiri v period dejstvija akciznoj systemy (1863-1902 gg.)*, Barnaul 2000, s. 151.

<sup>21</sup> J. V. Bajda, *Kommerčeskije spravocnyje izdanija kak istočnik po istorii razvitiia uralskogo rynku v načale XX.w.*, [w:] *Istočniki po socjalno-ekonomičeskoj istorii Urala dooktiabrskogo perioda*, Jekaterynburg 1992, s. 117.

<sup>22</sup> *Rossija. Polnoje geografičeskoje opisanije našego otečstva*, tom 5, s.440.

łożył nową gorzelnię z kapitałem trwałym 150 tys. rub., której roczna produkcja (dane z roku 1908) wyniosła 85 tys. rub., i w której zatrudnionych było 30 robotników.

Jednak działalność handlowa Wincentego i jego syna Władysława nie ograniczała się tylko do wymienionych dziedzin. Wincenty wchodził w skład Rady Banku Wołosko-Kamskiego, którego zarząd miał siedzibę w Petersburgu.<sup>23</sup> Jego syn Władysław był członkiem Zarządu Górno-Uralskiej Spółki Wydobywania Złota, obok księcia W. M. Dołgorukiego, hrabiego I.L. Tołstoja, I.M. Barkowa. Siedziba zarządu tej spółki znajdowała się w Moskwie, spółka została założona w 1903 r., a jej kapitał trwały wynosił 400 tys. rub. Powołano ją w celu wydobywania złota na Uralu.<sup>24</sup>

W przeddzień I wojny światowej Dom Handlowy „A. F. Poklewskiego-Koziella Następcy” był liczącą się spółką w takich dziedzinach przemysłu, jak wydobywanie złota, azbestu, wytop miedzi, produkcja spirytusu, piwa, szkła (patrz tabela 1).

Jak wynika z danych tabeli 1, Dom Handlowy Poklewscy w przeddzień I wojny światowej wydobywał rocznie ponad 26 pudów złota, zatrudniając 1430 robotników, 300 tys. pudów azbestu, przy zatrudnionych 1335 robotnikach, w kopalniach złota i hucie miedzi zatrudnionych było 1012 robotników, 2 huty szkła wytwarzały produkcję wartości 500 tys. rub., przy zatrudnionych 740 robotnikach, 6 gorzeln i drożdżowni (nie licząc gorzeln w Paduńsku) wytwarzało produkcję wartości 1,5 mln rubli, browar – wartości 400 tys. rub. Ponadto do spółki należały dwa tartaki, ale w źródłach brak na ich temat dokładnych danych. Ogólna liczba robotników zatrudnionych w zakładach należących do Domu Handlowego wynosiła 5 tys. osób, moc silników parowych i elektrycznych – ponad 1600 koni mechanicznych (nie są to jednak pełne dane). Stopień zaopatrzenia w energię przedsiębiorstw należących do Poklewskich znacząco wzrósł w porównaniu z końcem XIX w. (w 1897 r. – tylko 275 koni mechanicznych). L.W. Sapogovskaja podkreśla, że pod względem produkcji azbestu Dom Handlowy następców A. Poklewskiego zajął na Uralu 2 miejsce, jego udział w roku 1895 stanowił 36% produkcji azbestu na Uralu, a w roku 1910 – 21,5%.<sup>25</sup> Wskaźniki liczby zatrudnionych robotników, wielkości produkcji, mocy silników w zakładach pozwalają zaliczyć Dom Handlowy „A. F. Poklewskiego-Koziella Następcy” nie tylko do największych firm na Uralu i Syberii, ale i podnieść go do rangi firmy o skali ogólnorosyjskiej. Tak więc następcy Alfonsa Fomicza (zwłaszcza Wincenty i jego syn Władysław) z powodzeniem kontynuowali dzieło swojego ojca i dziadka, zajmując się przedsiębiorczością. Stanisław, jak wiadomo,

<sup>23</sup> M. N. Baryšnikov, *Delovoj mir Rossii: istoriko-biografičeskij spravocnik*, S.-Petersburg 1998, s.97.

<sup>24</sup> *Akcijonerno-pajevyje predprijatija Rossii*, S. Petersburg 1914, s. 69.

<sup>25</sup> L. V. Sapogovskaja, *Gornozavodskaja promyšlennost Urala na rubeže XI-X-XX vv. (k charakterystike processov monopolizacji)*, Jekaterynburg 1993, s. 103.

wybrał karierę dyplomatyczną. Potomkowie Alfonsa Poklewskiego kontynuowali także tradycje mecenatu i opieki nad wychodźcami z Polski, zatrudniając ich między innymi w swoich przedsiębiorstwach. Na przykład po roku 1910 gorzelnią w Talicy zarządzał K. Doboszyński, kierownikiem działu technicznego był W. Jaźwiński, a gorzelnią i drożdżownią w Omsku zarządzał J. Korwin-Krukowski.<sup>26</sup>

---

<sup>26</sup> Patrz: *Fabrično-zavodskije predprijatija Possijskoj imperii*, Piotrogród 1914.



**JURIJ M. GONCZAROW (BARNAUL)**

## **POLSKA RODZINA NA SYBERII W DRUGIEJ POŁOWIE XIX I NA POCZĄTKU XX WIEKU**

Mimo dużej liczby prac poświęconych historii Polaków na Syberii, badacze nie poruszyli wszystkich aspektów syberyjsko-polskiej historii. Nie ma między innymi prac poświęconych polskim rodzinom. Zbadanie tego tematu ma jednak duże znaczenie i przyciąga uwagę naukowców różnych specjalności. Badacze zauważali, że

małżeństwo i rodzina stanowią instytucje społeczne, w których odzwierciedla się charakter procesów demograficznych (...) i poprzez które czynniki społeczno-ekonomiczne wywierają wpływ na procesy demograficzne.<sup>1</sup>

W literaturze odnotowywano, że istnieje wyraźne etnoregionalne zróżnicowanie większości parametrów dotyczących rodziny: wieku zawierania związków małżeńskich, liczby ślubnych i nieślubnych dzieci, częstości rozwodów, wielkości, struktury i składu pokoleniowego związków rodzinnych.<sup>2</sup>

W XIX wieku większość Polaków trafiała na Syberię na skutek zesłania. Masowo wysiedlano Polaków po powstaniu 1863 roku. Oprócz znaczącej liczby szlachty wśród zesłańców było dużo ludzi niższych stanów. Na Syberii zarówno ich, jak i szlachtę pozbawioną majątku sprowadzano do rangi państwowych chłopów, obciążano podatkami i przyznawano zasiłek na urządzenie gospodarstwa. Szlachtę, która została zesłana bez pozbawienia praw majątkowych, osiedlano tymczasowo. Część ludzi stanu szlacheckiego wróciła do kraju w latach 1868-1878. Ludzi prostego stanu zsyłano „na osiedlenie”. Przywożono ich dużymi partiami i umieszczano wraz z rodzinami w już istniejących osiedlach. Od 1865 do 1867 roku z Królestwa Polskiego i Kraju Zachodniego regularnie napływały partie zesłańców liczące ponad tysiąc osób.<sup>3</sup> Według obliczeń historyków tylko na Zachodnią Syberię w latach 60. XIX wieku zesłano około

---

<sup>1</sup> *Brak i siemja. Diemograficzeskij aspekt*, Moskwa 1975, s. 3.

<sup>2</sup> O.D. Komarowa, *Diemograficzeskije aspekty izuczenija siemji*, [w:] *Siemja: tradicii i sowriemiennost'*, Moskwa 1990, s. 240.

<sup>3</sup> J.W. Karich, *Mieżetniczeskije odnoszenija w Zapadnoj Sibiri w processie jejo chozajstwiennogo oswojenija XIX – naczala XX w.*, Tomsk 2004, s. 55-56.

20 tysięcy Polaków.<sup>4</sup> W 1883 roku uzyskali oni akt łaski od cara i część z nich powróciła do kraju.<sup>5</sup>

Według danych spisu powszechnego z 1897 roku tylko na Zachodniej Syberii mieszkało 13.294 Polaków, z czego w guberni tobolskiej 5.963, w guberni tomskiej 6.328, w okręgu omskim 949.<sup>6</sup> Ogółem na Syberii i na Dalekim Wschodzie według oficjalnych danych mieszkało 29,5 tysiąca Polaków<sup>7</sup>.

Na skutek represji politycznych końca XIX i początku XX wieku na Syberię przybywały nowe partie polskich zesłańców politycznych. W południowych okręgach Zachodniej Syberii osiedlano głównie osoby zesłane w trybie administracyjnym, a w północnych (okręgach turyńskim i bieriozowskim w guberni tobolskiej oraz w Kraju Narymskim w guberni tomskiej) oraz we Wschodniej Syberii tzw. ssylnoposieleńców.<sup>8</sup> W okresie tym wzrosła również liczba polskich dobrowolnych przesiedleńców, a także urzędników, lekarzy, wojskowych, czyli osób, które przyjeżdżały na Syberię z obowiązku służbowego lub dla kariery.

Po osiedleniu na odległych terenach rosyjskiego imperium Polacy aktywnie włączali się w życie gospodarcze i kulturalne tego regionu. Stopniowo na Syberii zaczynały powstawać kościoły katolickie<sup>9</sup> oraz instytucje oświatowe przy parafiach katolickich<sup>10</sup>. Zesłańcy, którzy trafili tu na długie lata, próbowali żyć pełnią życia – tu żenili się, rodzili i wychowywali dzieci.

Przy badaniu stosunków rodzinnych i małżeńskich ciekawa okazuje się relacja płci różnych narodowości. Wśród zesłanych uczestników ruchu narodowowyzwoleńczego kobiety pojawiają się rzadko. Na przykład O.N. Szulbajew, charakteryzując skład Polaków zesłanych do okręgu minusińskiego za rok 1867, odnotowuje, że „liczebność stanu uprzywilejowanego wynosi 165 mężczyzn i 1 kobieta, nieuprzywilejowanego – 73 mężczyzn i 1 kobieta”. Przy tym ogółem „w informacjach o liczbie przestępców pań-

<sup>4</sup> N.P. Mitina, *Wo głubinie sibirskich rud*, Moskwa 1966, s. 13.

<sup>5</sup> I.W. Nam, *Formirowanije etnodispersionnych grupp w sostawie nasilenija Sibiri w XIX – naczale XX wieka*, [w:] *Amierikanskij i sibirskij frontir*, Tomsk 1997, s. 186.

<sup>6</sup> *Pierwaja wsieobszczaja pieriepis` nasilenija Rossijskoj Impierii 1897 g.*, t. 78, *Tobolskaja gubernija*, Sankt Petersburg 1905, s. 76-77; t. 79, *Tomskaja gubernija*, Sankt Petersburg 1904, s. X; t. 81: *Akmolinskaja oblast`*, Sankt Petersburg 1904.

<sup>7</sup> W.A. Skubniewski, *Polacy na Syberii w świetle materiałospisu powszechnego z 1897 r.*, [w:] „Wrocławskie Studia Wschodnie”, 1999, nr 3, s. 75-76.

<sup>8</sup> L.K. Ostrowskij, *Czislennost`, sostaw i razmieszczenije polskich politiceskich ssylnych w Sibiri (sieriedina 90-yh godow XIX wieka – 1917 god)*, [w:] *Socjalno-ekonomiczeskije odnoszenija i klassowaja bor`ba w Sibiri dooktiabr`skogo pierioda*, Nowosybirsk 1987, s. 143-146.

<sup>9</sup> R.W. Oplakanskaja, *Iz istorii formirowanija Tomskogo rimsko-katoliczeskogo prichoda wo wtoroj czetwierti XIX wieka*, [w:] *Woprosy istorii Sibiri XX wieka*, zeszyt 5, Nowosybirsk 2001, s. 24-37.

<sup>10</sup> T.G. Titowa, *Katoliczeskije uczebnyje zawiedienija w Zapadnoj Sibiri (koniec XIX – naczalo XX wieka)*, [w:] *Moja Sibir`. Woprosy regionalnoj istorii i istoriczeskogo obrazowanija*, Nowosybirsk 2002, s. 53-64.

stwowych, wysłanych w trybie administracyjnym z powodu niełojalności politycznej, wśród zesłańców politycznych wysiedlonych w związku z byłą sprawą polską odnotowano 823 mężczyzn i 5 kobiet”.<sup>11</sup> Kobiety częściej pojawiają się w spisach osób, które dobrowolnie przyjechały na zesłanie do swoich mężów. Dla tych kobiet już sama podróż do miejsca zesłania małżonka była czynem prawdziwie bohaterskim.<sup>12</sup>

**Tabela 1**  
Stosunek płci według narodowości w miastach Zachodniej Syberii  
w 1897 roku

Narodowość	Mężczyźni		Kobiety		Liczba kobiet na 1000 mężczyzn
	Liczba ogólna	%	Liczba ogólna	%	
<b>Gubernia tobolska</b>					
Rosjanie	39 617	50,4	38 924	49,6	984
Ukraińcy	829	62,1	505	37,9	610
Polacy	1187	61,3	749	38,7	631
Niemcy	226	65,3	120	34,7	531
Żydzi	959	50,4	944	49,6	984
Tatarzy	992	63,1	581	36,9	585
<b>Gubernia tomska</b>					
Rosjanie	58 440	50,5	57 185	49,5	980
Ukraińcy	547	66,1	280	33,9	513
Polacy	1033	62,2	632	37,8	571
Niemcy	319	58,4	227	41,6	712
Żydzi	2472	49,9	2477	50,1	1004
Tatarzy	1286	55,4	1035	44,6	805

Źródła: *Pierwaja wsieobszczaja pieriepis` nasielenija Rossijskoj imperii 1897 g.*, t. 78: *Tobolskaja gubernija*, Sankt Petersburg 1905, s. 76-77; t. 79: *Tomskaja gubernija*, Sankt Petersburg 1904, s. X.

Z tabeli 1 widać, że proporcje płci w grupach narodowych, mieszkających w miastach Syberii pod koniec XIX wieku, znacznie się różnią. Najbardziej harmonijne proporcje płci widać w przypadku Rosjan (980-984 kobiety na 1000 mężczyzn) i w przypadku Żydów (984-1004). Stwarzało to przesłanki do dominacji małżeństw zawieranych przez osoby tej samej narodowości. W innych grupach narodowych zauważalna była wyraźnie większa liczebność mężczyzn, którzy stanowili czasem nawet dwie trzecie. Na przykład wśród Ukraińców na 1.000 mężczyzn przypadało 505 kobiet w guberni tobolskiej i 513 w tomskiej, wśród Polaków

<sup>11</sup> O.N. Szulbajew, *Politiczeskaja ssylka w Minusinskim okrugie (1825–1895 gody)*, rozprawa kandydata nauk historycznych, Abakan 2000, s. 105.

<sup>12</sup> E.G. Podlewskich, *Giendiernyj aspekt w izuczenii istorii polskoj politiczeskoj ssylki w Rossijskoj imperii 60-70 godow XIX wieku*, [w:] *Ženskaja powsiedniewnost` w Rossii w XVIII–XX wiekach*, Tambow 2003, s. 30.



odpowiednio 749 i 571, wśród Niemców 531 i 712, a wśród Tatarów 581 i 805. Na skutek tego wielu mężczyznom tych narodowości nie było łatwo założyć rodzinę z kobietą tej samej narodowości.

Na całej Syberii dysproporcja ta była jeszcze większa. Według obliczeń W.A. Skubniewskiego w 1897 roku spośród mieszkających na Syberii 24.505 osób, które za swój język ojczysty podawały język polski, 17.099 (69,8 %) stanowili mężczyźni, a kobiety tylko 7406 (30,2 %). Przy tym najniższy procent kobiet wśród ludności polskiej był w Jakucji – 16 %, na Zabajkalu i w guberni irkuckiej – nieco ponad 25 %, w guberni jenijskiej – 26,1 %, tomskiej – 34 %, tobolskiej – 36 %.<sup>13</sup> Nietrudno zauważyć, że im dalej na Wschód, tym niższy był odsetek kobiet.

Dysproporcje płci wśród Polaków były pod wieloma względami skutkiem zesłań. W odróżnieniu od Żydów, którzy na syberyjskie zesłanie jechali ze swoimi rodzinami, tylko nieliczni Polacy przybywali na zesłanie z żonami i dziećmi. Na przykład spośród 316 Polaków, którzy w latach 60. XIX wieku znajdowali się w Ałtaju, tylko 13 osób przybyło z rodzinami.<sup>14</sup> Chociaż przypadki, kiedy żony jechały na zesłanie za swoimi mężami nie były masowe, to jednak zdarzały się dość często. Na przykład S. Palińskiemu, zesłanemu w 1897 roku do Sriedniekołymska – „jednego z najodleglejszych i najbardziej oderwanych od świata zamieszkałych punktów na dalekiej północy Jakucji” na zesłaniu towarzyszyła żona Feliksa, z domu Gumińska, dzieląc z mężem jego los.<sup>15</sup>

Trudy życia w surowym kraju, szczególnie odczuwalne dla zesłańców, zmuszały jednak do szukania oparcia przede wszystkim w członkach rodziny i w krewnych, ponieważ dzięki pomocy rodzinnej łatwiej było przeżyć. Na przykład w lutym 1865 roku Tytus Francewicz Kowalski, osadzony we wsi Staryj Tartas w gminie ust'-tartasskiej pisał, że gdy wyzdrowiał i został wypisany z Wozniesieńskiego Lazaretu Etapowego, zamierzano odesłać go do Tomsku. Prosił jednak o zezwolenie na pozostanie na stałe w gminie ust'-tartasskiej, ponieważ „zupełnie niespodziewanie spotkał zesłanego do tejże gminy krewnego i razem z nim będzie łatwiej znosić wszystkie trudności i przeszkody, jakie spotyka się na każdym kroku mieszkając na obczyźnie”.<sup>16</sup>

<sup>13</sup> W.A. Skubniewski, *Polskoje nasilenije Sibiri po materialam pieriepisi 1897 goda*, [w:] *Polskaja ssylka w Rossii XIX–XX wiekow: riegionalnyje centry*, Kazań 1998, s. 171.

<sup>14</sup> I.N. Nikulina, *K woprosu o priebywaniu polskich politiczeskich ssylnych na Ałtaje w 60-je gody XIX wieka*, [w:] *Aktualnyje woprosy istorii Sibiri: III naucznyje cztenija pamiatii profiessora A.P. Borodawkina*, Barnauł 2002, s. 180-181.

<sup>15</sup> A. Giza, *Wospominanija Stanisława Palińskiego kak material k istorii ssylki polakow w Wostocznuju Sibir` na rubieże XIX–XX wiekow*, [w:] *Sibirsko-polskaja istorija i sowriemiennost`*, Irkuck 2001, s. 80-81.

<sup>16</sup> A.J. Majniczewa, *Polskije pieriesielency w Tomskoj gubernii (sieriedina XIX wieka)*, [http://www.zaimka.ru/to\\_sun/maynich3.shtml](http://www.zaimka.ru/to_sun/maynich3.shtml).





Ważną kwestią, którą warto poruszyć, charakteryzując relacje małżeńskie mieszkańców Syberii, jest sprawa stanu rodzinnego. Materiały spisu powszechnego z 1897 roku pozwalają na szczegółową analizę stanu rodzinnego różnych grup narodowościowych pod koniec XIX wieku (zob. tabelę 2). Dane statystyczne wykazują znaczne różnice w podziale ludności pod względem stanu rodzinnego wśród Polaków, Rosjan i Żydów. Na przykład udział kawalerów i panien wśród ludności polskiej jest o wiele niższy: kawalerowie stanowili 46,2 % mężczyzn, a panny 48,2 % (w przypadku Rosjan odpowiednio 54,8 i 51,1 %, a w przypadku Żydów 60,6 i 55,5 %). Można to wytłumaczyć specyfiką struktury wieku i płci ludności polskiej, a przede wszystkim niewielkim procentem dzieci i młodzieży, co związane jest ze specyfiką kształtowania się polskiej wspólnoty na Syberii, czyli pobytem na zesłaniu.

Udział osób pozostających w związkach małżeńskich w przypadku Polaków był o wiele wyższy niż w przypadku Rosjan, a zwłaszcza Żydów. Większy był również udział osób owdowiałych (wśród Polaków 9,6 % kobiet i 8 % mężczyzn; wśród Rosjan odpowiednio 6,9 i 4,2 %; wśród Żydów 6,6 i 2,6 %). Wśród Polaków mieszkających na Syberii widoczne były charakterystyczne różnice dotyczące stanu rodzinnego w miastach i w okręgach (na wsi), takie jak mniejszy odsetek osób pozostających w związkach małżeńskich w miastach i znacznie większy odsetek osób owdowiałych (wśród Polek mieszkających w miastach wdowy stanowiły 14,1 %). Różnice te można zaobserwować we wszystkich grupach narodowościowych. Były one związane ze specyfiką procesów demograficznych zachodzących w miastach<sup>17</sup>.

W przypadku składu ilościowego rodzin ważne są także czynniki narodowe i wyznaniowe, ponieważ stosunki rodzinne i małżeńskie w różnych grupach narodowych i religijnych mają swoją specyfikę, co musi odbijać się na liczebności rodzin. Badanie charakterystycznych cech narodowych i wyznaniowych dawnych rodzin napotyka pewne trudności. Rzecz w tym, że w celu zbadania tych charakterystycznych cech konieczne są przede wszystkim opisy stanu pierwotnego rodzin, a takie opisy bynajmniej nie zawsze się zachowały.

Różnice narodowe w średniej liczebności rodzin miejskich można zbadać dzięki spisowi powszechnemu z 1897 roku w guberni tobolskiej. Przeanalizowanie 500 kart spisu powszechnego w Tobolsku pozwoliło na otrzymanie następujących danych: największą średnią liczebność odnotowano w rodzinach żydowskich – 6,8 osoby, następnie w rodzinach tatar-

<sup>17</sup> Więcej na ten temat zob. J.M. Gonczarow, *Gorodskaja siemja Sibiri wtoroj połowiny XIX – naczala XX w.*, Barnauł 2002, rozdział 4.

skich – 5,5, polskich – 4,5, rosyjskich – 3,9, niemieckich i estońskich – średnio po 3,5 osoby w rodzinie.<sup>18</sup>

Ponieważ stosunki rodzinne wyróżniają się znaczną zmiennością w zależności od składu narodowego, musi to wpływać na narodowe i wyznaniowe cechy struktury wewnętrznej rodzin. Odnotowany w literaturze proces ujednolicania cech strukturalno-ilościowych rodzin z różnych grup narodowościowych i wyznaniowych był niewątpliwie związany z typową dla miasta standardyzacją i unifikacją warunków i sposobu życia, na które zwracali uwagę badacze historii miast<sup>19</sup>.

W rozpatrywanym okresie większość osób, zawierających pierwszy związek małżeński, miała około 21–22 lat w przypadku kobiet i 25–26 lat w przypadku mężczyzn. Ogółem pod koniec XIX i na początku XX wieku w miastach obserwowano obniżenie wieku narzeczonych, podczas gdy u panien wiek pozostawał bez zmian, co prowadziło do zmniejszenia różnicy wieku między małżonkami i do zacierania się różnic między miastem a wsią jeśli chodzi o wiek nowożeńców.<sup>20</sup>

Księgi metrykalne kościoła katolickiego w Tobolsku pozwalają na rozpatrzenie wieku katolików zawierających małżeństwa. Zdecydowaną większość z nich stanowili Polacy. Jak wynika z wpisów dotyczących osób połączonych węzłem małżeńskim w latach 1876–1890 (100 wpisów), średni wiek mężczyzn w pierwszym małżeństwie wynosił u Polaków 31,3 roku (minimalny 20 lat, maksymalny – 53 lata), a w drugim małżeństwie 43,2 roku (minimalny 25 lat, maksymalny – 66 lat). Średni wiek kobiet wynosił w pierwszym małżeństwie 20,1 roku (minimalnie 14 lat, maksymalnie – 40), a w drugim małżeństwie 34,3 roku (minimalnie 21 lat, maksymalnie – 49).<sup>21</sup>

Zapisy w księgach metrykalnych z przełomu wieków, z lat 1898–1901 (łącznie przeanalizowano 102 wpisy), podają następujące dane: średni wiek narzeczonego w pierwszym małżeństwie to 29,1 roku (minimalnie 18, maksymalnie – 56), w drugim małżeństwie 46,0 (minimalnie 24, maksymalnie 65). W przypadku panien średni wiek zawarcia pierwszego małżeństwa to 22,5 roku (minimalnie 16, maksymalnie 52), a drugiego małżeństwa – 38,0 (minimalnie 30, maksymalnie 57).<sup>22</sup>

Wspólnym elementem dla wszystkich grup narodowo-wyznaniowych było to, że kobiety po ustaniu pierwszego związku małżeńskiego

<sup>18</sup> Państwowa Instytucja Obwodu Tiumeńskiego Archiwum Państwowe w Tobolsku (*Gosudarstwiennoje uczeżdzenije Tiumienskoj oblasti Gosudarstwiennyj archiw w g. Tobolskie* – dalej GUTO GAT), f. (fond – zespół) 417, op. (opis – inwentarz) 2, d. (dzieło – teczka) 1–38.

<sup>19</sup> O.R. Rudina, M.N. Szmielowa, *Gorod i narodnyje tradicii russkich*, Moskwa 1989, s. 12.

<sup>20</sup> Ł.G. Bodienikowa, *Zauralskoje kupieczestwo wo wtoroj połowinie XIX – naczala XX wiekow*, [w:] *Ziemia Kurganskaja: proszłoje i nastojaszczaje*, zeszyt 10, Kurgan 1995, s. 42.

<sup>21</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 35.

<sup>22</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 54.

rzadziej po raz drugi wychodziły za mąż niż mężczyźni. Ogółem prawdopodobieństwo zawarcia powtórnego małżeństwa było znacznie wyższe w przypadku mężczyzn niż kobiet: średnia liczba małżeństw zawieranych przez osoby, które już kiedyś były w związkach małżeńskich, wynosiła pod koniec XIX wieku 1,23 w przypadku mężczyzn i 1,04 w przypadku kobiet. Oznacza to, że powtórny związek małżeński zawierało około 23 % mężczyzn i 4 % kobiet.<sup>23</sup>

Z ksiąg metrykalnych kościoła katolickiego w Tobolsku wynika, że wśród Polaków w latach 1876-1890 powtórne małżeństwo zawarło 23 % mężczyzn i 13 % kobiet. W latach 1898-1901 odsetek powtórnich małżeństw obniżył się i dotyczył 12,7 % mężczyzn i 10,8 % kobiet<sup>24</sup>.

Na podstawie tego samego źródła można otrzymać następujące dane na temat różnic wiekowych małżonków w polskich rodzinach. W latach 1878-1890 w pierwszych małżeństwach mężczyźni byli średnio o 9,9 roku starsi od swoich żon (skala zróżnicowania waha się od 5 lat na korzyść żony do 28 lat na korzyść męża), w powtórnich małżeństwach – o 17,3 roku (skala zróżnicowania od 0 do 37 lat na korzyść mężczyzny).<sup>25</sup> Bliżej przełomu XIX i XX wieku różnice wiekowe małżonków w polskich rodzinach zmniejszają się. Według zapisów z lat 1898-1901 w pierwszych małżeństwach różnica wieku wynosiła średnio 5,6 roku (od 10 lat na korzyść żony do 25 lat na korzyść męża), a w drugich małżeństwach 12,8 roku (od 4 do 38 lat na korzyść mężczyzny).<sup>26</sup>

Większą różnicę wieku zawierania małżeństwa wśród Polaków można wytłumaczyć tym, że na Syberii wśród polskiej ludności przeważali mężczyźni, co powodowało trudności w założeniu rodziny i odkładanie tej decyzji na późniejszy czas. W latach 1876-1890 równych pod względem wieku małżeństw (z różnicą sięgającą co najwyżej 3 lat) wśród Polaków, którzy brali ślub w kościele w Tobolsku, było zaledwie 10 %.<sup>27</sup> Jednocześnie odsetek małżeństw, w których różnica wieku między małżonkami wynosiła 10 lub więcej lat, był bardzo duży – 57 %. Na przełomie wieków dysproporcje te nieco się wyrównały. Wśród małżeństw zawartych w latach 1898-1901 małżeństwa o niewielkiej różnicy wiekowej stanowią 33,3 %, a o dużej różnicy 29,4 %.<sup>28</sup>

Dane z ksiąg metrykalnych kościoła w Tobolsku wskazują również, że wśród Polaków mieszkających na Syberii różnice stanu nie wpływały na wiek zawierania małżeństwa. Na przykład w drugiej połowie lat 70. i w latach 80. XIX wieku średni wiek narzeczonych wynosił wśród mieszczan 34,4 roku, wśród szlachty 33,8, a wśród żołnierzy 31

<sup>23</sup> B.N. Mironow, *Socialnaja istorija Rossii pierioda impierii*, Sankt Petersburg 1999, t. 1, s. 172.

<sup>24</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 35, 54.

<sup>25</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 35.

<sup>26</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 54.

<sup>27</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 35.

<sup>28</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 54.

lat.<sup>29</sup> Na przełomie wieków (w latach 1898-1901) wskaźnik ten wśród polskiej szlachty wynosił 27,7, wśród żołnierzy 28,3, wśród ludzi pochodzenia plebejskiego 30,5, wśród mieszczan 32,3, a wśród chłopów 32,4.<sup>30</sup>

Można zauważyć, że przedstawiciele polskiej szlachty częściej zawierali związki jednorodne pod względem stanu niż prawosławna szlachta i urzędnicy (Rosjanie). W latach 1876-1890 spośród katolickiej szlachty zawierającej małżeństwa 79,3 % żeniło się ze szlachciankami. W latach 1898–1901 wskaźnik ten wynosił 54,5 %.<sup>31</sup> Fakt ten można wytłumaczyć tym, że wśród prawosławnej szlachty i urzędników było bardzo mało szlachty rodowej, a najniższa i jednocześnie najliczniejsza grupa urzędników w ogóle nie miała tytułów szlacheckich. Wśród polskiej szlachty na Syberii zdecydowaną większość stanowiła szlachta rodowa, której przedstawiciele woleli żenić się ze szlachciankami. Ogółem na przełomie wieków małżeństwa jednorodne pod względem stanu stanowiły wśród Polaków 44,7 %.<sup>32</sup>

Polskim dzieciom urodzonym na Syberii rodzice zazwyczaj nadawali imiona przyjęte w ich środowisku narodowo-kulturalnym. Na przykład R.W. Oplakanskaja zauważa, że według danych z ksiąg metrykalnych tomskiej parafii rzymskokatolickiej z lat 1834-1860 wśród nowo urodzonych dziewczynek najbardziej popularne były imiona Maria, Anna, Katarzyna, Magdalena, Marta, Józefa, Jadwiga, a wśród chłopców oprócz takich imion jak Jan, Mikołaj, Aleksander, Józef występowały również imiona Władysław, Stanisław, Witold, Kazimierz, Wincenty, Alfons. Imiona te nadawano niezależnie od tego, w jakiej rodzinie urodziło się dziecko: w rodzinie osiedleńców mieszkających na wsi czy też w rodzinie będącej na wyższym szczeblu hierarchii społecznej (oficerowie, urzędnicy, nauczyciele). Charakterystyczne jest, że Polacy na Syberii nadal kultywowali zachodnioeuropejską tradycję nadawania podczas chrztu dwóch imion, na przykład Wincenty Laurenty lub Józefa Jadwiga. Syberyjscy Polacy zazwyczaj nadawali dzieciom przy chrzcie imiona nie występujące w środowisku, w którym żyli, lecz pozwalające na identyfikowanie ich posiadaczy z kulturą polską, co świadczyło o słabej asymilacji Polaków na Syberii.<sup>33</sup>

Pod koniec XIX i na początku XX wieku wzrosła liczba Polaków przybywających na Syberię dobrowolnie. Poza tym było dość dużo Polaków pełniących służbę wojskową (zarówno żołnierzy, jak i oficerów) lub cywilną. Wielu z nich przyjeżdżało na Syberię ze swoimi rodzinami. Na przykład w Tomsku wielu Polaków pracowało w organach państwowych i administracyjnych oraz w instytucjach oświatowych. Już w połowie

<sup>29</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 35.

<sup>30</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 54.

<sup>31</sup> GUTO GAT, f. 156, op. 30, d. 35, 54.

<sup>32</sup> *Ibidem*.

<sup>33</sup> R.W. Oplakanskaja, *Ziemiaczestwa Polakow w Sibiri kak faktor sochranienija nacionalnoj idientycznosti w usłowijach inoj etnokulturnoj sriedy (pierwaja połowina XIX wieku)*, [w:] *Sibirskij pławilnyj kotioł: socialno-diemograficzieskie processy w Siwieronnoj Azii XVI – naczala XX wieku*, Nowosybirsk 2004, s. 134–135.

XIX wieku w Tomskim Gimnazjum Gubernialnym wykładało kilku Polaków: Józef Gajdyński, Ignacy Czygir, Krzyżanowski. Wraz z nimi w Tomsku mieszkały ich rodziny.<sup>34</sup>

Istotna jest również kwestia małżeństw międzynarodowych. Dość trudno jest jednak ocenić powszechność takich małżeństw na Syberii z powodu braku źródeł. W przypadku ślubu prawosławnych z chrześcijanami innych wyznań w księgach metrykalnych prawosławnych cerkwi bynajmniej nie zawsze odnotowywano fakt, że jedna z osób zawierających związek nie jest wyznania prawosławnego.

Zgodnie z ustawodawstwem cerkiew prawosławna nie przeszkadzała w zawieraniu małżeństw mieszanych między katolikami i prawosławnymi. Wymagane było jednak do tego potwierdzenie przez rzymskokatolickich duchownych, że dana osoba jest stanu wolnego i jest prawnie zdolna do zawarcia związku.<sup>35</sup>

Pod koniec XIX wieku w praktyce udzielania mieszanych ślubów chrześcijańskich nastąpiły zmiany. W 1891 roku został uchwalony dekret, zmieniający tryb zawierania małżeństw między prawosławnymi i katolikami. Jako przyczynę jego wprowadzenia podawano „uchylanie się” księży od wydawania dokumentów potwierdzających chrzest, stan wolny i zdolność prawną do zawarcia małżeństwa. W interpretacji władz na skutek takiego stanowiska duchowieństwa rzymskokatolickiego do wielu zaplanowanych małżeństw nie doszło z braku wymaganych dokumentów. Ustalono więc, że tymczasowo

małżeństwo osoby wyznania rzymskokatolickiego z osobą wyznania prawosławnego może być ogłoszone w jednej cerkwi prawosławnej.

Jednocześnie zamiast potwierdzenia przez parafię rzymskokatolicką stanu wolnego i zdolności prawnej do zawarcia małżeństwa zaświadczenia takie miały wystawiać lokalne placówki policji. Miejscowe organa policyjne z kolei wydawały tego typu zaświadczenia na podstawie meldunku, a w przypadku braku meldunku na podstawie zeznań dwóch wiarygodnych świadków.<sup>36</sup>

Likwidacja wielu formalności ułatwiła zawieranie małżeństw mieszanych między prawosławnymi a katolikami. Jednocześnie dla tych ostatnich oznaczało to osłabienie więzi ze społecznością polską. Duchowieństwo rzymskokatolickie straciło możliwość uczestniczenia w ich dalszym losie, możliwość wpływania na katolików biorących ślub z osobą wyznania prawosławnego. Odsunięcie kościoła katolickiego od zakładanych rodzin mieszanych nasilał również fakt, że dzieci urodzone z takich

<sup>34</sup> *Ibidem*, s. 133.

<sup>35</sup> J.M. Gonczarow, op. cit., s. 51-52.

<sup>36</sup> T.J. Jangiel, *Christijanskije smieszannyje brak*, [w:] *Sibirsko-polskaja istorija i sowriemiennost' : Aktualnyje woprosy*, Irkuck 2001, s. 177.



związków zgodnie z ustawodawstwem miały być wychowywane w wierze prawosławnej.<sup>37</sup>

Statystyk J.W. Klaczkin na podstawie ksiąg metrykalnych zbadał jednorodność narodowościową małżeństw zawartych w Omsku w 1916 roku. Na podstawie jego danych można wyliczyć wskaźniki jednorodności małżeństw, które kształtują się następująco: w przypadku Żydów 1,0, w przypadku Tatarów – 1,0, Rosjan – 0,96, Niemców – 0,80, Polaków – 0,36 (czyli tylko nieco więcej niż jedną trzecią małżeństw stanowiły związki jednorodne pod względem narodowości).<sup>38</sup>

Wskaźniki 1,0 w przypadku Żydów i Tatarów oznaczają, że przedstawiciele tych narodowości praktycznie rzecz biorąc nie zawierali małżeństw mieszanych, co oczywiście wynikało z przyczyn religijnych. Na przykład o syberyjskich Tatarach tak pisał ówczesnie żyjący autor:

Żyją w odosobnieniu od Rosjan, nie mieszają się z nimi i nie zawierają małżeństw, jak inni obcokrajowcy przebywający na Syberii.<sup>39</sup>

Bliski jedności wskaźnik u Rosjan można wytłumaczyć tym, że wśród ludności miasta Rosjanie stanowili absolutną większość. Wśród Niemców, a zwłaszcza wśród Polaków małżeństwa mieszane były bardziej rozpowszechnione.

Niski poziom jednorodności narodowej małżeństw Polaków był uwarunkowany znaczną przewagą liczebną mężczyzn w polskiej diasporze na Syberii. Wielu współczesnych zauważało, że Polacy z tego powodu często żenili się z kobietami wyznania prawosławnego i asymilowali się. Na przykład zesłaniec polityczny S. Anisimow, który odbywał karę zesłania w Jałutorowsku, pisał w swoich pamiętnikach o wielu takich przypadkach:

Inny Polak [...], choć utracił wszystkie więzi z Polską, ale też był dumny z tego, że jest Polakiem, miał mimo to żonę z Syberii i dorosłe dzieci nie umiejące mówić po polsku.<sup>40</sup>

B. S. Szostakowicz zauważa, że dane dokumentalne wskazują na masowe zawieranie mieszanych polsko-rosyjskich małżeństw począwszy od końca lat 60. XIX wieku.<sup>41</sup>

S.W. Maksimow w książce *Sibir` i katorga* (Sankt Petersburg 1900) pisał o „popartym doświadczeniem silnym wpływie związków małżeńskich na rusyfikację Polaków na Syberii”. Pisał, że Polacy

najpierw oczarowani podobieństwem języka polskiego do rosyjskiego, zapominają język ojczysty, a potem będąc pod urokiem dziewczyny z Syberii żenią się i

<sup>37</sup> *Swod zakonow Rossijskoj impierii*, Sankt Petersburg 1899, t. X: *Swod zakonow graždanskich*, artykuł 67.

<sup>38</sup> W.J. Klaczkin, *Jestiestwiennoje dwiżenije nasielenija g. Omska po paralelnym dannym za 1913, 196, 1923–26 gody*, Omsk 1928, s. 45.

<sup>39</sup> S.P. Szwiecow, *Sibir`, kto w niej żywiot i kak żywiot*, Sankt Petersburg 1909, s. 39.

<sup>40</sup> S. Anisimow, *Istoriczeskij gorod Jałutorowsk*, Moskwa 1930, s. 39.

<sup>41</sup> B.S. Szostakowicz, *Istorija Polakow w Sibiri (XVII–XIX wieka)*, Irkuck 1995, s. 93.

pod wpływem środowiska i czarującej żony rezygnują ze swoich obyczajów; w rezultacie syn Polaka jest już człowiekiem wyznania prawosławnego i rdzennym mieszkańcem Syberii, a sam ojciec pod koniec życia staje się osobą pozbawioną narodowości.<sup>42</sup>

Dla Polaków kwestia małżeństw mieszanych była dość istotna. Część Polaków stanowili zwolennicy „zachowania czystości narodu”, którzy przywiązywali do tej sprawy bardzo duże znaczenie. Za przejaw polskości uważali wychowanie w duchu prawdziwego katolicyzmu. Założenie rodziny, w której jedna strona wyznaje religię prawosławną, z punktu widzenia patriotów niszczyło „polskiego ducha” i przyczyniało się do szybkiej rusyfikacji.

Jak wspominał J. Ruczyński, zesłany na Syberię do Nierczyńskiego Zawodu, podczas jednego z zebrań polskiego ziomkostwa „Ogół wygnańców” zesłani Polacy podjęli decyzję o nienawiązywaniu żadnych kontaktów z miejscowymi damami, ponieważ „w kraju dzikim i pełnym włóczęgów jest to niebezpieczne”.<sup>43</sup>

Oczywiście taki negatywny stosunek do małżeństw Polaków z mieszkańcami Syberii umacniała dodatkowo polityka przymusowej rusyfikacji prowadzona przez rząd carski wobec Polaków.

Fakty jednak wymownie świadczą o innej tendencji. Liczba małżeństw zawartych przez polskich zesłańców z mieszkankami Syberii w latach 60. XIX wieku idzie w setki. Wśród Polaków, którzy na Syberii żenili się z przedstawicielkami miejscowej ludności byli ludzie pochodzący z różnych stanów.

Niektórzy polscy zesłańcy, którzy stali się na Syberii wybitnymi przedstawicielami nauki i kultury, znaleźli sobie wierne towarzyski życia wśród miejscowych kobiet. Na przykład B.S. Szostakowicz wspomina o wybitnym geologu Janie Czernskim, którego nierozłączną towarzyszką i pomocnicą w ekspedycjach naukowych została mieszkanka Syberii Mawra Pawłowna. Z mieszkanką Syberii był też ożeniony znany archeolog i polski zesłaniec Mikołaj Witkowski.<sup>44</sup>

Powszechność małżeństw mieszanych wśród syberyjskich Polaków zauważa także O. N. Szulbajew:

Wielu zesłanych Polaków przebywając w okręgu minusińskim zawierało małżeństwa z miejscowymi dziewczętami (...). Na przykład z tutejszymi kobietami byli żonaci Jan Merle, Walery Kozłowski, Władysław Lewicki, Walenty Andreszkiewicz, Jakub Kostrewicz, Jan Łobecki, Laurenty Radziewicz.<sup>45</sup>

W innych regionach kraju, do których byli zsyłani Polacy, na przykład w guberni wiackiej, małżeństwa mieszane między zesłanymi Polakami (katolikami) a rosyjskimi kobietami (prawosławnymi), a nawet

<sup>42</sup> S.W. Maksimow, *Sibir` i katorga*, Sankt Petersburg 1900, s. 338, 362.

<sup>43</sup> R.W. Opłakanskaja, *Ziemiaczestwa Polakow...*, s. 129.

<sup>44</sup> B.S. Szostakowicz, *op. cit.*, s. 93.

<sup>45</sup> O.N. Szulbajew, *Politiczeskaja ssylka w Minusinskom okrugie...*, s. 32.

przejście z katolicyzmu na prawosławie w celu zawarcia małżeństwa były częstym zjawiskiem już w latach 60.-70. XIX wieku<sup>46</sup>.

Najspokojniejszy stosunek do tego problemu mieli chłopci. Ówczesny autor tak pisał o polskich chłopach zesłanych na Syberię za udział w powstaniu narodowym:

Oczywiście pochodzący z chłopstwa powstańcy chętnie urządzali się na ziemi, zakładali swoje gospodarstwo i teraz po 40 latach nie można było ich odróżnić od dawniejszych mieszkańców Syberii: mieli takie same domy, gospodarstwa, było, żenili się z mieszkankami Syberii i stawali zamożnymi *czaldonami* (rosyjskimi mieszkańcami Syberii).<sup>47</sup>

Niektórzy chłopci jednak napotykali trudności przy zawieraniu mieszanych małżeństw. Na przykład, jak pisze A.J. Majniczewa, w skardze chłopca państwowego Iwana Jakowlewa Najdanowa, mieszkającego we wsi Wierchniekulibnickaja w okręgu kaińskim w guberni tomskiej, była mowa o tym, że zeswatał on swoją córkę Matrionę z polskim przesiedleńcem Laurentym Michajłowiczem Łabanem. Istotą skargi było to, że Najdanow wysłał córkę Matrionę i Laurentego do wsi Wierchniemajzaskoje, aby wzięli ślub, ale duchowny nie dokonał obrządku, zażądał trzech rubli srebrem i wysłał ich do wsi Szypicino do „popa Osipa Matwieicza”. Ten początkowo również odmówił udzielenia ślubu, a potem udzielił sakramentu za cztery ruble srebrem. Chłopci ponieśli duże koszty, ponieważ zapłacili za ślub i za podwoje na przejazdy. Zaczęli wątpić w konieczność ponoszenia takich kosztów, ponieważ „słyszeli od samego głównego naczelnika, że Polakom powinno się udzielać ślubu bez jakiegokolwiek wynagrodzenia”.<sup>48</sup>

Ogólnie rzecz biorąc mimo rusyfikacyjnej polityki w sprawach dotyczących zawierania małżeństw między zesłańcami a mieszkankami Syberii i nawet mimo propagandy zwolenników poglądów nacjonalistycznych, na Syberii życie samo podpowiadało naturalne rozwiązanie tych kwestii.

Oczywiście mieszane małżeństwa stawały wiele problemów przed samymi małżonkami z powodu znacznych różnic narodowych i wyznaniowych. Różniły się między innymi demograficzne parametry rodzin różnych narodowości, zachowania prokreacyjne, stosunki wewnątrz rodziny.

Jeden z ówczesnie żyjących autorów przytaczał słowa starego Polaka, który wiele lat przeżył na Syberii, był ożeniony z mieszkanką Syberii i miał z nią dzieci:

Mieszkamy tutaj, mam rosyjską żonę i dzieci, które są już *czaldonami*, ale jestem tutaj obcy; tu i ziemia nie jest nasza, i niebo nie jest nasze!<sup>49</sup>

<sup>46</sup> Ł.G. Podlewskich, *Giendiernyj aspekt...*, s. 32.

<sup>47</sup> S. Anisimow, op. cit., s. 31.

<sup>48</sup> A.J. Majniczewa, op. cit.

<sup>49</sup> S. Anisimow, op. cit., s. 43.

Liczne przykłady małżeństw mieszanych na Syberii po reformie, świadczą o sile etnokulturowego wzajemnego oddziaływania. Według świadectw ówczasnie żyjących ludzi w zakładanych rodzinach mieszanych obserwowano w większości przypadków łączenie elementów kultury duchowej różnych narodów państwa rosyjskiego. Względy religijne odchodziły przy tym na drugi plan. Dzieciom w tego typu rodzinach wpajano szacunek do przeszłości ich rodziców, do ich pochodzenia, wyrabiano narodową i wyznaniową tolerancję.

B. S. Szostakowicz przytacza przykład rodziny Łokuciewskich. Ześlany powstaniec Anatol Łokuciewski po otrzymaniu prawa powrotu do kraju zdecydował się pozostać na Syberii i ożenił z tutejszą kobietą. Na Syberii rodziło się i mieszkało kilka pokoleń tej rodziny. Dzieci mówiły nie tylko po rosyjsku, ale również po polsku, w rodzinie prenumerowano literaturę polską i rosyjską, zachowując tradycje kulturalne zarówno Polaków, jak i Rosjan.<sup>50</sup>

Historia polskiej rodziny w przedrewolucyjnej Syberii jest więc ważnym problemem badawczym i wymaga dalszego zbadania. Konieczne jest między innymi zwrócenie uwagi na takie aspekty jak ustawodawstwo dotyczące zawierania małżeństw, parametry demograficzne rodziny, problem rodzin międzynarodowych, stosunki wewnątrzrodzinne.

---

<sup>50</sup> B. S. Szostakowicz, op. cit., s. 93.

PRZEMYSŁAW NAGEL

## LOSY POLAKÓW DEPORTOWANYCH DO OBWODU ARCHANGIELSKIEGO

W 1988 roku Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (wówczas Sekretarz Generalny PTL Antoni Kuczyński) oraz dwumiesięcznik naukowo-literacki „Literatura Ludowa” (wówczas red. nac. Czesław Hernas) ogłosiły konkurs na wspomnienia<sup>1</sup> i materiały dotyczące pobytu Polaków na Syberii, Dalekim Wschodzie, Kazachstanie oraz innych terenach Związku Radzieckiego w latach 1939-1956. To krótkie ogłoszenie spowodowało napływ tekstów, które są świadectwem dramatu deportacji całych rodzin polskich z terenów II RP zajętych przez Związek Radziecki w czasie II wojny światowej.<sup>2</sup> Przy zachowaniu dystansu z racji subiektywnego charakteru tego źródła informacji, stanowi ono doskonały materiał dla historyków.

W 1940 i 1941 roku miały miejsce 4 masowe deportacje Polaków do Związku Radzieckiego: w lutym, kwietniu, czerwcu 1940 roku oraz w czerwcu 1941 roku. Nie oznacza to oczywiście, iż w pozostałym okresie czasu w tych latach nie deportowano nikogo, ale owe deportacje nie miały wtedy charakteru masowego. Do obwodu archangielskiego deportowano obywateli polskich szczególnie w czasie pierwszej deportacji, 10.II.1940 roku (tzw. osadników) oraz w trzeciej deportacji, w czerwcu 1940 roku (tzw. bieżenców). Osadnicy, to były osoby, które za zasługi w wojnie, najczęściej polsko-bolszewickiej w 1919-20 roku, otrzymały ziemię na Wschodnich Kresach II Rzeczypospolitej. Za osadników uznani

---

<sup>1</sup> „Literatura Ludowa”. Dwumiesięcznik naukowo-literacki, organ wydawniczy Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego oraz Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Informacja o konkursie ukazała się w numerze 1/1988 tego dwumiesięcznika.

<sup>2</sup> Materiał do artykułu zaczerpnięto z Archiwum Naukowego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu w którym znajdują się wspomnienia i inne relacje nadesłane na wspomniany powyżej konkurs. W celu pełniejszego zorientowania badaczy zajmujących się dziejami Polaków na Syberii, rocznik „Wrocławskie Studia Wschodnie” wydawany przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Zakład Narodowy im. Ossolińskich publikuje bibliografię tego zbioru wspomnień, które napłynęły na w/w. konkurs oraz w okresie późniejszym. Bogaty zbiór wspomnień zesłańców nadesłanych wówczas, legł u podstaw powołania serii wydawniczej pod nazwą „Biblioteka Zesłańca”, utworzonej i redagowanej przez A. Kuczyńskiego. O serii tej zob.: A. Srebrakowski, *Trwalsza niż kamień* [w:] Z. Fedus, *Syberia wryta w pamięć dziecka*, Wrocław 1997, s.313-321 i A. Kuczyński, *Recepcja działalności „Biblioteki Zesłańca” w piśmiennictwie krajowym i zagranicznym*, tamże, s.329-337.

byli również członkowie rodzin takich osób. Natomiast pod pojęciem „bieżeńcy” kryją się uchodźcy, przybyli na obszar Kresów Wschodnich RP po rozpoczęciu 1 września 1939 roku działań wojennych w Polsce, a więc tych ziem, które następnie po 17 września tegoż roku zostały okupowane przez ZSRR.

Jednym z największych skupisk deportowanych obywateli polskich stał się obwód archangielski – osadzono bowiem w nim około 55 tysięcy obywateli polskich.<sup>3</sup> W niniejszym artykule autor nie zamierza jednak zatrzymywać się nad suchymi statystykami. Istotną sprawą jest oddać obraz tych deportacji taki, jakim widzieli go sami deportowani. Jest to obraz pełen bólu, ale jednocześnie i radości – z powrotu do Polski. Obraz pokazujący bohaterstwo, tragizm, ale czasami także mniej chlubne postawy tych, którzy zostali poddani doświadczeniu traumatycznemu, jakim była niewątpliwie deportacja – wyrwanie z dotychczasowego życia, dorobku, dotknięcie chorobą, bądź śmiercią najbliższych.

Na wstępie warto jeszcze zaznaczyć, że deportacje do obwodu archangielskiego nie są specyfiką tylko II wojny światowej. Do obwodu archangielskiego trafiali np. „Ukraińcy” tj. mieszkańcy Ukrainy, w tej liczbie także Polacy, w latach 30-tych XX wieku. Do obwodu archangielskiego trafiały też osoby innej narodowości np. Finowie.<sup>4</sup> Bardzo wzruszający jest zamieszczony przez Barbarę Powroźnik opis spotkania Polaka deportowanego wraz z rodzicami w 1920 rok. Polak ten – Franciszek Łoziński – miał żonę Rosjankę i dwójkę dzieci. Pełnił funkcję konwojenta. Początkowo nie przyznawał się do polskości, ale kiedy zobaczył u autorki *Potop* Henryka Sienkiewicza, łzy wzruszenia napłynęły mu do oczu. Poprosił o pożyczanie tej książki. Pożyczał też inne polskie książki, które czytał po nocach, o czym powiedziała autorce jego żona. Niestety książki te podziały na owego konwojenta tak emocjonalnie, że w dzień urodzin Stalina

upił się i dostał szału. Wpadł do swojego biura, kantora, zerwał portret Stalina. Rzucił na ziemię i zdeptał nogami. Rozerwał na sobie koszulę i krzyczał: „Ja jestem Polakiem”.<sup>5</sup>

Zdarzenie to zakończyło się dla Franciszka Łozińskiego skazaniem na 3 lata łagru. Kiedy z niego wrócił, nie był już tym samym człowiekiem.<sup>6</sup>

Dzień 10 lutego 1940 roku stał się początkiem dramatu dla wielu polskich mieszkańców Kresów Wschodnich. Obudzeni ze snu, nad ranem, nie ubrani i wystraszeni, przedstawiali sobą opłakany widok. Warto

---

<sup>3</sup> *Indeks Represjonowanych*, t. XVII. *Deportowani w obwodzie archangielskim*, cz. 1. *Wprowadzenia* A. Gurjanow, s. 17.

<sup>4</sup> Archiwum Naukowe Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego; dalej: PTL 305/s Wysocki.

<sup>5</sup> PTL 325/s Barbara Powroźnik, *Moje przeżycia z pobytu na Syberii w latach 1940-1946*.

<sup>6</sup> Tamże.

na marginesie zauważyć, iż nawet w tej sytuacji niektórzy widzieli dobrą stronę, ponieważ to nie Ukraińcy przyszli.<sup>7</sup> Wielu byłych zesłańców opisuje zbrodnie ukraińskie z dużo większą grozą, niż deportację i pobyt na zesłaniu, jednak nie są one tematem niniejszego, krótkiego artykułu. Zaskoczenie było ważnym elementem gry sowieckich władarzy wobec polskich mieszkańców tych ziem. Pozwalało na skuteczne przeprowadzenie akcji deportacyjnej. Charakterystyczna jest opinia jednego z zesłańców na ten temat:

Nasz znajomy ze wsi Zybajły mówił nam, że Polaków będą wywozić, ale my nie poczuliśmy się do żadnej winy i przewinień i dlatego wywózka udała się.<sup>8</sup>

Przeżycie momentu aresztowania oraz dalszych wydarzeń było dla tysięcy osób doświadczeniem z jednej strony podobnym, ale z drugiej bardzo indywidualnym. O sile tego przeżycia decydowały nie tylko czynniki wewnętrzne, hart ducha, ale także nastawienie enkawudzistów, którzy przeprowadzali całą akcję.

W drodze do wagonów Polacy spotykali się z różnymi postawami miejscowej ludności od otwartej wrogości do życzliwości. Na uwagę zasługują postawy, które wymagały osobistej odwagi – pomagając pojmanym przez władze radzieckie narażało się własne bezpieczeństwo. Dobry przykład takiego zachowania daje w swoich wspomnieniach Gena Gradkowska:

Zamożny Żyd, Mendel, ustawił samowar i drżącymi rękami podawał zesłańcom gorącą herbatę i gorące mleko dzieciom. Łzy spływały mu po twarzy.<sup>9</sup>

Chociaż dalsza kolej rzeczy dla wszystkich zesłańców była podobna – załadowanie do „bydlęcych” wagonów i podróż, to przecież w każdym wspomnieniu jest pewien rys indywidualności. Przeważnie zsyłane były całe rodziny. Jednak czasami zdarzało się, że zastawano na miejscu tylko pojedynczą osobę lub częściej – kogoś z rodziny nie zastawano. Podlegali wówczas wywiezieniu ci, których zastawano, a resztę rodziny kompletowano w miarę możliwości. Więc rodzinna nie pozwalała na ucieczkę z wagonu. Kiedy jedna z zesłańek – Zofia Chrzastowska została aresztowana sama, postanowiła zbiec. Jednak kiedy w wagonie spotkała swojego męża, porzuciła tę myśl.<sup>10</sup> Inną ciekawą sytuację opisała Barbara Powroźnik. Jej matka wyszła bez problemu z wagonu nie w celu ucieczki, ale aby się wypowiedzieć:

Czekając na skompletowanie transportu nasza mamusia cichaczem skompletowała wagon i udała się do księdza, do kościoła. Wspowiadała się i przyjęła Komunię Świętą. Poprosiła księdza o ostatnie namaszczenie olejami świętymi.

<sup>7</sup> PTL 32/s, Marian Bosek.

<sup>8</sup> PTL 21/s, Anna Zybajło-Masternak.

<sup>9</sup> PTL 324/s – Gena Gradkowska, *Gena, córka osadnika...*

<sup>10</sup> PTL 163/s Zofia Chrzastowska.

Ksiądz odmówił uczynienia tego, natomiast otrzymała od księdza dużo religijnych obrazków i soli święconej.<sup>11</sup>

Do obwodu archangielskiego trafiały nie tylko osoby z wyżej sygnalizowanych – I i III deportacji, ale także osoby, które próbowały nielegalnie przekroczyć granicę. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż nie zawsze te osoby wiedziały, że przekraczają jakąś granicę. Tak było w przypadku Czesława Kuntusza, który był aresztowany w drodze do siostry, do Naczy, za przekroczenie granicy litewsko–rosyjskiej, choć nie miał pojęcia o istnieniu takiej granicy. Aresztował go Litwin, który z satysfakcją wspominał mu przejście przez Polaków Wilna, a potem przekazał go Rosjanom.<sup>12</sup> W innym wypadku aresztowano uciekiniera, który próbował przekroczyć granicę z żoną w ciąży. Warto zatrzymać się jeszcze chwilę nad tym wspomnieniem, gdyż podczas pobytu w więzieniu autor wraz ze współwięźniami podjął głodówkę w celu polepszenia warunków i głodówka ta zakończyła się sukcesem.<sup>13</sup> Przypadki takie miały miejsce bardzo rzadko. Owszem, czasami podejmowane były strajki głodowe, ale z reguły szybko się załamywały. Głód był silniejszy.<sup>14</sup>

Próby oporu podejmowane były przez cały okres zesłania – oczywiście nie przez wszystkich, ale w różnych formach utrzymywały się one. Oprócz oporu dość powszechnego, jakim były np. kradzieże pożywienia, czy uchylanie się od ciężkiej pracy, we wspomnieniach byłych zesłańców można przeczytać także o bardziej spektakularnych wydarzeniach. Otóż część więźniów Kargopolu napisała do Stalina list ze skargą na wyżywienie (zzielina mięso), co samo w sobie było aktem odwagi. List zapewne do Stalina nie doszedł, a w każdym razie nie było na niego odzewu, oprócz dochodzenia, kto był jego inicjatorem. Wobec tego 73 więźniów napisało drugi list do Stalina z odrąbanymi 73 palcami – na znak protestu.<sup>15</sup> Inną formą oporu było wysyłanie listów do przedstawicieli polskich władz po zawarciu umowy Sikorski – Majski. O takim liście, zawierającym nazwiska Polaków przebywających na posiołku Uksora, pisze Barbara Powroźnik.<sup>16</sup>

Na początku wojny, jeszcze we wrześniu, miały miejsce przypadki nieprawdopodobne. Otóż pociąg, który wywoził polskich żołnierzy – jeńców wojennych, nie był konwojowany przez NKWD, a przez żołnierzy Armii Czerwonej, którzy pozwalali na swobodne opuszczanie pociągu. Tak też uczynił jeden z późniejszych zesłańców. Dzięki temu jeszcze przez kilka następnych lat ocalił się od zesłania, a może jeszcze gorszego losu.<sup>17</sup>

<sup>11</sup> PTL 325/s, Barbara Powroźnik, *Moje przeżycia...*

<sup>12</sup> PTL 79/s, Czesław Kuntusz.

<sup>13</sup> PTL 167/s Piotr Makarewicz.

<sup>14</sup> PTL 304/s Czesław Blicharski.

<sup>15</sup> PTL 263/s, Władysław Jakowczyn, *Wspomnienia...*

<sup>16</sup> PTL 325/s, Barbara Powroźnik, *Moje przeżycia...*

<sup>17</sup> PTL 192/s Witold Andruszkiewicz.



Ciekawostką wartą odnotowania był fakt przewożenia niektórych zesłańców na miejsce zesłania samochodami – były to jednak raczej sporadyczne wypadki, a w materiałach archiwalnych znajdujących się w zbiorach Archiwum Naukowego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego autor odkrył jeden taki wypadek.<sup>18</sup> Dużo częściej po wyjściu z pociągu zesłańcy udawali się na miejsce saniami, bądź na piechotę. Trzeba przy tym pamiętać, iż od stacji wyjściowej do miejsca docelowego było często kilkaset kilometrów. Niejednokrotnie powożący saniami odnosili się do zesłańców brutalnie.<sup>19</sup>

Po przybyciu na miejsce, praktycznie wszyscy zesłańcy „witani” (!) byli przez komendanta posiołka słowami o upadku „Pańskiej Polski” oraz o tym, że od teraz ich nową ojczyzną jest Związek Radziecki i mają zapomnieć o Polsce. Słowa te były mniej lub bardziej obraźliwe, np.:

Przywitał nas komendant [...] Podkreślił też, że tu mamy mieszkać, tu pracować i nie warto się ludzić myślami, że kiedykolwiek Polskę zobaczymy. Te słowa jednak do nas nie trafiały, a powtarzane były często, widocznie w tym celu, aby odebrać nam wszelką nadzieję, na co w duchu nigdy nie pozwoliliśmy.<sup>20</sup>

W większości przypadków było to dla zesłańców po prostu przykre, niektórzy po takim przemówieniu wpadali w przygnębienie, jednak zdecydowana większość Polaków po prostu w nie wierzyła. Niektórzy, najbardziej odważni decydowali się nawet na otwarte kwestionowanie tych słów o upadku Polski. Zdarzały się jednak wypadki załamania i utraty nadziei – podstawowej cechy koniecznej do przetrwania. Anna Zybajło-Masternak wspomina, że jej ojciec po takim „przywitaniu” całkowicie stracił nadzieję i po kilku dniach zmarł.<sup>21</sup>

Na miejscu zesłania wprowadzano niekiedy regulamin posiołka. Oto przykład takiego regulaminu:

• zakaz oddalania się na odległość ponad 0,5 km od miejsca zamieszkania;

- zakaz organizowania zebrań;
- zakaz wspólnych modlitw;
- zakaz odwiedzania się;
- zakaz posiadania rzeczy osobistych;
- ucieczki i oddalenia są niemożliwe, bo w tajdze grożą śmiercią, a gdyby się zdarzyły, będą surowo karane.
- Kto nie pracuje, ten nie je.<sup>22</sup>

O ile pewne elementy tego regulaminu były wspólne dla wszystkich bądź większości zesłańców (np. zasada: kto nie pracuje, ten nie je), o tyle w innych, jak np. w zakazie odwiedzania się, widać ewidentną zło-

<sup>18</sup> PTL 21/s Anna Zybajło-Masternak.

<sup>19</sup> PTL 108/s Leokadia Kałuża.

<sup>20</sup> PTL 17/s Teresa Sitarek, *Wspomnienia z Syberii...*

<sup>21</sup> PTL 21/s Anna Zybajło-Masternak.

<sup>22</sup> PTL 104/s Lucjan Słodki.

śliwość, bądź nadgorliwość lokalnych władz. Nie trzeba dodawać, że właśnie od postawy lokalnych władz, zależała w dużej mierze przyszłość, czy wręcz przeżycie zesłańców. Mimo zakazu i wydawałoby się niemożności ucieczek, fakty takie zdarzały się. Czasami, choć bardzo rzadko, były one zwieńczone sukcesem.<sup>23</sup>

Przeżyciem pozytywnym była w warunkach wszechogarniającego robactwa i brudu możliwość kąpieli, tzw. bania. Jednak i ona miała swoją gorszą stronę. Po pierwsze kąpiel odbywała się w specjalnie do tego przeznaczonych pomieszczeniach. Po wyjściu z kąpieli należało nago wyjść na zewnątrz, aby dostać się do drugiego pomieszczenia, w którym otrzymywało się wyparzoną i oczyszczoną z insektów odzież – najczęściej nie swoją. Pomijając problem natury etyczno-estetycznej, stwarzało to niebezpieczeństwo rychłego przeziębienia, a w konsekwencji zapalenia płuc, które w warunkach wycieńczenia organizmu głodem, ciężką pracą i innymi chorobami, często prowadziło do śmierci. Innym problemem była konieczność pozbycia się wstydu; pozbawienie piękna i intymności tego, co z natury powinno być intymne – ludzkiego ciała. Bardzo dobrze ten problem ilustruje w swoich wspomnieniach Władysław Lasocki. Fragment tych wspomnień przytaczamy poniżej:

Podchodziły do nas nagich i wstrętnych kobiety z kubłami gorącej wody, podawały maleńkie kawałeczki szarego mydła i wymyślając kazały się myć mydłem i same polewały nas wrzątkiem, bądź lodowatą wodą. Równocześnie inne przerzucały naszą bieliznę i wymownymi gestami okazywały swój wstręt [...] Uciekaliśmy z baraczkę kąpielni szybko, bo zmuszały nas do tego jęzory babskie [...] A przecież gdy raz zmuszono mnie bym był przy myciu kobiet, to wstrętem obrzydzenia przejmowały mnie „fartuchy” – skóra, która pozostała po tłustym brzuchu [...] Do tej pory na samą myśl odczuwam przykrość.<sup>24</sup>

Przykrym doświadczeniem był brak solidarności, a nawet oszustwa zesłańców wobec towarzyszy niedoli. Choć zesłańcy niechętnie piszą o takich postawach, to zdarza się niestety wyczytać w niejednym wspomnieniu nutę goryczy, gdyż np. zostało się okradzionym przez współzesłańca.<sup>25</sup> Brakowało solidarności – inni zesłańcy nie dzielili się jedzeniem, nawet jeżeli ktoś miałby umrzeć z głodu.<sup>26</sup> Oczywiście częste były przykłady przeciwne.

Do pewnych zachowań wśród Polaków nie dochodziło lub też były tak wstydlive, że po prostu zesłańcy nie chcą o nich pisać. Do takich zachowań należał z pewnością kanibalizm. Zesłańcy piszą natomiast o relacjach zesłańców lat 30-tych z Ukrainy, którzy opowiadali im o ludożerstwie.<sup>27</sup> Przypadki kanibalizmu zdarzały się również w czasie, kiedy Polacy przebywali na zesłaniu. Oto jeden z takich przykładów:

<sup>23</sup> Tamże.

<sup>24</sup> PTL 309/s Władysław Lasocki, *Dlaczego...*

<sup>25</sup> PTL 21/s Anna Zybajło-Masternak.

<sup>26</sup> PTL 32/s Marian Bosek.

<sup>27</sup> PTL 21/s Anna Zybajło-Masternak.

Opowiadano, że rozprzestrzenił się tak straszny głód, że w samym mieście Szenkursku ginęły dzieci z przedszkola. Były dwa wypadki zaginięcia dzieci. Trwały poszukiwania, przesłuchania, aż natrafiono na ślad. Otóż te dzieci zabijano i mięso sprzedawano ludziom. Robiono studzieninę. Okazało się, że byli to ludzie z marginesu, o ograniczonej inteligencji.<sup>28</sup>

Ciężkim przeżyciem dla zesłańców była praca w nieludzkich warunkach. Ogólnie znany jest tzw. system kotłów – ustalona była norma, którą należało wypełnić. W zależności od tego, ile procent normy wykonało się, tyle jedzenia się otrzymywało. Ponieważ normy były bardzo wysokie, szczególnie dla nie nawykłych do tego rodzaju pracy zesłańców, nie można było „uczciwie” pracować, ponieważ to groziło utratą pożywienia, sił i w konsekwencji śmiercią. Stąd próbowano oszukiwać władze na różne sposoby. Prócz tego w celu przeżycia dopuszczano się drobnych kradzieży. Niestety przyłapanie na kradzieży choćby kłosów z pola groziło sądem i skazaniem na obóz pracy. W celu zaniechania morderczej pracy, która groziła utratą sił, a zatem i życia, niektórzy decydowali się na samookaleczenia. Nie zawsze skutek był zgodny z zamierzeniem. Również i w tym przypadku zamiast zwolnienia od pracy, człowiek taki sądzony był za sabotaż i otrzymywał wyrok.<sup>29</sup> Innym sposobem uchylecia się od pracy przez kobiety było celowe zachodzenie przez nie w ciążę – z kimkolwiek.<sup>30</sup> Sytuacje takie miały jednak miejsce wśród Rosjanek lub obywateli sowieckich innych narodowości. Autor nie natknął się w zbiorach PTL na wzmiankę o zachodzeniu w ciążę w celu uchylecia się od pracy przez Polki. Nie znaczy to oczywiście, że sytuacje takie nie miały miejsca, ale były raczej rzadkością. Jak już wspomniano, mimo ogólnego upodlenia, pewnych zachowań wśród polskich zesłańców nie było lub były rzadkością. Również Rosjanie dostrzegali specyficzną dla Polaków dumę, którą Sołżenicyn nazwał „dumą polską”.<sup>31</sup>

Mimo niezwykle trudnej sytuacji ludzie nie rezygnowali z rozrywek kulturalnych. Ta potrzeba, mniej pilna, niż głód, była jednak niezwykle silna. Chciano oderwać się od marazmu codzienności. Dlatego wśród relacji można napotkać nawet taką o prawdziwym muzyku, który grał na skrzypcach.<sup>32</sup> Potrzeba oderwania od brutalnej rzeczywistości miała miejsce nawet wśród więźniów kryminalnych – złodziei i innych przestępców. Przykład tego daje Blicharski Czesław:

W drugim kącie wielkiej sali, gdzie ulokowała się najstarsza grupa Polaków, siedział wąsaty /chyba oficer przedwojenny/ jegomość, który całymi wieczorami opowiadał, dobrym rosyjskim językiem, „Trylogię” Sienkiewicza. Słuchany był z nabożeństwem nawet przez żulików.<sup>33</sup>

<sup>28</sup> PTL 325/s Barbara Powroźnik, *Moje przeżycia...*

<sup>29</sup> PTL 79/s Czesław Kuntusz.

<sup>30</sup> PTL 167/s – Makarewicz.

<sup>31</sup> P. Bortkiewicz TChr, *Zachowanie wartości moralnych w sytuacjach granicznych. Studium na podstawie polskie łagrowej literatury pamiętnikarskiej*, Łódź 1994, s. 297.

<sup>32</sup> PTL 32/s Marian Bosek.

<sup>33</sup> 304/s Czesław Blicharski.

Jednym z najcięższych przeżyć na zesłaniu była śmierć najbliższych, nie tylko ojca, matki, czy brata, ale również np. dziadka. Szczególnie dzieci przeżywały emocjonalnie śmierć najbliższych. Oto jeden z opisów, ilustrujący tę sytuację:

Nie zapomnę nigdy wołania dziadka, jak pociąg ruszył z nami w Lubomlu „rodzimy kraju mój, żegnam cię na wieki”. Pochowaliśmy dziadka i postawiliśmy krzyż z wyrytym na drewnianej tabliczce imieniem i nazwiskiem [...] Nie mogę sobie przypomnieć, czy na mogile dziadka rozsypaliśmy ziemię z Polski, którą przysłali nam w prezencie nasi znajomi [...], a którą przechowywaliśmy jak najwięksi skarb.<sup>34</sup>

Często umierało w rodzinie po kilka osób, a nierzadko wymierały całe rodziny.<sup>35</sup>

Bardzo ważne miejsce w życiu zesłańców zajmowała wiara i modlitwa. Właśnie między innymi dzięki swojej religijności zyskiwali zaufanie miejscowych Rosjan. Warto zauważyć, że niektóre Rosjanki przychodziły przed obrazy religijne, które zesłańcy przywieźli z Polski, klękały i modliły się.<sup>36</sup> O religijności miejscowych Rosjan dobrze świadczy fakt, że kiedy w grudniu 1943 roku Stalin zezwolił na budowę cerkwi w Szenkursku, Rosjanie rzucili się do jej odbudowy. Już na Wielkanoc 1944 roku odbyło się w niej nabożeństwo, odnalazł się też batiuszka, który je poprowadził.<sup>37</sup>

Bycie katolikiem, osobą wierzącą, dawało nierzadko poczucie wyższości nad otaczającymi ludźmi, co było ważnym środkiem samoobrony. W tej sytuacji podeptanie medalika przez sowieckiego żołnierza nie było powodem przygnębienia, a refleksji, że ten człowiek jest „ubogi i bardziej ode mnie nieszczęśliwy”.<sup>38</sup>

Trudno przecenić znaczenie wiary dla zesłańców. Nie brak też we wspomnieniach opisów sytuacji, które trudno zakwalifikować, jako zwykłe wydarzenie. Dobrym tego przykładem jest relacja Powroźnik Barbary. Dodatkowo daje ona rzadki przykład nawrócenia:

Pewnego razu kilku chłopców wybrało się do lasu. Niedaleko drogi stała kapliczka, a w niej wisiał obraz Matki Bożej. Jeden chłopak zjął ten obraz i rzucił na ziemię. Potem go zbezczeszczył. Zadowolony wrócił do domu, w drodze powrotnej odczuwał jednak jakiś wewnętrzny niepokój. Chłopcy towarzyszący mu również to odczuwali. W nocy chłopiec zachorował. Wystąpiła wysoka temperatura, aż stracił przytomność. Zawołano lekarza. Stwierdził zapalenie płuc. Chłopiec bardzo cierpiał. Rzucił się w gorączce, mając bez przerwy, mówił o jakimś obrazie Matki Bożej, o którym jego matka, ani babka nic nie wiedziały. Na krótko przed śmiercią odzyskał przytomność i zwierzył się matce i babce z niecnego czynu. Prosił bardzo, aby odnalazły ten obraz i przyniosły mu do ucałowania, gdyż bardzo ciężko jest mu umierać. Odnalazły obie kobiety ten obraz, ob-

<sup>34</sup> PTL 8/s, Aleksandra Kubiak.

<sup>35</sup> Np. siedmioosobowa rodzina Dederskich – PTL 108/s L. Kałuża.

<sup>36</sup> PTL 32/s Marian Bosek.

<sup>37</sup> 325/s Barbara Powroźnik, *Moje przeżycia...*

<sup>38</sup> PTL 304/s Czesław Blicharski.

myły go i podały chłopcu do ucałowania. Chłopiec uczynił to z największą czcią i szacunkiem. Potem z uśmiechem na twarzy, pogodnie umarł.<sup>39</sup>

W związku z wybuchem wojny radziecko–niemieckiej została zawarta tzw. umowa Sikorski–Majski. Przewidywała ona przede wszystkim ogłoszenie „amnestii” dla wszystkich „byłych” obywateli polskich, którzy znajdują się na terenie Związku Radzieckiego. Nie od razu wiadomość o amnestii dotarła do zainteresowanych. Władzom sowieckim, zwłaszcza tym niższego szczebla, nie zależało na zwalnianiu Polaków, którzy byli dla nich wygodną siłą roboczą. Sytuacja taka miała miejsce przede wszystkim wobec Polaków uwięzionych w łagrach, którzy celowo byli przenoszeni do innych łagrów i mieszeni z więźniami innych narodowości.<sup>40</sup> Warto może odnotować na tym miejscu fakt ewakuacji łagru w Kandałakszy, na południu Półwyspu Kolskiego. Więźniowie tego łagru, głównie Polacy, byli przerzuceni za Workutę (Komi ASRR) o około 4 tysiące kilometrów. Ich trasa, choć sam Wojnarski tego nie podaje, musiała przebiegać przez obwód archangielski. Dystans ten pokonali na piechotę. Wg Edka Wojnarskiego, który sam przeżył ten koszmar, na miejsce doszło 20-25% osób. Marsz ten trwał bardzo długo – „miesiącami” i przez ten czas nie zdejmowane buty wrosły więźniom w nogi.<sup>41</sup> Kiedy w końcu dotarła do nich wieść o amnestii, musieli na własną rękę udać się do Andersa (tak było nie tylko w tym, ale w przeważającej ilości wypadków). Ich podróż trwała 3 miesiące i w czasie jej trwania siłą zdobywali pożywienie. Do tego zmusiła ich sytuacja.

Po ogłoszeniu amnestii ludzie z reguły wpadali w szal radości. Za tą radością często szła decyzja o natychmiastowym wyjeździe na południe – ponieważ obawiano się następnej zimy na północy Rosji. Powodzenie takiej wyprawy zależało od wielu czynników, jednak chyba najważniejszym była zaradność, choćby jednego członka grupy. Jedna z osób wspomina, jak Polacy sami przygotowali po rosyjsku pismo z nakazem wydania chleba, a pieczęć przyłożono z polskiej monety – to wystarczyło, aby wszędzie otrzymywali żywność<sup>42</sup>. Kiedy w grupie nie było osoby zaradnej, przedsiębiorczej, wówczas często pojedynczy zesłańcy i cała grupa byli wykorzystywani.

Ogłoszenie amnestii nie dla wszystkich było wydarzeniem szczęśliwym, dla pewnej części Polaków – zesłańców było swoistym dramatem. Tyczy się to przede wszystkim tych, którzy wcześniej zadeklarowali narodowość inną, niż polską, np. białoruską. Takim osobom niezwykle trudno było potem udowodnić, że jest się obywatelem polskim i przeważnie skazani byli na pozostanie w Związku Radzieckim. Była to osobista tragedia tych ludzi. Czesław Blicharski opowiada o przypadku samobójstwa wła-

<sup>39</sup> PTL 325/s Barbara Powroźnik, *Moje przeżycia...*

<sup>40</sup> Np. PTL 79/s, Czesław Kuntusz.

<sup>41</sup> PTL 88/s Jan Wojnarski (opis przeżyć kuzyna – Edka Wojnarskiego).

<sup>42</sup> PTL 17/s Teresa Sitarek.

śnie z tego powodu.<sup>43</sup> W swoich wspomnieniach odnotowuje też przypadek zabójstwa Polaka udającego się po zmroku do latryny. Powodem zabójstwa była chęć odebrania mu dokumentu o amnestii.<sup>44</sup>

Wśród wspomnień nierzadko można spotkać relacje o oszustach, którzy podawali się za przedstawicieli wojska polskiego w ZSRR.<sup>45</sup> Najczęściej powodowani byli oni chęcią zysku, pobierali bowiem od Polaków, którzy chcieli dostać się do wojska opłatę i dokumenty. Utrata dokumentów była w tej sytuacji prawdziwym nieszczęściem. Czasami, ale rzadko, udawało się schwytać złodzieja. Czesław Blicharski odnotował ujęcie przez NKWD oficera sowieckiego, który wcześniej ukraść mu dokumenty.<sup>46</sup> Nawet po dotarciu do polskiej armii zdarzały się jeszcze incydenty – np. Czesław Blicharski opisuje wtargnięcie pijanego enkawudzisty do Ośrodka Polskiej Armii w Tockoje – incydent ten zakończył się zastrzeleniem owego enkawudzisty!

Wiele osób na Północy pozostawiało swoich bliskich, którzy tam zmarli. Dla nich podróż czy to na południe, czy w jakiegokolwiek innym miejscu, była połączona z wielkim smutkiem. Oto jeden z przykładów:

Nadszedł moment, że musiałam opuścić grób matki, opuścić na zawsze. Zostaliśmy przewiezieni /wszyscy Polacy/ w Saratowskuju obłaść do dużej wioski Krywojar. Tam już nie było lasu, inne życie. Otworzyło się okno na świat. Niestety nie dla wszystkich. Dla mnie nie, ponieważ byłam sierotą.<sup>47</sup>

Względnie dotąd podobne losy Polaków deportowanych do obwodu archangielskiego od ogłoszenia amnestii zaczęły się różnicować. Od podjętej wówczas osobistej decyzji, szczęścia i splotu różnych okoliczności zależała dalsza przyszłość. Niektórzy, jak Aleksandra Kubiak zostali na terenie obwodu archangielskiego aż do 1946 roku, tj. do końca swojego pobytu w Związku Radzieckim, takich osób było jednak najmniej.<sup>48</sup> Wiele z tych osób, które pozostały na terenie obwodu archangielskiego po ogłoszeniu amnestii, zostało ewakuowanych na tereny o bardziej sprzyjającym klimacie, przede wszystkim na Ukrainę w 1944 roku.<sup>49</sup> Bardzo wielu spośród Polaków wyruszyło jednak na południe, najczęściej w celu odnalezienia wojska polskiego (o ile o jego istnieniu w ogóle wiedzieli). Ich losy również potoczyły się różnie. Niektórzy w drodze zmarli – przypadki śmierci w drodze na południe były dużo częstsze, niż podczas samej akcji deportacji do obwodu archangielskiego. Inni dotarli na południe, do Kazachstanu, czy Uzbekistanu, ale nie mieli już siły szukać polskiego wojska i rozpoczęli pracę w kolchozie. Tak było w

<sup>43</sup> PTL 304/s Czesław Blicharski.

<sup>44</sup> Tamże.

<sup>45</sup> Tamże.

<sup>46</sup> Tamże.

<sup>47</sup> PTL 108/s Kałuża.

<sup>48</sup> PTL 8/s Aleksandra Kubiak.

<sup>49</sup> PTL 163/s Zofia Chrzastowska.

przypadku Zofii Rydz, która ostatecznie dotarła do Aszchabadu, gdzie podjęła pracę w kolchozie przy wypasie świń. Na marginesie ciekawostka – podczas pobytu w Uzbekistanie autorka spotkała Uzbeka, który oczekiwał, że jego los poprawi się, gdy w Samarkandzie wraz z polskim wojskiem pojawi się trębacz z Lechistanu, który odegra do końca Hejnał Mariacki. Wg niego zła sytuacja w Uzbekistanie miała być karą za najazd tatarski na Polskę w XIII w. i odegranie pełnej, nie urwanej wersji hejnału miało zakończyć tą karę.<sup>50</sup> W końcu byli i tacy, którzy z północy, po przeżyciu wielu trudności i niebezpieczeństw, dotarli do wojska polskiego formowanego przez gen. Władysława Andersa.<sup>51</sup>

Repatriacja do Polski, która dla większości polskich zesłańców lat II wojny światowej odbyła się w 1946 roku lub też powrót do Kraju innymi drogami, nie zakończyły całkowicie problemu deportacji. Pozostały pewne trwałe ślady. Nie tylko w psychice. Oto przykład dolegliwości fizycznej, nabytej na zesłaniu:

Ja odmroziłem palec (duży) u nogi tak, że był zamrożony cały dzień. Dopiero wieczorem z wielkim bólem odmarzł. Od stycznia do lipca goiła się głęboka rana. Jakoś bez lekarza i lekarstw dzięki Bogu palec wygoił się, pozostał zdeformowany oraz wrażliwy na zimno<sup>52</sup>.

W tym przypadku autor może mówić o szczęściu. U wielu zesłańców pozostawały dużo dotkliwsze ślady.

Deportacja pozostawiała także inne, bolesne skutki. Na przykład Witold Andruszkiewicz po powrocie do Polski w 1955 roku przekonał się, że jego własna żona uznała go za zmarłego i wyszła za kogoś innego. Nie powróciła już do autora.<sup>53</sup>

Niejednen zesłaniec pozostawił w Związku Radzieckim – na terenie obwodu archangielskiego lub w innym miejscu – swojego ojca, matkę, żonę, męża, czy dziecko. I choć przed powrotem zesłańców do Polski Rosjanie mówili do nich, aby nie wspominali ich źle; choć ci Rosjanie – prości ludzie – niejednokrotnie uratowali zesłańcom życie, to przecież doświadczenie zesłania trudno wspominać z radością. Można je najwyżej zaakceptować. Nie każdego jednak na to stać. Stąd, w wiele lat po tamtych wydarzeniach, wracają one do tych, którzy je przeżyli. Wracają stale.

Na szczęście niektóre rany udaje się zbliznić, uleczyć. Niewątpliwie wiele cierpień zrekomensować może odnalezienie się członków rodziny. Bardzo emocjonalny, ale jednocześnie piękny opis spotkania z ojcem zamieszcza w swoich wspomnieniach Barbara Powroźnik. Warto przytoczyć fragment tej relacji:

Nagle popatrzyłam na drogę, ale jakoś tak uporczywie, jakbym spodziewała się kogoś wypatrzeć. I rzeczywiście. Co widzę? Jakaś mała plamka zarysowała

<sup>50</sup> PTL 168/s Zofia Rydz.

<sup>51</sup> PTL 100/s Zofia Piaścińska.

<sup>52</sup> PTL 104/s, Lucjan Słodki.

<sup>53</sup> PTL 192/s, Witold Andruszkiewicz.

się hen daleko. Chwilkę odczekałam i znowu popatrzyłam. Dostrzegłam już wyraźnie jakieś dwa punkciki, ledwo zauważalne. Czyżby ktoś się zbliżał? Zadrżałam cała. Jakieś dziwne uczucie mną owładnęło. Zaczęłam cichutko się modlić. Zabłysła iskierka nadziei. Może to mój tatuś idzie? [...] Modliłam się cichutko, ale tak gorąco, że aż całą twarz miałam zalaną łzami [...] Nagle przystanęłam. Jakaś znajoma postać zamajaczyła przed oczyma [...] W odległości może 30-40 kroków szedł mój tatuś! Szedł z pochyloną głową, z papierosem w ustach, w długim kożuchu i z plecakiem. Na twarzy widniał lekki uśmiech. Przy nim szła mała dziewczynka [...] Ona prowadziła ojca do nas. [...] Na widok swojego ojca krzyk straszny wyrwał się z mych piersi: „Tatusiu, mój kochany tatusiu” ... Zaczęłam biec bardzo szybko, jak tylko mogłam. Wciąż krzyczałam: „Tatusiu, mój kochany tatusiu [...] Wreszcie resztkami sił dobiegłam do ojca i upadłam na ziemię w strasznym krzyku i w szlochu i w spazmach, wciąż wołałam: „Tatusiu, mój kochany tatusiu”.<sup>54</sup>

Niestety nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

Niektórzy byli zesłańcy odbyli podróż do miejsca swojego dzieciństwa. Niech fragment takiego wspomnienia stanie się najlepszym zakończeniem tego krótkiego artykułu:

Tak bardzo cieszyłam się, wjeżdżając w znajome mi miejscowości [...] Serce kołatało mi już szybciej. Nie umiałam wyhamować moich emocji i przeżyć. Tyle lat czekałam, marzyłam, po nocach śniłam, że jestem tam. Nagle marzenia moje stają się rzeczywistością. Czułam ogromną radość, która nie miała granic.<sup>55</sup>

---

<sup>54</sup> PTL 325/s Barbara Powroźnik, *Moje przeżycia ...*

<sup>55</sup> Tamże.



**JERZY SUPADY**

## **CIERPIENIE WIĘŹNIÓW A LEKARZE GUŁAGU W ŚWIETLE LITERATURY ŁAGROWEJ**

Na podstawie obfitej literatury łagrowej można doskonale zobrazować warunki życia więźniów w sowieckich obozach koncentracyjnych. Mam na myśli ewokacje osób, które szczęśliwie przetrwały gehennę łagrów i pozostawiły spisane świadectwa obozowej egzystencji. Pomimo upływu 15 lat polskiej niepodległości temat GUŁagu jest rzadko podejmowany przez rodzimych historyków, a publikacji książkowych o łagrach ukazało się zaledwie kilka.<sup>1</sup>

Wszystkie prace wspomnieniowe i nieliczne opracowania w przeważającej mierze stanowią mrozącą krew w żyłach relację ogromnych cierpień przetrzymywanych za drutami ludzi. Polak, Jerzy Drewnowski, który z GUŁagu wyniósł wieloletnie doświadczenie, był zdania, że udreki łagierników przekraczały granice ludzkiej wytrzymałości psychicznej:

Schizofrenik cierpi, gdyż występują u niego cechy natury ludzkiej w katastrofalnym nasileniu. Męczarnie łagrowe mierzyć trzeba w tych samych wymiarach – napisał po latach na kartach swego pamiętnika.<sup>2</sup>

Najwięcej łagrów utworzono na północy Rosji, nierzadko poza kołem podbiegunowym. Zima na tamtych terenach trwała około 9 miesięcy, a towarzyszyły jej mrozy od minus 30 do minus 60°C. Charakterystyczne były także obfite opady śniegu. W niektórych okolicach bezwietrzna pogoda występowała naprzemiennie z silnymi zamieciaми i wichurami śnieżnymi, które tamtejsza ludność nazywała purgami. Gdzie indziej, np. na Kółymie, nazwanej przez polskich zesłańców „Syberią Syberii”, „występowały zimą silne wiatry” wiejące z północy na południe, a temperatury spadały do minus 70°C.<sup>3</sup> Krótkie północne lato obfitowało w roje insektów – komarów i małych much, zwanych meszkami, których ukąsze-

---

<sup>1</sup> D. Cherubin, *Ludność polska w więzieniach i obozach radzieckich w latach 1939-1941*, Warszawa 1989; J. Sariusz-Skapska, *Polscy świadkowie GUŁagu*, Kraków 1995; M. Giżejewska, *Polacy na Kółymie*, Warszawa 1997; M. Giżejewska, *Kółyma 1944-1956 we wspomnieniach polskich więźniów*, Warszawa 2000; J. Supady, *Życie i śmierć w łagrach sowieckich*, Łódź 2001; A. Dobroński, *Losy sybiraków*, Warszawa 1997.

<sup>2</sup> J. Drewnowski, *Cynga. Wspomnienia z łagrów północy 1940-1944*, Warszawa 1989.

<sup>3</sup> J. Głowala, *Purga. Wśród więźniów i zesłańców 1941-1955*, Warszawa 1990, s. 75; W. Woronowicz, *Przypadki XX wieku. 20 lat na Wyspach Sołowieckich i Kółymie 1935-1955*, Warszawa 1994; D. Garbacz, A. Zagórski, *W kleszczach czerwonych*, Brzozów-Rzeszów 1991, s. 149 i 151; S. Dakiniewicz, *Więzień P 303*, Wrocław 1992, s. 199.

nie powodowało ból, obrzęk i świąd, przyprawiając więźniów o ogromne cierpienie.<sup>4</sup>

Gryzły twarz, ręce i nogi, pozostawiając jad, od którego puchło się jak od użądlenia pszczoły – wspominał na kartach swego pamiętnika jeden z ocalałych polskich zeków.<sup>5</sup>

Dużym zagrożeniem dla zdrowia więźniów w łagrach zlokalizowanych na południowych obszarach sowieckiego państwa były przenoszące malarię komary widliszki.<sup>6</sup>

Klimat oraz obcy, złowrogi i ponury krajobraz północy wpływał przygnębiająco na psychikę więźniów. Podobnie oddziaływał na ludzi wygląd obozów koncentracyjnych, budzący grozę oraz porażający prymitywizmem i brzydotą. Łagry sowieckie powstawały najczęściej na planie prostokąta lub kwadratu. Całość obiektu była grodzona wysokim płotem z desek lub bali, na zwieńczeniu którego rozciągano drut kolczasty. Na rogach budowli stały wieżyczki strażnicze.<sup>7</sup> Wewnątrz obozowej zony lokowano „domy” dla zeków: baraki, ziemianki lub namioty, zazwyczaj przygotowywane bardzo niedbale.<sup>8</sup> Wszechobecny brud, nieświeże i cuchnące powietrze, roje pasożytniczych insektów, chłód zimą i nieznosny zaduch latem przyprawiały zniewolonych ludzi o niezwykle udręki psychofizyczne. Więźniowie spali na gołych drewnianych przyczach zwanych narami, bez okryć, w wilgotnych ubraniach, stłoczeni na deskach obozowego barłogu.<sup>9</sup> Pomieszczenia mieszkalne nie posiadały żadnych urządzeń sanitarnych. Brak wody uniemożliwiał więźniom jakąkolwiek toaletę. Fetor nie mytych ciał oraz przepoconych i zazwyczaj wilgotnych ubrań dopełniał przykrych zmysłowych i cielesnych doznań zeków. Opisane warunki sprzyjały pladze pasożytniczych owadów: pluskiew, pcheł i wszy.<sup>10</sup>

Nieodłącznym składnikiem łagrowej struktury była łaźnia, zwana po rosyjsku banią, do której więźniów zapędzano co pewien czas. Henryk Libich, przebywający w obozie w pobliżu Tomska, zapamiętał kąpiele w tamtejszej łaźni jako jedną z form obozowych cierpień.

<sup>4</sup> S. Paluch, *Wspomnienia zesłańca*, [w:] *Polacy w Rosji mówią o sobie*, Wybór i wstęp przygotował ks. Edward Walenwander, Lublin, t. I, s. 98; J. Adamowicz, „*Każda z ciernistych dróg mogła być pierwszą i ostatnią w życiu...*” [w:] J. Surwiło, *Rachunki nie zamknięte. Wileńskie ślady na drogach cierpień*, Wilno 1992, s. 22.

<sup>5</sup> S. Dakiniewicz, op. cit., s. 199.

<sup>6</sup> L. Perepeczko, *W łagrach na saratowskim szlaku*, Wrocław 1993, s. 204.

<sup>7</sup> E. Stefanowicz, *Los tak chciał. 11 lat w wiecznej zmarzlinie*, Piotrków Tryb. 1997, s. 120-121; A. Janocha, *Pod opieką Matki Bożej. Wspomnienia sybiraka 1939-1956*, Wrocław 1993, s. 37.

<sup>8</sup> D. Garbacz, A. Zagórski, op. cit., s. 159; J. Głowala, op. cit., s. 55; A. Kuusinen, *Pierścienie przeznaczenia*, Warszawa 1988, s. 101.

<sup>9</sup> J. Dzieduszycki, *Trzy lata wykreślone z życiorysu*, Lublin 1989, s. 28.

<sup>10</sup> J. Drewnowski, op. cit., s. 54; A. Popławski, *12 lat katorgi*, Gdańsk 1992, s. 222-223.

„Przeżywaliśmy tragedię, gdy po takim dniu [ciężkiej pracy – J.S.], kiedy jeszcze nie zdziżyliśmy pozbyć się dreszczy i szcękania zębami, otwierano nagle drzwi i kazano wychodzić do kaźni” – napisał w swoich interesujących wspomnieniach.<sup>11</sup>

Odzież nie chroniła więźniów w dostatecznym stopniu ani przed zimowym chłodem, ani przed pojawiającymi się latem owadami. Szczególnie dotkliwe i tragiczne braki odzieży występowały na Kołymie. Walenty Woronowicz skarżył się po latach, iż stare i zniszczone ubranie oraz plecione ze szpagatu buty nie zabezpieczały ciała przed odmrożeniami.<sup>12</sup> W łagrze, w którym przebywał Leon Łoś, więźniowie „wyglądali na nędzarzy”.<sup>13</sup> Niezwykle sugestywnie i z ironią żalony obraz ubioru więźniów przedstawił Aleksander Solżenicyn.<sup>14</sup>

System żywienia zeków opierał się na wyrafinowanym okrucieństwie, w myśl którego wielkość racji posiłków uzależniona została od wysokości wykonanej normy pracy.<sup>15</sup> Tym samym odrzucono zasadę równości więźniów wobec prawa do jedzenia, wprowadzając na jej miejsce system nie znany w dotychczasowej historii katorgi – podziału skromnej puli żywności na odpowiednie kotły (porcje). Pokarm, na który składał się chleb, wodnista zupa i kasza, czasem niewielka porcja ryby, nie wyrównywał ubytków kalorycznych, toteż więźniowie chudli, stając się z czasem istotami wyniszczonymi fizycznie i psychicznie. Przekraczając granicę degradacji biologicznej zek nie miał szans ponownej regeneracji zrujnowanego głodem organizmu, stając się tzw. dochodiagą.<sup>16</sup>

Jednakże największym cierpieniem zniewolonych ludzi była wielogodzinna niezwykle ciężka i wyczerpująca praca poza obozową zoną. Więźniowie wykonywali ją m.in. w kopalniach, w lasach, w fabrykach, przy budowie dróg, kanałów, zapór wodnych itp. W niektórych łagrach, zwłaszcza podczas wojny, kiedy znacznie ograniczano racje żywieniowe, ciężką pracę poza obozem zwano „suchym rozstrzelaniem”, bowiem w jej następstwie w ciągu kilku tygodni więźniowie ginęli z wysiłku i głodu.<sup>17</sup>

Biorąc za podstawę prawne uzasadnienie wyroku skazującego, można więźniów GUŁagu podzielić na kryminalnych i politycznych. Wymienione grupy zeków żywiły wobec siebie uczucia nienawiści i pogardy, co wykorzystywały obozowe władze, wykazując ogromną pobłażliwość wobec przestępców oraz zatrudniając ich w strukturach łagrowej administracji. Kryminaliści w odczuciach i doświadczeniach pozostałych więźniów stanowili plagę sowieckich obozów koncentracyjnych. Jerzy Głowala scharakteryzował ich w następujący sposób:

<sup>11</sup> H. Libich, *Spod Wilna na Syberię*, Warszawa 1990, s. 52.

<sup>12</sup> W. Woronowicz, op. cit., s. 141.

<sup>13</sup> L. Łoś, *Drugi brzeg Oki*, Paris 1989, s. 189.

<sup>14</sup> A. Solżenicyn, *Archipelag GUŁag. 1918-1956*, Warszawa 1990, t. III-IV, s. 172.

<sup>15</sup> A. Solżenicyn, op. cit., s. 172.

<sup>16</sup> B. Skarga, *Po wyzwoleniu. 1944-1956*, Poznań 1990, s. 109.

<sup>17</sup> A. Solżenicyn, op. cit., s. 167.

Wielu błatnych to tylko stworzenia o nazwie człowieka. Alkoholizm i przestępstwo całkowicie pozbawiło ich jakichkolwiek cech człowieczeństwa, natomiast narastało w nich tylko jedno uczucie: nienawiść do wszystkiego, nawet do siebie. Przepojeni tą nienawiścią zdolni byli do najokropniejszych zbrodni, za parę rubli gotowi mordować wszystkich.<sup>18</sup>

Okrucieństwo życia w sowieckich obozach koncentracyjnych przyprowadzało więzionych ludzi o ogromne cierpienia, bowiem system zniewolenia obliczony był na psychiczne i fizyczne torturowanie zeków. Opisany powyżej morderczy klimat, straszne warunki mieszkaniowe, niedostatek odzieży i obuwia, wyczerpująca wielogodzinna praca, permanentny głód, stałe zagrożenie ze strony obozowych kryminalistów, stosowanie przez łagrową administrację dotkliwych represji i kar, zupełne nieleczenie się ze zdrowiem i życiem przetrzymywanych w obozach więźniów to tylko fragmentaryczny zestaw czynników składających się na martyrologię niewolników GUŁagu.<sup>19</sup> Jednym z represyjnych założeń systemu obozowego w ZSRR było utrzymywanie psychiki więźniów w stanie chronicznego lęku przed unicestwieniem.

„Człowiek żyje nie dlatego, że w coś wierzy czy też czegoś spodziewa. Chroni go instynkt życia, tak samo jak każde zwierzę” – powiedział więzionemu w łagrach pisarzowi, Wałamowi Szalamowowi, jeden z rosyjskich niewolników Kołomy.<sup>20</sup>

Władze GUŁagu dysponowały całym arsenałem okrutnych kar i represji. Wszelkie uchybienia w regulaminie jakiegokolwiek łagru oraz wejście w kolizję z wymaganiami administracji obozu wywoływały całą burzę następstw w postaci kar. W takich przypadkach kierowano więźniów do baraków zaostzonego reżimu (BUR), specjalnych kompanii lub zon obostrzonej dyscypliny (RUR, ZUR) oraz zamykano w karcerach zwanych inaczej izolatorami. Według A. Sołżenicyna dobry karcer spełniał cztery podstawowe wymogi, tzn. musiało w nim być zimno, wilgotno, ciemno i głodno.<sup>21</sup>

Ksiądz Józef Hermanowicz wymienił w swoich pamiętnikach siedem podstawowych kar stosowanych wobec więźniów sowieckich łagrów: karcer, zakaz doręczania paczek w okresie kilku miesięcy (jeżeli takowe więzień otrzymywał), zakaz pisania listów, osadzenie w burze na okres 2-6 miesięcy, zsyłka do obozu karnego, osadzenie w łagrze katorżniczym oraz wytoczenie na powrót śledztwa zakończonego nowym wyrokiem.<sup>22</sup>

Okrucieństwo administracji łagrowej przejawiało się przede wszystkim w codziennym nieludzkim traktowaniu więźniów, których bito i maltretowano na różne sposoby. W. Szalamow napisał, że zeków

<sup>18</sup> J. Głowala, op. cit., s. 61.

<sup>19</sup> J. Supady, op. cit., s. 99.

<sup>20</sup> W. Szalamow, *Serafin* [w:] *Opowiadania kołymskie*, Gdańsk 1991, s. 151.

<sup>21</sup> A. Sołżenicyn, op. cit., t. I, s. 356.

<sup>22</sup> J. Hermanowicz, *Chiny – Sybir – Moskwa. Wspomnienia misjonarza z łagrów sowieckich*, London 1966, 1. 186-187.

bili wszyscy pracownicy funkcyjni łagrów.<sup>23</sup> Niekiedy, aczkolwiek rzadko, z uwagi na ideologiczny kamuflaż rzeczywistej sytuacji więźniów w obozach, ujawniano słownie represyjny charakter łagrów. H. Libich przytoczył słowa „powitania” jednego ze strażników obozu skierowanego do powracających z robót ogólnych w stanie krańcowego wyczerpania zeków: „Nam nie procenty (normy – J.S.) potrzebne, a wasza męka”.<sup>24</sup>

Podstawowy i najważniejszy obowiązek niewolnika GUŁagu – pracę egzekwowano stanowczo i bezwzględnie, zmuszając do niej nawet ludzi chorych i wycieńczonych. W obozie na Kołymie, gdzie w końcu lat 40. przebywał Janusz Siemiński, ludzi zgłaszających fizyczną niemożność przystąpienia do pracy przywiązywano do sań i „[...] wleczono po śniegu do pracy”<sup>25</sup>, zaś latem pozbawiano odzieży i wystawiano na pastwę krwiożerczych owadów. „To nie były zabawy, to były przemyślane tortury” – wspominał po latach W. Woronowicz.<sup>26</sup> Tenże świadek GUŁagu napisał, że w jednym z obozów na Kołymie:

Ludzie słabli z każdym dniem. Wreszcie wystąpiły odmowy wyjścia do pracy... Zastosowano bicie. Umierali po pierwszym uderzeniu, jeden po drugim.<sup>27</sup>

Ogromne cierpienia przeżywali więźniowie przemieszczani na piechotę z obozu do innego obozu. Marsz wynoszący zazwyczaj kilkadziesiąt kilometrów stanowił ogromną torturę dla wyczerpanych głodem i ciężką pracą ludzi. Osoby, które osłabły, szcuto psami lub mordowano przy użyciu broni palnej.<sup>28</sup>

Niezwykłych okrucieństw dopuszczono się na zekach podejmujących ucieczki z obozów.<sup>29</sup> Ludzi takich przeważnie zabijano, poddając wcześniej wyrafinowanym torturom. Zmasakrowane ciała ofiar przez dłuższy czas leżały w pobliżu obozowej bramy ku przestrodze żyjących zeków.

Do palety łagrowych cierpień dodać należy również niezwykle uciążliwe, wielogodzinne apele, podczas których kontrolowano stan liczbowy więźniów, liczne rewizje przeprowadzane w barakach oraz mordercze, wielokilometrowe drogi do pracy i na powrót do obozu, podczas których nierzadko strzelano do wyczerpanych fizycznie i ślaniających się z wysiłku ludzi.

Naszkiecowane powyżej represyjno-eksterminacyjne warunki życia prowadziły więźniów przede wszystkim do wyniszczenia fizycznego i destrukcji psychicznej jako następstwa choroby głodowej, którą w obozach nazywano eufemistycznie dystrofią. Z braku podstawowych skład-

<sup>23</sup> W. Szalamow, *Jak to się zaczęło*, [w:] *Opowiadania kołymskie*, op. cit., t. II, s. 31.

<sup>24</sup> H. Libich, op. cit., s. 95.

<sup>25</sup> J. Siemiński, *Przepaść*, rozmawiała i przygotowała do druku M. Giżejewska, „Karta” 1991, nr 1.

<sup>26</sup> W. Woronowicz, op. cit., s. 126.

<sup>27</sup> Ibidem, s. 141.

<sup>28</sup> *W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali. Polska a Rosja 1939-1942*, Wybór i opracowania J. T. Gross i J. Grudzińska-Gross, Warszawa 1989, s. 357.

<sup>29</sup> S. Mora, P. Zwierniak, *Sprawiedliwość sowiecka*, Rzym 1945, s. 237.

ników pokarmowych ludzie cierpieli na awitaminozy: szkorbut, pelagzę i kurzą ślepotę. Złe warunki sanitarno-higieniczne oraz wszechobecne owady pasożytnicze były powodem licznych chorób zakaźnych, m.in. durów – brzusznego i plamistego oraz czerwonki. Więźniom dokuczały biegunki, choroby infekcyjne dróg oddechowych, dolegliwości z zakresu poszczególnych narządów wewnętrznych, głównie nerek, pęcherza moczowego i serca. Ogromne żniwo śmierci zbierała gruźlica. Szerzyły się choroby weneryczne, odmrożenia, zranienia w następstwie wypadków przy pracy, złamania kości oraz przeróżne stany wymagające interwencji chirurgicznej.<sup>30</sup>

Prawie w każdym łagrze znajdowała się część sanitarna (sanczast), gdzie funkcję medyka pełnił zwykle lekpom, czyli felczer, ale w której nierzadko pracowali doświadczeni i uzdolnieni lekarze. Podstawową jednostką sanczasti była izba chorych zwana stacjonarem, pomieszczenie z kilkoma łózkami dla ciężko niedomagających więźniów. GUŁag posiadał również własne szpitale, które dzieliły się na łagrowe, rejonowe i centralne.<sup>31</sup>

W *Opowiadaniach kołymskich* W. Szałamow wyraził opinię, iż

Życie w łagrze tak jest zorganizowane, że naprawdę realną pomoc więźniowi może okazać jedynie pracownik medycyny.<sup>32</sup>

Obozowa służba zdrowia, której istnienie wpływało z przesłanek ideologicznych oraz było zgodne z dwoistością oblicza łagrowej rzeczywistości, posiadała pewną niezależność od władz administracyjnych. Jej personel rekrutował się spośród więźniów, toteż w większości swoim chorym współtowarzyszom niedoli okazywał wyrozumiałość i życzliwość, w miarę skromnych możliwości starając się nieść realną pomoc chorym zekom.

Po raz pierwszy z łagrową służbą medyczną stykali się więźniowie na tzw. komisji lekarskiej, przydzielającej ludziom odpowiednie kategorie zdrowotne. W komisji oprócz lekarza lub lekpoma zasiadały jeszcze dwie osoby reprezentujące władze łagru. Od decyzji komisji zależał rodzaj pracy więźnia, czyli większe lub mniejsze szanse na przetrwanie. Ona opiniowała także o stanie zdrowia osób przebywających na leczeniu

<sup>30</sup> J. Supady, *Choroby jako podstawowy czynnik eksterminacji więźniów w obozach koncentracyjnych w Rosji sowieckiej*, [w:] *Choroba jako zjawisko społeczne i historyczne*, pod redakcją B. Płonki-Syroki, Wrocław 2001, s. 259-264.

<sup>31</sup> J. Supady, *Życie i śmierć...*, op. cit., s. 141.

<sup>32</sup> W. Szałamow, *Czerwony krzyż*, [w:] *Opowiadania kołymskie*, op. cit., t. I, s. 186-187.

szpitalnym<sup>33</sup>, kierując zdrowiejących więźniów z powrotem do obozu lub do baraków specjalnego żywienia.<sup>34</sup>

Do stacjonaru udawali się codziennie ludzie w nadziei otrzymania zwolnienia z pracy, albowiem, jak napisała Eugenia Ginzburg, było to najskuteczniejsze lekarstwo w łagrze.<sup>35</sup> Matylda Temkin uwolnionych od pracy zeków nazywała szczęśliwcami, gdyż przez pewien czas znajdowali się w sytuacji zbliżonej do pridurków, czyli osób funkcyjnych.<sup>36</sup> Lekpomów i lekarzy obowiązywał, wyznaczony przez władze, limit wydawanych zwolnień. Adolf Popławski, który spędził w Rosji dwanaście lat, napisał m.in.:

Jeżeli ktoś był chory musiał [...] otrzymać na punkcie sanitarnym zwolnienie. Ale chorych byty setki, a limit na zwolnienia wynosił tylko 10-20 osób i lekarz musiał się tego trzymać.<sup>37</sup>

Zatrudniony w stacjonarze dr Bolesław Stec za zwolnienie z pracy zbyt dużej liczby więźniów został karnie przeniesiony do innego obozu.<sup>38</sup> Obejmując ponownie stanowisko lekarza, z egzaltacją wspominał swój pobyt w łagrze Pieczornaja:

Było to prawdziwe piekło ludzkie. Głodni, źle ubrani, wyganiani do morderczej 12-godzinnej pracy, biedni ci ludzie szukali ratunku w lekarzu. Zwalniałem kogo mogłem, ale kierownicy obozów mieli wyznaczony plan i wydajność pracy, który bezwarunkowo musiał być wykonany.<sup>39</sup>

Doktor Witold Jaroszyński podał, że podstawowym warunkiem zwolnienia więźnia z pracy była towarzysząca chorobie wysoka gorączka:

[...] kto nie miał gorączki, nie był uważany za chorego. Zasada ta panowała powszechnie w obozach i była czasem przyczyną śmierci.<sup>40</sup>

Marzeniem wszystkich zeków stał się szpital, w którym pobyt wymagał zgody lekarza lub lekpoma. W opinii większości byłych więźniów GUŁagu personel medyczny okazywał pacjentom dużą życzliwość, a warunki panujące w szpitalach, zwykle bardzo skromne, w porównaniu z nędzą i niedolą obozowego życia wydawały się rajem. Fakt spoczywania

<sup>33</sup> M. Temkin, *W sowieckim łagrze. Wspomnienia komunistki*, Warszawa 1989, s. 59; W. Grubiński, *Między młotem a sierpem*, Warszawa 1990, s. 240-244; M. D. Baczyski, *Ty musisz żyć, aby dać świadectwo prawdzie: pamiętnik zesłańca*, Warszawa 1990, s. 227.

<sup>34</sup> A. Popławski, op. cit., s. 55.

<sup>35</sup> E. Ginzburg, *Stroma ściana*, Warszawa 1990, s. 123. Przełożonym służby sanitarnej w łagrze była naczelnik oddziału sanitarnego (sanczasti), któremu podlegał cały personel medyczny sangorodków i szpitala.

<sup>36</sup> M. Temkin, op. cit., s. 59.

<sup>37</sup> A. Popławski, op. cit., s. 40.

<sup>38</sup> B. Stec, *Od rewolucji do łagru. Wspomnienia lekarza*, Hove Sus 1988, s. 30.

<sup>39</sup> Ibidem, s. 32.

<sup>40</sup> W. Jaroszyński, *Na dziesięć lat za druty*, Londyn 1987, s. 223. W gestii lekarzy zatrudnionych w stacjonarach leżało także komisyjne określenie kategorii zdrowotnej więźniów i kierowanie osób chorych do szpitali lub sangorodków, czyli kołom z których nie trzeba było wychodzić do pracy.

na łóżku i w czystej pościeli, niewychodzenie do strasznie ciężkiej pracy i korzystania z lepszego żywienia stwarzał wymęczonym zekom iluzję szczęścia. Poza tym w sytuacjach skrajnego wyeksploatowania ludzkich organizmów leczenie szpitalne pozostawało przysłowiową ostatnią deską ratunku. Dlatego uciekano się do różnorodnych sposobów, aby doświadczyć wspomnianych dobrodziejstw, a tym samym ocalić życie. Tak więc np. Tadeusz Kochanowicz w momencie krytycznej utraty sił trafił do szpitala dzięki życzliwej decyzji lekpoma.<sup>41</sup> Więźniarka Kołymy, Eugenia Ginzburg, w kontekście warunków panujących w obozie, określała magadański szpital więzienny jako „kraj cudów”. Po latach napisała w swoich wspomnieniach z łagrow na Kołymie:

Tutaj się leczy, karmi, ratuje i mnie i moje sąsiadki. A przecież zżyłam się już z myślą, że ludzie, z którymi się spotykałam przez ostatnie trzy lata, jeśli nie byli więźniami, mają tylko jedno pragnienie: dręczyć i mordować.<sup>42</sup>

W słowach pełnych uznania wyrażała się także o personelu szpitala, przede wszystkim „lekarce – aniele”, która „[...] uratowała życie dzieciątkom ludzi”.

Korzystne wrażenie z łagrowego szpitala wyniósł także A. Popławski, stwierdzając po latach, że: „Stosunek personelu do chorych był przychylny”.<sup>43</sup> Szpital, który niejednemu więźniowi uratował życie, w ewokacjach Barbary Skargi jawił się miejscem wyjątkowym:

Lubiłam szpital, bo zajmował on jeden z tych najwyższych kręgów piekła, była w nim jeszcze jakaś nadzieja, panowała życzliwość.<sup>44</sup>

Dr W. Jaroszyński, trafiając do szpitala w następstwie krańcowego wyczerpania pracą fizyczną, odczuł wielką przyjemność przebywania w nowych, higienicznych warunkach i w otoczeniu życzliwego personelu.<sup>45</sup> Równie dobre wrażenie sprawiły szpitale w łagrach na Tadeuszu Laskowiczu, więzionym w Rosji po II wojnie światowej. „W szpitalach czysto, obsługa fachowa, złożona z więźniów-lekarzy i pielęgniarzy” – napisał potem we *Wspomnieniach z za krat*.<sup>46</sup>

Wdzięczność dla pracujących w szpitalu w Podgornioje medyków: Azinkowicza i Wasilewskiego wyraziła na kartach swoich wspomnień Lidia Nowoszyńska, deportowana z Wileńszczyzny w głąb Rosji w 1951 r.<sup>47</sup> W podobnym tonie wspominała leczenie w Saratowie Janina Kielczewska-Michejda, którą z kostnicy, gdzie znalazła się w stanie ogrom-

<sup>41</sup> T. Kochanowicz, *W Komi i gdzie indziej. Wspomnienia z pobytu w ZSRR (1939-1942)*, Warszawa 1989, s. 50-51.

<sup>42</sup> E. Ginzburg, op. cit., s. 236.

<sup>43</sup> W. Jaroszyński, op. cit., s. 265.

<sup>44</sup> B. Skarga, op. cit., s. 35.

<sup>45</sup> W. Jaroszyński, op. cit., s. 228.

<sup>46</sup> T. Laskowicz, *Wspomnienia z za krat*, Milicz 1993, s. 15.

<sup>47</sup> L. Nowoszyńska, *Był to straszny wrzesień 1951 r.*, [w:] J. Surwiło, *Rachunki nie zamknięte...*, s. 30.



nego wycieńczenia fizycznego oraz bezprzytomności, zabrał do szpitala doświadczony lekarz łagrowy. W relacji zatytułowanej *Było nas 300 kobiet-zesłanek...* napisała:

Na mojej sali były same Rosjanki, również więźniarki, i ich dobroci, jak i „niań” (tak nazywałyśmy sanitariuszki) zawdzięczam wiele. Wiele też dla podniesienia mnie na zdrowiu i duchu uczynił profesor doktor Astrachanow.<sup>48</sup>

W tym zalewie pochwał pod adresem szpitali znalazły się również głosy krytyczne, albowiem chorzy więźniowie, pomimo ogarniającego ich w warunkach nowej egzystencji błogostanu, obserwowali niedostatki szpitalnej higieny, braki kwalifikacji zatrudnionego personelu, a przede wszystkim powszechne ubóstwo leków i sprzętu.<sup>49</sup> Pomimo bardzo trudnych warunków pracy lekarze zatrudnieni w obozowej służbie zdrowia w większości zasługiwali na uznanie, szacunek i wdzięczność zeków. Nie małe znaczenie dla zrozumienia ich życzliwej wobec pacjentów postawy ma fakt, że sami przeważnie rekrutowali się spośród więźniów; los zniewolonych, nieszczęśliwych i chorych ludzi był im w dwójnasób bliski. Ponadto można mniemać, że rosyjskie środowiska medyczne starały się hołdować pewnym wzorcom i zachowaniom humanitarnym, sięgającym swym rodowodem czasów sprzed rewolucji bolszewickiej. Dlatego np. we wspomnieniach Matyldy Temkin lekarz urastał do roli bohatera, który bez względu na sytuację oraz pomimo towarzyszącego mu poczucia bezsilności starał się do końca wypełniać swoje obowiązki.<sup>50</sup> Ksiądz Józef Hermanowicz, który przebył operację w obozowym szpitalu centralnym, w bardzo ciepłych słowach opisał tamtejszego chirurga.<sup>51</sup> Godny zacytowania fragment pamiętnika Edwarda Kołpaka jest najlepszą ilustracją uczuć, jakie żywili do lekarzy więźniowie:

Bardzo dużo pomagali mi lekarze, również swoje życie zawdzięczam przede wszystkim bogu i radzieckim lekarzom [...]. Bardzo jestem wdzięczny lekarzom, że przetrwałem, bo gdyby nie oni, to moje kości też by poniewierały się po brzegach rzeki Kija, jak to się poniewierały setki tysięcy innych ludzi.<sup>52</sup>

Pisarz Waclaw Grubiński tymi słowy określił lekarza-Ukraińca, z którym się zetknął w łagrze: „Był to człowiek uczciwy, który naprawdę chciał nam ulżyć”.<sup>53</sup> Innemu Polakowi, Mieczysławowi Dominikowi Ba-

<sup>48</sup> J. Kielczewska-Michejda, *Było nas 300 kobiet-zesłanek*, [w:] J. Surwiło, *Rachunki nie zamknięte...*, s. 31.

<sup>49</sup> L. Perepeczko, op. cit., s. 130-131. Dr L. Perepeczko opisał bardzo prymitywnie urządzone szpital łagrowy, w którym podstawowym środkiem terapeutycznym, stosowanym w przypadku każdej choroby, był nadmanganian potasu. Rosyjska pielęgniarka tegoż szpitala, wykonując u więźniów masowe szczepienia przeciwko durowi brzuszemu, w dziesięcioosobowych grupach zeków dokonywała iniekcji przy użyciu tej samej, nie zmienianej igły. M. Temkin, op. cit., s. 61. W opisanym przez M. Temkin szpitalu używano wielokrotnie tych samych bandaży, piorąc je i bez sterylizacji stosując do opatrywania ran więźniów.

<sup>50</sup> Ibidem.

<sup>51</sup> J. Hermanowicz, op. cit., s. 118.

<sup>52</sup> E. Kołpak, *Piętnaście lat tulaczki 1940-1955*, Kraków 1990, s. 42.

<sup>53</sup> W. Grubiński, op. cit., s. 246.

czyńskiemu, w obozie dla inwalidów w pobliżu Komsomolska bezinteresownie pomogła przyjść do zdrowia, pracująca tam lekarka rosyjska.<sup>54</sup> Dzięki protekcji łagrowego lekarza Marian Marek Bilewicz został funkcyjnym pracownikiem szpitala.<sup>55</sup>

Rzadko krytykowano lekarzy. Na przykład Barbara Skarga, oprócz wielu pochwał pod adresem obozowej służby medycznej, stwierdziła, iż:

Byli też wśród lekarzy zimni dranie, którzy patrzyli tylko na wielkość wskazanej w rękę łapówki, trzeba jednak przyznać, że spotykało się takie typy rzadko, przeważnie na dalekich, pozbawionych wszelkiej kontroli łagpunktach.<sup>56</sup>

O niezyczliwym, wręcz wrogim stosunku niektórych przedstawicieli łagrowej służby sanitarnej do więźniów Polaków, informowała publikacja *Polacy w Rosji mówią o sobie*.<sup>57</sup>

Więźniowie korzystający z dobrodziejstw obozowego leczenia zapamiętali stan ubóstwa środków, głównie leków i sprzętu, będących w posiadaniu łagrowej służby medycznej. Nierzadko jedynym lekiem, którym dysponowano w stacjonarze, był nadmanganian potasu, stosowany zewnętrznie lub doustnie, w zależności od rodzaju dolegliwości. Cyndze starano się przeciwstawiać, zalecając picie gęstego, zupełnie nieskutecznego wywaru z igieł rosnącego w tajdze cedrowca.<sup>58</sup> Ten sam cel miał spełniać sok z brzozy. W przypadku gorączki podawano aspirynę i chininę. Salol znajdował zastosowanie w bólach gastralnych, krople walerianowe w chorobach serca. Już w czasie II wojny światowej w niektórych łagrach wprowadzano leczenie pelagry zawiesiną drożdży. Brakowało środków narkotycznych, dlatego nieraz zabiegi chirurgiczne wykonywano bez znieczuleń.<sup>59</sup> Ksiądz Walter Ciszek wspominał obóz, w którym ze względu na brak dostaw preparatów gotowych starano się przygotowywać leki w postaci pigułek i proszków.<sup>60</sup> W relacji Polaka Stanisława Z., opublikowanej w książce *W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali...*, znalazło się zdanie lapidarnie charakteryzujące szpital, w którym przebywał autor: „Brak lekarstw i złe odżywianie było powodem dużej śmiertelności”.<sup>61</sup> Na temat ubóstwa środków medycyny obozowej i tragicznych następstw tego stanu rzeczy dla więźniów wspominał w swojej książce Oleg Wołkow.<sup>62</sup> Niezwykle skromnie wyposażony był również szpital, w którym pracowała M. Temkin:

<sup>54</sup> M. D. Baczyński, op. cit., s. 226-229.

<sup>55</sup> M. M. Bilewicz, *Wyszedłem z mroku*, Warszawa 1989, s. 216.

<sup>56</sup> B. Skarga, op. cit., s. 65.

<sup>57</sup> *Polacy w Rosji mówią o sobie*, s. 36.

<sup>58</sup> J. Zawadzka, *Łagierniczki. Dziesięć lat w polarnym kraju*, Warszawa 1991, s. 45; O. Wołyński, *Głos z Gulagu. Rozmowa z Ewą Berberyusz*, Warszawa 1988, s. 33; E. Ginzburg, op. cit., s. 164.

<sup>59</sup> W. Woronowicz, op. cit., s. 233.

<sup>60</sup> W. Ciszek, D. Flaherty, *Z Bogiem w Rosji*, Warszawa 1990, s. 260.

<sup>61</sup> *W czterdziestym nas Matko...*, op. cit., s. 425.

<sup>62</sup> O. Wołkow, *W otchłani*, Warszawa 1993, s. 381.

A wyposażenie? Strzykawki, termometry, jeden lub dwa termofory, prymitywny instrument do przepłukiwania żołądka, naczynie do lewatywy, bańki, nożyczki, lampka spirytusowa do gotowania igieł. Apteczka nędznie zaopatrzona.<sup>63</sup>

Na punkcie przesyłkowym, gdzie pracował dr B. Stec, w apteczce znajdowała się „[...] aspiryna, jodyna, rycyna, nadmanganian potasu i parę innych leków”.<sup>64</sup>

Sytuacja w łagrach pod tym względem właściwie nigdy się nie zmieniła, niezależnie od warunków politycznych, w jakich znajdowało się państwo sowieckie.

Podane przykłady działalności łagrowej opieki medycznej miały na celu zasygnalizowanie zjawiska, które w rosyjskich obozach pracy, pomimo pewnych schematów organizacyjnych, miało bardzo złożony charakter. Na podkreślenie zasługiwały cechy wspólne medycyny obozowej: jej pewna autonomia, duża życzliwość personelu wobec leczonych pacjentów oraz permanentne ubóstwo leków i sprzętu. W relacjach byłych więźniów GUŁagu na temat służby medycznej zdecydowanie przeważały opinie pozytywne.

---

<sup>63</sup> M. Temkin, op. cit., s. 61.

<sup>64</sup> B. Stec, op. cit., s. 26.

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na monotematyczny zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne. Często też stanowi on bazę źródłową dla studentów piszących prace magisterskie z zakresu historii.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej pod red. Janusza Przewłockiego przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy polską historiografię o ważne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. W dziale tym publikujemy relacje XIX-wiecznych zesłańców, a także współcześnie żyjących, którzy w okresie ostatniej wojny przebywali w sowieckiej niewoli. Zwracamy się więc do Czytelników o przesyłanie swoich zesłańczych relacji.

Tym razem dział „Relacje...” zawiera opisy Kazachstanu pochodzące z XIX oraz XX wieku. Mamy nadzieję, że zainteresują one Czytelników, zwłaszcza tych którzy byli na zesłaniu w Kazachstanie. (red.)

\*

### **Adam Suzin – *Wycieczka w stepy kirgiskie***

Adam Suzin urodził się w 1800 roku z powiecie Kobryń (dzisiejsza Białoruś). Biografowie jako miejsce jego urodzenia podają Zaleszany lub Kulinowszczyznę w tymże powiecie. Rodzina jego legitymowała się szlacheństwem, a dom rodzinny prowadzony był zgodnie z przynależnymi rodom szlacheckim atencjami do kształcenia dzieci i wychowywania ich w duchu patriotycznym. Mając 19 lat A. Suzin rozpoczął studia na Wydziale Fizyczno-Matematycznym (1819) Uniwersytetu Wileńskiego. Tam związał się z młodzieżą filarecką i podobnie jak inni z tego kręgu został aresztowany. Zesłano go do twierdzy Kizyl niedaleko Orenburga. Na zesłaniu spotkał się z Tomaszem Zanem i obaj prowadzili badania przyrodnicze Kraju Orenburskiego.

W 1834 roku odbył podróż na teren Kazachstanu i poczynił interesujące obserwacje dotyczące życia i historii Kazachów. W roku 1837 został zwolniony z zesłania, przez jakiś czas przebywał w Petersburgu, potem w Kijowie. Ostatnie pięć lat życia spędził w Warszawie, gdzie zmarł w 1879 roku.

Publikowana poniżej relacja to wielowątkowy obraz życia Kazachów, stanowiący dzisiaj ważne źródło do rekonstrukcji katalogu faktów kulturowych tego stepowego narodu, wielowiekowego dziedzica przestrzeni kazachskich stepów. Współcześni uczeni kazachscy są zdania, iż opisy A. Suzina to ważny dokument pozwalający na spojrzenie wstecz uświadamiające wielorakość kultury kazachskiej w czasach mnionych.<sup>1</sup>



Przewóz przez Ural zatrzymał mię dość długo, nędzne konie baszkirskie ledwie co nie uwięzły w błocie i całą drogę wiorst 26, aż do Dołgownego wlokły się powoli kulejąc, tak że już dość późno w nocy stanąłem na noclegu. Znalazła się izba osobna i czysta dla przejeżdżających, gospodarze z samowarem i ze wszelką usługą gotowi, przez generała Struków umyślnie na ten cel osadzeni. Mimo to zasnąć prawie całą noc nie mogłem, bo bolała mnie głowa od całodziennego trudu. Nazajutrz dość jeszcze rano przybyłem do Ileckiej Zaszczyty, gdzie na prośbę F. chciałem się u nich zatrzymać na kwaterze, ale wkrótce pomiarkowałem, że tam ani jednej minuty nie miałbym spokojnej, tak dla szczupłości mieszkania, jak też dla ustawicznych kłopotów obowiązkowych gospodarza, który oprócz tego mieszkania był złośliwy i niewiele przyjemności ze swego towarzystwa obiecywał. Prosiłem tedy i otrzymałem inną kwaterę osobną, u niejakiego Rybakowa, gdzie także nie miałem zupełnej spokojności, gdyż przeze drzwi u gospodarza, który jak mi powiadano dobrze pije. Odbywały się długo w noc szumne biesiady, oprócz tego ogromny w kącie stojący zegar głośnym swoim ruchem i mocnym a przedłużonym wybijaniem godzin, ustawicznie drażnił moje nerwy i tak już rozkołysane i do bezsenności usposobione.

Od kozackiego oficera Piotrowa, który, jak mię zaręczali, ma być najlepiej wszystkich stepowych rzeczy świadomy, dowiedziałem się, że sułtan Baj-Muchamed koczuje o 50 wiorst od Burannego Forpostu odległego od Zaszczyty wiorst 40. Tenże Piotrow oświadczył chęć jechania ze mną do sułtana, musiał tylko pierwszej dla niektórych interesów być w Orenburgu skąd niezawodnie nazajutrz powrócić przykazał. Nie chcąc opuścić tak dobrej zręczności postanowiłem parę dni zabawić w Ilecku, zwłaszcza, że kilkudniową bezsennością osłabione siły, niejakiego wytchnienia wymagały. Zwiedziłem kopalnie soli i alabastru, przypatrzyłem się w pierwszych machinie do dźwigania wody, której dalej w głąb posuwać się nie pozwala, dla osuszenia wszakże jedna machina nie jest dostateczna, gdyż pomimo ciągłego działania pompy, woda była przeszło na sążeń głęboka. Chodziłem też po bulwarach w około obszernego stawu i po wyszającej nad wodą altanie. Wszystko dosyć ładne, wszakże Ilecka Zaszczyta w ogólności przykre mi zostawiła wrażenie, wszystkie dni mojego w niej pobytu męczony byłem bezsennością i nie miałem nawet ochoty wchodzić w szczegóły robót odbywanych w kopalniach, ani zwiedzać okolic, odkładając to do powrotu ze stepów.

Nie doczekawszy się Piotrowa pierwszego czerwca wyruszyłem w dalszą drogę po nowoileckiej linii sam jeden. Od F. dostałem nieco bibuły do zasuszania kwiatów, gdyż wyjeżdżając z Orenburga dla wielu kłopotów nie miałem

---

<sup>1</sup> W. T. Słabczyński, *Słownik podróżników polskich*, Warszawa 1992, s. 299-300; A. Kijas, *Polacy w Rosji od XVII wieku do 1917 roku. Słownik biograficzny*, Warszawa – Poznań 2000, s. 340; W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998, s. 584-586.

czasu o tym pomyśleć. Przed wieczorem stanąłem w Burannym, gdzie przemocowawszy dość niewygodnie, nazajutrz dnia, drugiego czerwca, wyprawilem się w stepy konno z eskortą sześciu kozaków. Pod rzeczy dano mi telegę, za godzinę stanęliśmy nad Ileckiem, którego malownicze wybrzeża bogate są w bujne łąki, i tu i ówdzie pięknymi drzewami porośłe, przeprawa zajęła nieco czasu, gdyż konie trzeba było wykładać i osobno wplaw przez rzekę przepędzać a rzeczy i ludzi na maleńkim i dziurawym czółenku częściami przewozić. Bok bolał i kaszel męczył mię niezmiernie. Zostawało jeszcze do przejechania niemała przestrzeń, było to prawie nad moje siły, ciągłą bezsennością od mojego wyjazdu z Orenburga nadzwyczaj osłabione. Za tym wszystkim wracać było niepodobna i nie było po co. Kilkoletnie doświadczenie przekonało mię bowiem, iż w Orenburgu można stracić, lecz nie odzyskać zdrowie. Kumys i stepowe życie zdawały się jedynym środkiem, którego chciałem koniecznie spróbować. Zresztą jeżeli już przyszła pora umierać to wolałem zakończyć to pełne męki życie w stepach, na łonie czystej natury, opodal od tych półcywilizowanych ludzi, z którymi obcowanie dla prostego (człowieka) i otwartego charakteru, tak trudne i przykre. Wsiadłem na konia i wśród przyśpiewów i baraszkowań kozackich puściłem się w dalszą drogę ku kurhanowi wznoszącemu się wśród równych i mało co falowatych stepów. Kurhan ten okrągłego kształtu i rowem trawą porośłym otoczony, widocznie był dziełem ręki ludzkiej. Kozacy nic więcej o nim powiedzieć nie umieli, jak że podobnych kurhanów w stepach wiele, i że to muszą być ślady koczowisk w tych miejscach bogatych Kirgizów. We dwie może we trzy godziny wjechaliśmy do kirgiskiego aułu, gdzie po raz pierwszy w tym roku napiłem się kirgiskiego kumysu, i zdało mi się, żem się trochę na siłach pokrzepił.

Kozacy nie znając sami drogi do sułtana Baj-Muchameda wzięli Kirgiza przewodnika i mimo zapewnień tego ostatniego, iż do sułtańskiego aułu było nie więcej nad 25 wiorst, jechaliśmy ku zachodowi aż do samego wieczora stepami, naprzód nie różniącymi się niczym od orenburskich, a potem pomiędzy białymi wapiennymi wzgórzami. Przewodnik sam dobrze nie wiedział o miejscu do któregośmy dążyli, trzeba było z aułu do aułu dopytywać się i tym sposobem droga nasza dość nudnie się ciągnęła. Kirgiskie auły nic szczególnego nie przedstawiały. Wszędzie także same szerokie i ogorzałe twarze, także brudne i po większej części odrażające niewiasty. Od samego rana nic nie jadłem, nie chciałem wziąć się do sucharów, aby do reszty nie popsuć żołądka, wolałem prosić o kumys; ale już to nie byli znajomi kozakom Kirgizi, i wszędzie była jedna odpowiedź: *kumys dzok*. Wszakże pasące się dokoła stada koni przekonywały o jej fałszu. To mi dało naturalnie złe wyobrażenie o chwalonej kirgizkiej gościnności dla podróżnych. Być może, iż całą tę niegrzeczność przyczyną byli zbrojni w długie piki Kozacy, na których Kirgizi z ukosa i z niedowierzaniem spoglądali.

Pod wieczór ukazało się w znacznej odległości, w różnych stronach kilka aułów, nie widzieliśmy, w którym sułtan przebywał, tymczasem konie były zmęczone i słońce miało się ku zachodowi, gdybyśmy się omylili, naówczas trzeba by nocować w stepie; posuwaliśmy się noga za nogą, nie wiedząc w którą kierować się stronę, gdy na koniec w jednym z aułów, dało się rozpoznać kilka białych namiotów. Kozacy wniesli, iż one powinny należeć do oficerów kozackiego oddziału znajdującego się przy sułtanie. Przyspieszyliśmy więc kroku i po półgodzinnej

jeździe stanęliśmy nad rzeką Utwą, którą przebywszy w bród, ujrzelśmy się niebawem pośród rozrzuconych kibitek; z prawej strony z niewielkiej odległości w półkole uszykowane były wozy i *bałaguny* uralskich kozaków.

Sułtana Baj Muchameda spotkaliśmy jadącego konno w towarzystwie sułtana Machmuda, krewnego i bliskiego powiernika i kilku innych starszych Kirgizów. Przywitał się ze mną siedząc na koniu, później zwrócił się do Kozaków i każdego prawie nazywał po imieniu wypytyując się o różne szczegóły ich domowego życia i zdawał się szczególnie być zadowolony tonem uszanowania z jakim jemu odpowiadali.

Baj-Muchamed był dość słusznego wzrostu, tuszy znacznej, twarz miał dość przystojną i mało ogorzałą, nos niemały i niepłaski; był on w chałacie z cienkiego błękitnego sukna; ogoloną głowę przykrywała mu zwyczajna tatarska jedwabna mycka i z wierzchu mała okrągła z siwych baranów czapeczka; na nogach miał meszty z zielonego safianu i trzewiki tatarskie takiegoż koloru. Zszedł z konia i uściśnął powtórnie moją rękę, powiódł mnie do swojej kibitki. Postawiono dwa składane stołki, usiadł na jednym i posadził mnie obok siebie; sułtan Machmud i inni przytomni Kirgizi zasiedli swoim zwyczajem wokoło kibitki na rozesłanych dywanach, tworząc półkole. Kibitka sułtańska niczym się nie różni od kibitek innych Kirgizów dobrze już nam od lat dziesięciu znajomych, chyba tym tylko, że daleko większa i białymi koszmami pokryta; naprzeciw drzwi przy ścianie były ułożone jedne na drugich kufry, paki, skórzane materace i poduszki; z prawej strony za perkalową firanką, siedziały kobiety, zapewne sułtańska żona z córkami, które kiedy niekiedy ukazując czarne ciekawe oczy spoza zasłony dawały wiedzieć o swojej obecności.

Oświadczyłem sułtanowi, że przysłany byłem do jego aulów w interesie, o którym nazajutrz po wypocznieniu z przykrej i niezwyklej dla mnie podróży chciałem z nim pomówić; co do siebie rad byłem ze zdarzenia, które pozwalało mi poznać się z jego sułtańską mością, pobycić czas jakiś w jego aule i pić kumys, który doktorzy jako jedyne lekarstwo dla poprawienia słabego mojego zdrowia pić zalecali.

– A czy też wymienili doktorzy – zapytał – jakie są przy kumysie najlepsze pokarmy?

– Podług nich baranina ma być najzdrowsza.

– Dobrze, ale jaka baranina?

Przyznałem się, że szczególnie nie rozpytywałem się o tym, zdaje mi się jednak, że młody kurguszek najlepiej powinien by przypadać dla słabego żołądka.

– Otóż to właśnie, my o tym lepiej wiemy od doktorów, do kumysu jednak raptem brać się nie należy; przywykając po trochu, to potem i bardzo wiele wypijać go można, inaczej kumys może zaszkodzić, dlatego ja wam w pierwszych dniach wiele pić nie radzę.

Tymczasem już od kwadransa *telengut* (służący sułtański) przelewał sporą drewnianą łyżką biały nektar w ogromnej skórzanej misie dla nadania mu tym sposobem lepszego smaku i uczynienia godniejszym ust Jego sułtańskiej mości i szanownych gości. W tem na skinienie gospodarza, nalano dwie szklanki i podano je na tacy, nie chciałem być pierwszy i sułtan zdawał się być content z tej mojej dla niego atencji. Wychyliłem szklankę od razu. Kumys dobrze przygotowany i smaczny sam z siebie, jeszcze mi się smaczniejszy wydał po ca-

łodziennym poście. Wkrótce odprowadzono mnie do osobnej kibitki, którą mi za kwaterę wyznaczono. Byłem zmęczony i potrzebowałem wypoczynku, rzuciłem się na rozesłany materac w nadziei, że po takich trudach będę mógł zasnąć, ale zaledwo upłynęło pół godziny, sułtan przysłał prosić na herbatę. Nie wypadało odmówić, poszedłem i zastałem jeszcze większe grono do koła usadowione. Dla mnie był przygotowany stołek, samowar szumiał na środku kibitki. Kilku *telengutów* uwijało się dokoła niego. Wszyscy milczeli, sułtan rozpoczął ze mną rozmowę. Od, zapytał: Jak dawno z Orenburga? Co tam słyhać nowego? Czy zdrów Gregory Fiedorowicz? Czy prawda, że wojenny gubernator zamierza także leczyć się kumysem? Jak długo zamierzasz pobyc pomiędzy nami? U nas kumysu i baraniny nie zabraknie, bylebyś do naszego życia przywyknął. Przed trzema laty żył u nas jeden z waszych, tak był chory, że głowy prosto trzymać nie mógł i zaledwie trzymał się na nogach, a wyjechał zdrów zupełnie. Podano herbatę i sułtan ubolewać zaczął nad śmiercią hrabiego Suchtelena, przez którą wiele utracił. Tego doktora co go nie wyleczył, ja bym oddał pod sąd. Teraz moje zasługi za nic są miane; dotąd żadnej nie otrzymałem nagrody, lubo jestem pewny, że żaden z rządców nie wypełnia tak akuratnie rządowych poleceń. W przeciągu dwóch lat ostatnich posłałem do pogranicznej komisji na zaspokojenie różnych pretensji, kilka tysięcy rubli pieniędzmi, 1500 baranów i kilkaset wielbłądów. Czy też pograniczna komisja doniosła o tym wojennemu gubernatorowi? Upewniłem jego sułtańską mość, że pograniczna komisja o wszystkim koniecznie gubernatora uświadomić musi; że wątpić nie można, iżby jego zasługi bez nagrody długo pozostały, że wojenny gubernator niedawno do tego kraju przybył i nie mógł w tak krótkim czasie dostatecznie rozpoznać tak licznych i tak różnorodnych interesów, i że bez wątpienia niebawem i na kirgizkie sprawy zwróci swoją uwagę.

Tymczasem powtórnie poczęto roznosić herbatę, nie wziąłem drugiej szklanki wymawiając się tym, że mnie herbata szkodzi.

– Dobrze robisz, że wiele herbaty nie pijasz, nawet zupełnie powinienes jej zaniechać, jeżeli chcesz aby kumys był pomocny.

Odpowiedziałem – iż takie właśnie było moje postanowienie, że główny cel mojego pobytu w stepach, jest poprawienie zdrowia i dlatego chcę iść w tej mierze za radą jego sułtańskiej mości.

– Czy umiesz zdejmować portrety – zapytał mnie znowu po jakimś czasie.

– Nie – odpowiedziałem, zgoła nie znam rysunków.

– To szkoda, warto by, gdybyś zdjął teraz swój portret, po dwóch tygodniach spojrzawszy w zwierciadło nie poznałbyś sam siebie, teraz twoja twarz zupełnie do ziemi podobna, potem się wypelni i ozdobi rumieńcem.

– Dałby Bóg, aby się spełniło przepowiedzenie waszej sułtańskiej mości, gdybym był tyle szczęśliwy i odzyskał zdrowie, wiecznie bym miał w pamięci pobyt mój w stepach i gospodarza, którego doznawałem gościnności.

Poczęły się zwykle między Kirgizami zabawy. Nic nie rozumiałem z ich mowy, rozmyślałem nad sposobami wyuczenia się choć w części ich języka, przez co pobyt mój w stepach byłby daleko korzystniejszy. Teraz musiałem być tylko niemym świadkiem ich rozmów, z których zapewne najlepsze by można powiedzieć wyobrażenie o ich pojęciach i charakterze. Sułtan Baj-Muchamed mówi po rosyjsku niezłe, nie może się jednak we wszystkich przedmiotach z łatwością wytłumaczyć, ani też wszystkiego zrozumieć i często do tłumacza uciekać się musi.



Lubo uprzejmie zaproszony na wieczerzę, pożegnałem atoli dostojną kompanię, gdyż gwałtem potrzebowałem wypoczynku. Wszakże całą noc zasnąć nie mogłem już to dla rozdrażnionych dziennymi przygodami nerwów, już to dla nieznośnych i bezprzeznacznych ukąszeń, których nie pojmowałem przyczyny, gdyż mnie upewniano, iż na tym miejscu pcheł wcale nie było, co dla obficie rosnącego piołunu zdawało się podobnym do prawdy. Za nadejściem dnia postrzegłem, iż byłem łupem mnóstwa maleńkich białych żyjatek, od których co najprędzej, przez wymycie się i odmianę bielizny, starałem się oswobodzić. Przypomniałem sobie przed ostatni nocleg w Burannym forpoście, gdzie wokoło łóżka, na którym noc spędziłem było mnóstwo jakiś kozuchów nie donoszonych i betów różnego rodzaju, co dostatecznie wytłumaczyć mogło prześladowających mnie owadów.

Wieczorem sułtan częstował przybyłego do niego w gościnę jednego ze znakomitszych Kirgizów sułtana Irtena Karatajewa. Główny gość zasiadł na pierwszym miejscu po prawej stronie Baj-Muchameda, mnie posadzono po lewej. Inni Kirgizi zasiedli po obu stronach w półkole. Wszystkich było do czterdziestu, taki bowiem u Kirgizów obyczaj, że nikomu do kibitki wstępu zabronić nie można; proszeni więc i nie proszeni wchodzili tłumnie, witali się z sułtanem, podchodząc do niego z uszanowaniem i ściskając go za ręce sadowili się podług znaczenia swojego na odpowiednich miejscach. Poczęto roznosić kumys w sporych misach; gospodarz i główny gość wypiwszy po jednej porcji, podane sobie po wtóre z kumysem porcelanowe miski, oddawali upodobańszym gościom, którzy za danym znakiem zbliżali się z uszanowaniem, na klęczkach, przyjmowali naczynia, odstępowali o krok nazad, przysiadali znowu i wychyliwszy biały trunek szli napelnić nim znowu podaną sobie miskę, którą odnosili na powrót temu, z czyich rąk byli przyjęli. Tym sposobem gospodarz z sułtanem Irtenem uraczyli gości, aż póki nie podano herbaty, którą na ogromnej tacy w filizankach, zupełnie po naszymu roznoszono. Tymczasem ciągle trwała między nimi ożywiona rozmowa, której z goła nie rozumiałem. Sułtan, kiedy niekiedy odzywał się do mnie z grzecznym słówkiem, zachęcał do picia kumysu, traktował herbatą. Po herbacie przynoszono po kolei każdemu miednicę i wodę w osobnym naczyniu do mycia rąk, później rozesłano wzdłuż siedzących podłużne kolorowe obrusy i podano w sporych drewnianych talerzach porzniętą w kawały baraninę, którą każdy krajał własnym nożykiem na drobniejsze kawałki, potem kładł go rękami do ust, oblizując kiedy niekiedy palce. Gospodarz i znakomitsi goście przyzywali czasami mniej dostojnych i z daleka siedzących, którym się osobne talerze nie dostały i kładli im palcami do ust po kilka kawałków razem. Jest to znak szczególniejszej względności ze strony traktującego, którą każdy z uszanowaniem i wdzięcznością przyjmuje. Sułtan podawał mi kiedy niekiedy lepsze kąski i zachęcał do jedzenia. Nie dałem się długo prosić, gdyż porządnie byłem wygłodzony i za przykładem kompanii, zajądałem się z apetytem, używając rąk zamiast widelca, smakowitą baraniną i mimowolnie przyszło mi na myśl stare nasze przysłowie: „pierwej Pan Bóg stworzył palce nie widelce”.

Gdy się już wszyscy należycie posilili, zdjęto obrusy, podano wodę do umycia rąk i znowu misy z białym napojem gęsto krążyć poczęły. Kumys będąc napojem wielce posilnym, ma oprócz tego moc szczególniejszą, sobie właściwą, i jak sam tego doświadczyłem, dziwnie pomaga do trawienia tłustej baraniny, która inaczej dla słabego żołądka za ciężką i nawet niebezpiecznie szkodliwą być by mogła. Jest to trunek jedyny moich koczujących przyjaciół i zastępuje u nich miejsce gorących napojów, z tą tylko różnicą, iż posiadając dobre ich

przymioty, nie wywiera tych szkodliwych skutków, na jakie przez zbyteczne używanie tamtych, nasi cywilizowani Europejczycy narażeni bywają.

Następującej nocy spałem nieco lepiej, co zdaje się było dobrym skutkiem kumysu. Wstawszy poszedłem wkoło aułu rozsypanego na niezbyt rozległej równinie, przetrzniętej z południowego wschodu na północny zachód rzeczką Utwą (Czungutrau) i wzgórzami częścią wapiennymi, a częścią gliniasto-piaszczystymi otoczonej. Grunt równiny dość mizerną trawą porosły piaszczysto-wapiennymi, gdzieniegdzie z czarnoziemem zmieszany, wszędzie prawie solą przejęty, która w miejscach, gdzie kałuże powysychały, w drobnitkich kryształkach osiadła bieleje. Na pierwsze wejście myślałem, iż to był kolor wapna, ale przypatrzwszy się lepiej ujrzałem małe przezroczyste kryształki, które miały wyraźny smak soli. Na północ o wiorst kilka sterczał biały jak śnieg podługowaty Turtabasz, a na wzgórzach od południa roznosiły się na mogiłach kirgizkich wzgórki z darni i kredy, zapewne z okolicznych gór przywiezionej. Utwa wąska i powoli płynąca raz tak płytka, iż ledwie do kolan koniowi dochodzi, ma atoli miejsca, w których Kozacy oddziału przy sułtanie będącego łowią dość spore sumy, szczupaki, jazie, karasie, okonie, itd.; brzegi po obu stronach dość wysokie piaszczysto-wapienne, zawierają w sobie mnóstwo jednego gatunku muszelek, których nazwy nie wiem. Kwiatów zastałem bardzo niewiele, może z powodu licznych stad różnego rodzaju bydła, które się na tych miejscach już przeszło od tygodnia pasie. Najobficiej rośnie piołun, *euforgia poheutilla astragalus*, *salvia timus* (bogurodskaja trawa), *convolvulus scorzoneria*, *trifolium* i kilka innych gatunków, których nazwiska nie pamiętam lub nie wiem, a które zbieram i staram się w bibule w Ileckiej. Zaszczycie wziętej, nim obiecana przez Tomasza nadejdzie. Bohdanów Tatar powiedział mi, iż mocny odwar z korzeni euforbii w umiarkowanej ilości przyjęty, jest najskuteczniejszym lekarstwem od bólu w boku, jakowego skutku on sam na sobie doświadczył.

Pod wieczór poszedłem nieco dalej w stepy, zerwałem kilka kwiatów i powracałem nazad znużony, gdy idąc mimo jednej kibitki postrzegłem kilka Kirgizek siedzących u drzwi i zajmujących się szyciem. Między nimi była jedna młoda dosyć biała, i gdyby nie płaski nos, wcale nie szpetna dziewczyna, inne stare i skrzywione. *Salaumalejkum! Malejkusalau! Kajda barasiu?* i inne wyrazy, których nie rozumiałem i nie pamiętam, były wyrzeczone przez jedną z nich, która zdawała się gospodynią tej kibitki. Potem na wezwanie: *utur'* usiadłem koło nich i pokazałem moje kwiatki, chcąc im dać do zrozumienia, jaki był cel mojej przechadzki. Między kwiatkami, które trzymałem w moim ręku był jeden z czerwonym korzonkiem, który moja gospodyni schwyciła, odłamała i zaczęła pocierać nim twarz swoją, potem przybliżyła się do mnie i chciała mi zrobić tę samą usługę, ale nie chcąc zostać w stepie elegantem i spodziewając się nabyć od kumysu wkrótce naturalnego rumieńca, usunąłem się wołając: *dżók, dżók, jaman, jaman!* Tymczasem drugie przyglądały się mojemu kamlotowemu surdutowi, białemu kołnierzykowi i młoda dziewczyna już coś wyszyć zieloną, wełnianą nitką na mojej pole; wyjąłem chustkę z kieszeni, a podając jej starałem się dać do zrozumienia, iż wołałbym na chustce mieć znak zielony na pamiątkę od niej, nie wiem czy byłem zrozumiany, wszakże moja nimfa przyjęła chustkę i natychmiast wzięła się do roboty. Przez cały ten czas stara, którą miałem za gospodynię nie przestawała rzucać na mnie czułych spojrzeń, na ostatek, zniecierpliwiona moją nieuwagą, postanowiła wyraźnie okazać swoje uczucia: oczy jej czarne iskrzyły się, pomarsz-

czone policzki poróżowane kosztem mojej rośliny zdawały się w płomieniu i zbliżała się do mnie, aby mię uścisnąć. Byłem w strasznym ambarasie, nie chciałem tej pierwszej znajomości kończyć niegrzecznie, tym czasem nie sposobna mi było odpowiedzieć na tę łaskawość. Na koniec udało mi się powoli usunąć na bok jak gdyby dla przypatrzenia się szyciu młodej Kirgizki. Na moje szczęście już się ono miało ku końcowi i wkrótce odebrałem chustkę z wyszytym zielonym rąbkiem, a inna stara obok mojej szwaczki siedząca, zawołała chrapliwym głosem: *kałac tanycz*. Obiecałem przynieść kołacza i powiedziawszy: *amambul*, oddaliłem się co prędzej.

W dniu następnym odwiedziłem sułtana Machmuda, który mię już wiele razy do siebie zapraszał, tym razem nie zastałem go w domu, lecz żona jego, już niemłoda, ale dość przystojna z czarnymi iskrzącymi się oczyma, przyjęła mnie nader grzecznie i nad moje spodziewanie, była wielce rozmowna.

– Sułtan Machmud was bardzo lubi, czy on w domu, czy nie, proszę zawsze u nas bywać, wszystko co mamy na wasze zawołanie. Może będziecie pić herbatę, albo jeżeli się podoba każę zarznąć barana?

– Bardzo wam za to wszystko dziękuję, przygotowanie barana wymagałoby wiele zachodu i czasu, a ja tylko na minutę tutaj wstąpiłem, od herbaty uciekłem z miasta i przyjechałem do was aby pić kumys.

Podano tedy natychmiast sporą misę kumysu, kilkoro dzieci uwijało się po kibitce, zrobiłem uwagę, iż pięknych miała synów – To nie moje – rzekła zapłoniwszy się nieco, to są dzieci naszego brata Chau-Sułtana, potem po niejakiem milczeniu przydała:

– Machmud ma także wiele dzieci, ale te rozproszone po stepach i trudno by je do jednego zebrać miejsca. Przy pożegnaniu jeszcze raz oświadczyła się z gotowością na wszystkie usługi, i prosiła, aby bez ceremonii przysłać po wszystko, co mi będzie potrzebne. Z sułtanem Baj-Muchamedem przychodziłem do coraz większej zażyłości. Na drugi dzień po przyjeździe przysłałem mu w podarunku głowę cukru, żalowałem iż nie poszedłem za radą W. i nie przywiozłem rumu, który byłby daleko przyjemniejszy jego sułtańskiej mości, gdyż mimo zakazu Mahometa, postrzegłem, że Kirgizi wielce lubią nasze mocne napoje. Uważałem też, iż go bardzo interesowało moje krzesiwo i natychmiast mu je posłałem. Na drugi dzień jego sułtańska mość wielką miała przyjemność pokazywać gościom swoim, jak za przytknięciem do buteleczki łuczzywka od razu płomieniem się zajmowała. Świece też moje woskowe, które oświecały kibitkę sułtańską, niemało dziwiły szanowne zgromadzenie. Kilka dni następnych upłynęło z małą różnicą, takim że samym sposobem. Też same po okolicznych wzgórzach i nad Czurguntanem przechadzki, i też same wieczorami u sułtana uczyty, często późno w nocy przeciągnięte, gdyż Kirgizi wypawszy się we dnie, radzi całe noce na zabawie przepędzają.

Kobiety nigdy zgromadzeniom tym nie towarzyszą; albo wychodzą do innej kibitki, albo siedzą ukryte za firankami. Wszakże kiedy sułtana nie ma w domu, firanka się zdejmuje i wtenczas się przed przechodniemi nie ukrywają. Kilka razy zastałem sułtanową z córkami pijącą herbatę pośrodku kibitki; pierwszy raz myślałem, iż moja obecność będzie je żenować i chciałem się oddalić, ale mnie zwrócono i zaproszono do herbaty. Rad byłem temu, gdyż od dawna miałem chęć przypatrzenia się pięknnością do tej pory ciągle ukrytym. Sułtanowa już w wieku, pełna powagi i mało mówiąca. Na rękę trzymała małego ślicznego synka, który był ciągłym jej pieszczot przedmiotem. Ubiór

jej w niczym się nie różnił od ubioru innych Kirgizek. Płat biały płócienny obwijał jej głowę w kształcie słupka i spadał z tyłu prawie do samej ziemi, okrywając tym sposobem znaczną część siniego jej *sarafanu*. Dwie córki obok niej siedzące młodziutkie i wielce nieszpętne, były w kolorowych, jedwabnych chałatach i czerwonymi przepasane paskami. Na głowach miały też kolorowe jedwabne chusteczki, szczególnym sposobem, z pewną niedbałością uwiązane. Podziękowałem za herbatę, której wcale nie pić postanowiłem i poprosiłem o kumys przydając, iż on był teraz moim jedynym i najlepszym napojem. Po jakimś czasie, aby przerwać milczenie, oświadczyłem przez tłumacza (gdyż sułtanowa wcale nie rozumiała po rusku), iż pozostało mi od drogi nieco cytryn, które dla mnie całkiem teraz stały się niepotrzebne, to czy by nie podobało się sułtanowej użyć ich teraz do herbaty.

– Może sami macie niewiele a za powrotem zapewne będziecie potrzebować, rzekła. Odpowiedziałem, iż do mojego powrotu jeszcze zapewne niemało czasu upłynie, że one tak długo trwać nie mogą i że najlepszy z nich będzie użytek, jeżeli mogą służyć jej sułtańskiej mości. Kazałem przynieść słoik z cytrynami i uważałem, że dość smakowały moim stepowym pięknnością, gdyż na nowo krążyć poczęły filiżanki z herbatą, która się pierwej już miała ku końcowi.

Sułtan Baj-Muchamed ma dwie żony, mieszkające w osobnych kibitkach. Z jednej ma pięciu synów i cztery córki, z drugiej tylko dwóch synów i także cztery córki. Pierwsza jest mu upodobańsza nie dla piękności, gdyż i nie młoda i wcale nie piękna, ale zapewne dla dzieci, które są dosyć ładne i do których zdaje się być mocno przywiązany. Drugiej żony nigdy nie odwiedza, przynajmniej od czasu mojego tu pobytu, ani razu to się nie zdarzyło. Ma już wyswataną i trzecią żonę, która się jeszcze przy rodzicach znajduje i którą odwiedza kiedy niekiedy na osobności, i wkrótce ma zupełnie do siebie sprowadzić.

Dnia dziewiątego po przyjeździe poprawiwszy nieco siły, chciałem z przybyłym do sułtana oficerem uralskiego wojska, dla odzyskania długów u niektórych Kirgizów, odwiedzić sąsiednie auły, wzdłuż ponad Czungurtajem rozłożone. Zamierzałem dni kilka na tę wycieczkę obrócić i jużem się wybrał w drogę, gdym się dowiedział od sułtana Machmuda, że nazajutrz auł nasz ma niezawodnie z tego miejsca odkoczować, widziałem się przeto zmuszonym wyrzec się dalekiej wycieczki, gdyż dla nieprzywykłego dla przydługich po nieznanomych stepach podróży, byłoby za trudno doszukiwać się przenoszącego się z miejsca na miejsce aułu, zwłaszcza, że nie wiedziałem, jakich będę miał przewodników i czy w rzeczy samej Andrzej Afanasiewicz, tak jak upewniał, będzie mógł ich dla mnie wynaleźć. Wolałem zatem ograniczyć się tym razem na zwiedzaniu pagórków kredzianych o wiorst sześć odległych. Chciałem jeszcze być na Turtabaszu, na który już od kilku dni z ciekawością spoglądałem, ale jeszcze wiorst najmniej pięć było do niego a już wieczór nadchodził, i zaledwie zostawało tyle czasu, iżby przed nocą do aułu powrócić. Tym bardziej żał mi było, iż nie mogłem z bliska obejrzeć tej góry, że nazajutrz mieliśmy się z tego miejsca oddalić i później zamierzone odwiedziny mogły się stać niepodobne.

Pod wieczór przed zmierzchem wszystkie kibitki były zdjęte, wszystkie ułożone w paki i gotowe do podróży. Już było dość późno, gdy na rozestanych dywanach i *koszmach* liczni goście w wielki okrąg pod gołym, gwiaździstym niebem zasiedli do wieczerzy. Na gościach u Baj-Muchameda nigdy nie zbywa. Każdego prawie dnia z różnych rodów Kirgizi zjeżdżają się już dla okazania uszanowania swojemu rządcy, już z różnymi spornymi sprawami, które sułtan

słownie zwykle podczas wieczerzy, bez żadnych piśmiennych wywodów rozstrzyga. Częstość gości ci przypędzają z sobą w podarek dla sułtana barany i konie, inaczej trzody jego, jakkolwiek liczne, nie mogłyby na uraczenie tak licznych i tak częstych gości wystarczyć.

Wielce smakowitym pokarmem uważa się u Kirgizów młody baranek, ale zdaje się iż nad wszystko przedkładają mięso żrebięcie. Właśnie tego wieczora zarznięto pięknego młodego konika i gdym powróciwszy z przechadzki i usiadł obok sułtana, który ciągle nie przestaje mi czynić największych grzeczności, zapytał mnie, czyli ja mogę jeść koninę? Nie mając żadnego przeciw temu czystemu zwierzęciu uprzedzenia i z kilkokrotnego doświadczenia wiedząc już o jego smakowości, odpowiedziałem jego sułtańskiej mości, że nie tylko jadam, ale nawet lubię koninę, i że gotów jestem natychmiast dowieść mego upodobania do niej. Zapomniałem pierwiej powiedzieć, iż sułtan Baj-Muchamed, jest wielce nabożny, regularnie modli się podług przepisów alkoranu, pięć razy na dzień. Przed każdym jedzeniem, równie i po jedzeniu odmawia się u niego krótką modlitwę, w czasie tej modlitwy wszyscy przytomni trzymają przed oczyma rozłożone ręce jak gdyby na nich czytali, po odmówieniu modlitwy gładzą sobie obiema rękoma twarz i brodę i dopiero wówczas zabierają się do przeznaczonej im strawy. Gdy podano miski z mięsem wszyscy z niezmiernym jedli apetytem; zdaje się, iż Kirgizi wcale nie, albo mało co żują, gdyż po włożeniu do ust pełnej ręki sporych kawałków mięsa, zaraz prawie następuje połknięcie, co może być jedną z przyczyn zdrowości i białości ich zębów, której by mogła pozazdrościć niejedna z europejskich naszych piękności. Chociaż także nie mogę się skarżyć na brak apetytu, nie byłem jednak w stanie dorównać moim stepowym towarzyszom, przed którymi w oka mgnieniu całe znikwały talerze i sułtan zrobił uwagę, że ja nigdy się nie najem, jeżeli tak małymi kawałeczkami i tak powoli jeść będę.

Przypominam sobie, iż stryj mój pan Jan S. opowiadał kiedyś, iż książę Sapięha, przy którego zostawał dworze tak lubił mięso końskie, iż nigdy nie siadał do stołu bez ogromnej, żrebięcej pieczeni, którą na raz sam jeden zjadał. Jakkolwiek sławny był z tego względu apetyt książęcej mości, podług mnie daleko godniejszej uwagi jego smak delikatny, iż umiał ocenić wyborność mięsa, do którego u nas niesłusznie wszyscy wstręt mają, a którego nie używanie początkowo pójść mogło stąd, że u nas nie tak liczne i nie tak obszerne pastwiska, nie pozwalają utrzymywać w wielkiej liczbie tego zwierzęcia, i że przy jego nieodzownej potrzebie do różnych zajęć gospodarskich, niezmiernie by się jego cena podniosła, gdyby równie jak wół używane było na pokarm. Ale tym podobne przyczyny u moich przyjaciół Kirgizów nie mają miejsca; ich niezmiernie stepy pozwalają im hodować i rozmnażać prawie do nieskończoności konie, równie jak barany i innego rodzaju dobytek, i oni nie mają słusznej przyczyny wyrzekać się pokarmu, którego używanie nie naraża ich na żadną stratę, a który smacznym i zdrowym znajdują.

Noc tę trzeba było pod gołym niebem i prawie na bezsenności przepędzić. Chłód, a więcej jeszcze ustawiczny szum od przygotowań do jutrzejszego koczowania, prawie ani na chwilę oka zmrużyć nie pozwoliły.

Dwoma godzinami przed wschodem słońca, gdy tylko co świtać zaczęło, spędzone do jednego miejsca wielbłądy, przerażały swoim żalobliwym krzykiem i na kilkakrotnie powtarzane rozkazy kobiet i sług sułtańskich, zajmujących się ich ładowaniem, głębokie wydając westchnienia, przyklekały dla przy-

jęcia ciężarów na grzbiety swoje. Gdy słońce się ukazało już objuczone wielbłądy gotowe stały do drogi, trzody z wolna postępowaly stronami, każdy siodłał konia dla siebie i zabierał się bez żalu opuścić to miejsce, na którym niewiele dni przepędził, i z którym niczym nie był złączony. Dobrze lub źle pastwisko dla trzody, stanowi najczęściej o dłuższym lub krótszym przebywaniu Kirgiza na jednym miejscu. Chęć zbliżenia do znajomych lub ułatwienia niedokończonych interesów sprawuje, iż się raczej w jedną niż w drugą stronę kieruje. Miejsce naszego koczowiska już zupełnie było opuszczone, pozostały tylko tu i ówdzie okrągłe ślady, na których stały kibitki, tudzież pogaszone ogniska i walające się gdziegdzie porzucone szmaty.

Siadałem sam jeden spoglądając na to opustoszałe miejsce i na ożywione dokoła stopy, którym ukośne wschodzącego słońca promienie nowego przydawały powabu. Rzędy obładowanych wielbłądów posuwały się z wolna jedne za drugimi; obok nich kobiety w różnokolorowym stroju, na koniach, tu i ówdzie grupy jeźdźców przebiegających z miejsca na miejsce, bez celu, tak jak bez celu zdaje się być całe życie Kirgiza; dokoła ciągnące się trzody i rżące i ryczące i beczące, wszystko to rozsypane po stepie jak okiem zajrzeć i ozłocone promieniami podnoszącego się wspaniałe słońca, wcale zajmujący czyniło widok, który się kończył dwusetnym oddziałem uralskich kozaków, długimi nastrożonych pikami i za nimi przydłuższym nieco szeregiem teleg z bagażami. Grzegorz długo mi nie przyprowadzał konia, począłem się obawiać, aby oddalając się coraz ten żyjący obraz nie zniknął na koniec z oczu i samego mnie nie zostawił na stepie. Już zabierałem się dążyć piechotą, niezbyt kontent z tego o mnie zapomnienia, gdy nareszcie przybył Grzegorz z koniem, którego ledwie mu się złowić w tabunie udało. Osiodłanie niewiele zajęło czasu, już leciałem w cwał, by się połączyć z drugimi, kontent z niewielkiego stępaka, powolnego na rozkaz i lekko niosącego, gdy spotykam także w cwał lecącego sułtańskiego sługę, wiodącego na arkanie drugiego konia.

– Sułtan wam przysła swojego upodobanego, wyrzekł, prosi, abyście na nim jechali, ten niech będzie dla waszego służącego.

Lubo nie miałem ochoty rozstawać się z moim stępakiem, nie można było atoli nie przyjąć tej oznaki sułtańskiej przychylności i oprócz tego rad byłem, że mój Grzegorz także nie pójdzie piechotą, gdyż zdawało się niepodobna iżby mu udało się samemu bez arkana, złowić drugiego konia w tabunie. Ranek był szczególnie piękny, jakby umyślnie dla naszej podróży, gdyż wszystkie dni poprzedzające, były wietrzne i dosyć chłodne. Chciało mi się połączyć z pięknościami jadącymi obok wielbłądów, ale uważałem, że wszyscy mężczyźni jechali w znacznej odległości, w osobnych grupach, i bałem się zrobić cokolwiek przeciwko zwyczajowi moich nowych towarzyszy, których zaskarbić przychylności postanowiłem. Jechaliśmy ku południowemu wschodowi, przez wzniesione stopy, godzin ze cztery, nie tracąc z widoku Czungurtaju, na koniec zatrzymaliśmy się na wąskiej zielonej dolinie; rozbito naprędce z płótna namiocik, gdyż słońce dopiekało, a wielbłądy z kibitkami jeszcze nie nadeszły. Nowe to miejsce niczym się prawie nie różniło od pierwszego. Taż sama wzdłuż Czungurtaju, nieco tylko rozleglejsza równina i też same naokoło wzgórza; brzegi rzeki z obu stron urwiste, wyraźnie okazywały gliniastą i wapienną naturę gruntu, który w innych miejscach z czarnoziemem mieszany, zielenią i bujniejszą trawą był pokryty, na wzgórzach zaś grubszy piasek zdarzał się prze-

ważać. W ogólności wegetacja tu bardzo nędzna i nie wiem co mogło skłonić sułtana do zatrzymania się na tym miejscu. Gdy się oto pytał, odpowiedział, iż niedługo tu zostaniemy. Z północno-zachodniej strony widać jeszcze było podługowaty wierzch Turtabaszu, jak brzeżek wyglądającej spoza ziemi chmury, na wschodzie, pomiędzy pomniejszych wzgórków, wyglądał okrągły biały Kizymczyk, ku południowemu wschodowi ciągnęła się nad rzeką podłużna równina. Kwiaty te same, tak że dwa tylko nowe gatunki do mojego zbioru przybyły, a Tomasz bibuły nie przysłał. Wkrótce nadciągnęły wielbłądy i w oka mgnieniu nowe miasto stanęło. Tego dnia, dopiero aż późno w nocy zgotowano baraniny, trzeba było przestać na samym kumysie, choć jeść chciało się porządnie. Zdaje się, iż trzeba przez przywyknienie długie, usposobić żołądek, iżby sam kumys mógł wszelki inny pokarm zastąpić. Nazajutrz u Machmuda byłem na wieczery, częstowano gości obficie kumysem. Począłem zapisywać i uczyć się powoli używanych wyrazów kirgizkich. Zdaje się, iż długiego trzeba by czasu, by się dobrze tego języka wyuczyć.

Sułtan Machmud przystojny, z małą bródką, z orlikowatym nosem, lubi się stroić, od modlitwy ucieka, brząka sobie: tram, tram na gitarze i przyspiewuje: *halil, halil, halil la!* Nie dziw, że się mu udaje bałamucić stepowe dziewczęta i dawać powody biednej żonie do użalań. Chodząc nad Czungurtajem spotkałem kozaków łowiących ryby, które się obficie w głębszych miejscach znajdują. Przy mnie wyciągnięto kilka sporych szczupaków, linów, jazów i karasi. Kozacy powiadają, iż się także pojawiają dość wielkie sumy. Biednego żółwia oswoodziłem od męczeńskiej śmierci, na którą go byli Kozacy skazali. Usypali z piasku wysoki wzgórek, położyli nań żółwia grzbietem na dół, ażeby się powoli spiekł na słońcu, gdyż jeżeli żółw, skrzywdzony zostanie przy życiu, to niezawodnie przyjdzie i zdepce tego, kto go skrzywdził, a od czego ów umierać musi. Dobrze się stało, że nie pojechał ze Szczapowem, gdyż ledwo sześć dni upłynęło od jego odjazdu, a już trzy koczówki odbyli. Od owej zielonej doliny nad Utwą skierowaliśmy się prosto ku południowi i zatrzymawszy się dwa dni dla wypoczynku nad maleńkimi jeziorkami, utworzonymi zapewne w czasie wiosennej powodzi i nie łączącymi się widocznie z żadną rzeką, dążyliśmy dalej, w tymże samym kierunku ku Bałdurty. Droga nasza szła przez monotonne wszędzie stepy, wszędzie wzgórze gliniaste, piaszczyste, dosyć w trawę ubogie, przernięte tu i ówdzie wąskimi dolinami lub parowami, gdzie bujniejsza wegetacja się daje, kwiaty także wszędzie te same, ta tylko różnica, iż w jednym miejscu panuje *euforbija*, w drugim *timus* (bogorodzkaja trawa), w innym *achillea* biała lub żółta, a wszędzie prawie piołun; miejscami daje się widzieć *konvolvulus*, *scorconera*, *dyrydnik*, gwoździki białe i różowe. Zbiór moich kwiatów zapewne będzie ubogi, dla nie zdrowia nie mogę dalekich robić wycieczek, zbieram więc te tylko, które spotykam w moich przechadzkach po okolicznych wzgórzach i dolinach.

Już słońce dobrze dopiekać zaczęło gdyśmy wjechali na równinę niezbyt rozległą, porośłą kępkami wysokiej trawy, którą w tym miejscu Czylis, od wschodu na zachód przerzyna. Grunt doliny tej często wapienny lub wapienno-piaszczysty, wążutki Czylis, w niektórych miejscach ledwie w wysokiej trawie dojrzany, tu i ówdzie tworzy niewielkie, ale dość głębokie sadzaweczki i tym sposobem dla pojenia trzody przydatny. Kozacy po kilkakrotnym zapuszczeniu sieci ledwie kilka niewielkich karasków wyciągnęli, może dlatego, iż wielkość ich sieci nie odpowiadała głębokości wody. Jakkolwiek bądź innego nie było

środką przekonać się, czy rzeka obfituje w ryby lub nie. Woda płynie bardzo powoli, także kierunek jej biegu, osobliwie, gdy wiatr przeciwny, ledwie dojrzany być może. Zdrowie moje dotąd wyraźnie się nie poprawia, to ból w boku, to duszenie męczyć nie przestawały. Nieregularność życia wiele mi się też na przykrza. Kirgizi jedzą albo kilka razy na dzień albo żadnego razu, albo zbyt rano albo też cały dzień o jednym kumysie przebywszy, dopiero aż późno w nocy do jedzenia się biorą. Czasem, gdy nie ma gości, zamiast świeżego mięsa jedzą wędzoną i soloną koninę, którą i ja kilka razy jadłem i zawsze miałem od niej mocne palenie w żołądku i powiększone duszenie w gardle, dlatego wyrzekłem się jej zupełnie i postanowiłem zawsze czynić zapas kilkudniowy ze świeżego mięsa, które mój Grzegorz nie arcywyśmienicie gotuje, ale od głodu i to dobre. Cieszę się ciągle nadzieją, że taka dieta wyjdzie mi potem na dobre.

Stosunki moje z sułtanem co raz się stają ściślej. Jeżeli mu czego potrzeba z moich rzeczy, rozkazuje Grzegorzowi bez ceremonii sobie podawać, za to ja mam prawo do jego kumysu, do jego mleka, po które ile razy trzeba posyłam; jem prawie zawsze z jednego z nim talerza, czasem też co lepsze kąski wkłada mi prosto do ust swymi sułtańskimi palcami. Przy każdej wieczerzy nie zapomina o domownikach swoich i zawsze wszystkich własnymi rękami nakarmi; mówię nakarmi, gdyż zdaje mi się, iż od kilku garści pełnych mięsa można być sytym. Dlatego też zawsze stawia przed nami ogromny drewniany talerz pełny *machanu*, a czasem, gdy więcej gości, i dwa nawet, gdyż mówił raz do mnie: „taki u nas zwyczaj, że o nikim zapominać nie należy, inaczej miano by do mnie urazę. Często Kirgizi odwiedzają mnie nie dla mojego mięsa, lecz aby się dotknąć moich palców”. W tym razie mówił sułtan istotną prawdę, gdyż bardzo często goście przybywający do niego, przywożą mu kumysu i przypędzają swoje barany i konie, stąd widać, że nie mięso ich sprowadza. Wszakże bez tych podarunków w niedługim czasie sułtan musiałby wszystkie trzody swoje, jakkolwiek liczne roztraktować, zwłaszcza, że żaden z upodobańszych jego gości, a mianowicie z krewnych nie jedzie, ażeby czego także w prezencji nie dostał. Za mojego pobytu jedna z krewnych, która go odwiedziła po długoletnim niewidzeniu, odjeżdżając uprowadziła trzech wielbłądów i piętnaście koni, druga zaś dwa wielbłądy i pięć koni.

Powiedziałem wyżej, iż kobiety siedzą za firankami, firanki te wszakże nie należą zgoła, jak widać, do kirgizkich zwyczajów, gdyż w jednej tylko sułtańskiej kubitce dają się widzieć i wiszą tylko w czasie zebrania gości i w obecności sułtana; w innych kubitkach nawet bogatszych Kirgizów, kobiety siedzą bez żadnego zakrycia, owszem są bardzo wolne w obchodzeniu się z mężczyznami. Te same panny sułtanówny, które u ojca niby rzadkość jaka siedzą za zasłoną, widziałem w innych kubitkach, leżące sobie w jednych koszulkach obok z innymi kobietami i mężczyznami, którzy przy tak dostojnych damach nie wstydzą się odkrywać plecy i nogi aż do kolan i zabawiają się z nimi najpoufalszym sposobem. Przyszedłem także do lepszej znajomości z jejmością, panią sułtanową. Już kilka razy odwiedziła mnie w mojej kubitce. Siada sobie, a nawet kładzie się na moim materacu. Każę sobie robić herbatę, za nią przychodzą i inne kobiety, jej znajome i w gościnie u niej bawiące, wypijają pełen kociołek herbaty i odchodzą powtarzając po kilkakroć: *aldaraza buze* (bardzo dziękuję). Często pytają mnie się, czy mam żonę i nie mogą zdaje się tego pojąć, jak można w takim jak ja wieku żyć bezzennie, dlatego od pewnego czasu począłem im



mówić, że moja żona i cała moja familia bardzo daleko, aż za Rosją, która jest bardzo wielka; liczyłem jak mogłem na palcach setkami wiorst, póki od mułły nie nauczyłem się liczyć po kirgizku i wtenczas byłem lepiej zrozumianym, gdym powiedział: *minike ataj, minike anaj, minike chaton bik alles, ikeumen jar-em czakrem*. Wczoraj rozmawiając z sułtanem o nowo zakładającej się twierdzy nad Morzem Kaspijskim i o tym, że się to Chiwie i okolicznym Kirgizom nie bardzo podoba, zrobiłem uwagę, iż dziwiło mnie, że Chiwa wiedząc o wielkości i potędze Rosji, odważa się często robić jej co do handlu przeszkody, i nie pomyśli, że Rosja, prędzej lub później zechce te przeszkody usunąć a wtenczas Chiwa straci swoją niepodległość i wejść musi pod panowanie Rosji.

– O, co do tego, odpowiedział, to chiwańczykowie zupełnie są spokojni, u nich są mułłowie, którzy ich upewniają, że przyjazne duchy ciągle czuwają nad całością Chiwy i że zaginać jej nie pozwolą.

Uważałem, że sułtan mówił to z mocnym przekonaniem i dlatego nic nie odpowiedziałem, wiedząc, iż co do artykułu o świętości on był nieporuszony i wszystkie moje przeciwne rozumowania były próżne. Sułtan o Europie prawie żadnego nie ma wyobrażenia. Ledwie wie, iż oprócz Rosji są jeszcze jakieś oddzielne narody, zdaje się, iż o Anglikach i Francuzach dotąd ni razu nie słyszał! Pod imieniem Franków równie jak inni muzułmanie, rozumie wszystkich chrześcijan. Po niejakiem milczeniu przydał: wszakże w naszych księgach świętych powiedziano: że kiedy Konstantyn będzie na tronie Franków (tj. Rosji), wtedy Mahometanie będą przez niego pobici, wtedy może i Chiwa upadnie.

Chociaż Baj Muchamed nie zna rzeczy europejskich, ale za to zdaje się, jak najdokładniejszą znajomość stepów kirgizkich posiada. Ma dzieło Lewszy-na od p. Gensa sobie darowane, które wątpię czy mógł przeczytać, gdyż z trudnością może składać litery, a jeszcze trudniej całe wyrazy, na mapie atoli przy tym dziele będącej, wskazuje od razu wszystkie stepowe miejsca i dokładnie wszystkie o nich szczegóły opowiada.

O historii swojego narodu równie też wie bardzo mało. Mówił, iż te stepy były pierwaj zamieszkałe przez Kałmyków, że Kirgizi w późniejszym czasie przyszli od Buchary, że Abulchair Chan, dziad jego pierwszy wszedł w stosunki z Rosją, ale co było przed Abulchirem, tego z goła nic nie wie. Wchodząc o tymże przedmiocie w rozmowę z bratem jego rodzonym, sułtanem Tiauką, który niezbyt daleko koczuje i często przyjeżdża w gościnę, ale i od niego niczego więcej nie mogłem się nauczyć. O Kałmykach wyszłych z Rosji wiedzą tylko tyle, że ich matka dotąd żyjąca, ale bardzo stara, jest Kałmyczką wziętą w niewolę przez ich ojca Ajczawuka, w czasie tego wychodu.

Starania moje względem zbierania kirgizkich pieśni dotąd były daremne, lubo już dwa razy zdarzyło mi się słyszeć śpiewanie i granie tutejszych trubadurów. Chęć moją do kirgizkich pieśni zaostrzył jeszcze bardziej Bohdanów *pismowoditiel* przy sułtanie Minczirak, który powiada, iż lubo słyszał wiele śpiewaków i swoich i baszkirskich i czytał dosyć rosyjskich wierszy, wszakże nigdzie nie znalazł nic piękniejszego nad pieśni kirgizkie ściągające się zwykle do wydarzeń historycznych lub do miłości. Prosiłem go najusilniej, aby się postarał o spisywanie tych pieśni, jeżeli mu się odtąd ich usłyszeć zdarzy. Lubo obiecał, wątpię czy prędko będzie w stanie zadość uczynić mej prośbie, gdyż prawie ciągle zajęty papierami, ani minuty nie ma wolnej, oprócz tego nie zawsze się zdarzają śpiewacy, nie postrzegłem, ażeby się Kirgizi bardzo za nimi upędzali; jeżeli się który zdarzy, wchodzi do kibitki i nie proszony sam swoje pieśni przy

instrumencie do bałałajki podobnym zaczyna, po półgodzinnym lub godzinnym śpiewaniu dostaje miskę kumysu i idzie do innej kubitki po takąż nagrodę. Obchodząc odleglejsze kubitki spotkałem w jednej podobnego trubadura, trafiłem już na sam koniec, wszakże jeszcze słyszałem kilka piosneczek różnego rozmiaru, których głos przy akompaniamencie dosyć mi się wydał przyjemny. Wielka szkoda, iż nie było żywego ducha, co by choć umiał po rusku, może bym potrafił nakłonić śpiewaka, aby zajechał do naszego aulu, wszystkie moje prośby migowe nic nie pomogły, czy nie rozumiał, czy też nie chciał zadość uczynić mojemu żądaniu, wypiwszy podaną sobie miskę kumysu wyszedł, wsiadł na koń i poleciał w stepy, Pan Bóg wie dokąd. Drugi, którego także przypadkiem w jednej kubitce spotkałem, nie śpiewał, ale tylko grał na drumli i na *czubuzie*. Drumla nie jest kirgiskim narodowym instrumentem, granie wszakże tego Kirgiza było bardzo różne od wszystkich tych, jakie mi się pierwszej słyszeć zdarzało. Drumle trzymał całkiem w ustach, tak że ledwie kończyk jego widać było. Rękami się nie dotykał, ale tylko przybliżał lub oddalał od ust, wyrabiając niemi różne figle, jak gdyby ich ruchem rozprowadzał i miarkował drumlowe tony, o których jako nie muzyk, tyle tylko powiedzieć mogę, że mi się dość podobały. W ogólności kirgiska muzyka, ile słyszałem, nie ma jak się zdaje, takiej różnorodności i takiej szybkości w następstwie tonów, jak muzyka nasza. Lubią oni zatrzymywać się i spoczywać niejako na jednym głosie, tak jak lubią jednostajne i bezwładne prowadzić życie. Przesiadują dni całe na jednym miejscu bez żadnej roboty, oprócz czezej gawędy. Trzeba by zdaje się wielkiej i blisko dotykającej pobudki, ażeby ich do jakiegokolwiek działania doprowadziła. Wszystkie roboty około domu poczynają za wstyd dla siebie i same tylko kobiety lub *telenguci* są nimi obciążone, żaden zaś wolny Kirgiz do nich ręki nie ściągnie i siedzi sobie założywszy ręce lub smaczno zasypia, wtedy gdy w czasie przekoczowywania z miejsca na miejsce, gdy trzeba stawiać i rozstawiać kubitki, znosić rzeczy, ładować wielbłądy, z biednych kobiet, zwłaszcza przy mocnym upale, pot kroplami spada; nie raz szczerze żal mi było panien sułtanowien, które jak ostatnie robotnice do upadłego prawie pracowały. Przy takim wstręcie do pracy Kirgizi samą tylko ostatnią nędzą przynaglenni bywają najmować się za robotników do pogranicznych mieszkańców. Gdym się dowiedział, że znajdujemy się niedaleko linii granicznej i że do „Ozierskiego forpostu” nie więcej będzie nad piętnaście wiorst, chciałem doń pojechać, aby dostać krup i od dawna nie widzianego chleba, prosiłem tedy sułtana Mahbeta o konia i o przewodnika. Co do pierwszego żadnej nie ma trudności. zaś co do przewodnika, powiedział, iż teraz niepodobna go znaleźć, gdyż wszyscy z okolicznych aułów Kirgizi wybierają się na skaczkę, którą jeden starszyna niedaleko stąd koczujący i wydający córkę swoją za męża, w tych dniach ma wyprawiać. On sam tamże jechać zamyśla i na ten cel konia już zaczął przysposabiać. Jakoż spostrzegłem stojącego na uwięzi karnego rumaka, którego morzono głodem, i ledwie kiedy niekiedy do lichej trawy przypuszczano.

Było to dla mnie dobre zdarzenie widzieć kirgizkie wesele oświadczyłem więc sułtanowi, iż nie miałem zbyt pilnego interesu do forpostu, że owszem będzie mi daleko przyjemniej pojechać z nim razem na skaczkę; jeżeli jak powiada niezbyt do niej daleko. Nazajutrz tedy przed wschodem słońca ruszyliśmy w towarzystwie kilkunastu Kirgizów, wszystkich niecierpliwie żądających dostać się co najprędzej na miejsce, gdzie miała się wypróbować rączność ich koni i

gdzie oczekiwało ich mnóstwo mięsa i kumysu; podróż nasza ciągnęła się aż do zmierzchu lubo ciągle jechaliśmy dobrym kłusem a niekiedy nawet i cwałem. Szczęście moje iż dzień był dosyć chłodny, inaczej trudno by było wytrzymać tę podróż dla mnie zupełnie nową; po przybyciu na miejsce dziwiłem się, iż niewiele byłem znużony, zwłaszcza, że konna jazda dawniej nawet przy dobrem zdrowiu, zawsze mnie mocno mordowała. Sułtan Mahbet z Kirgizami został na równinie próbować swoich koni; obaczywszy, że inni toż samo robili, udałem się sam jeden do wskazanego aułu i postrzegłszy piękną białą kibitkę, nieco od innych oddaloną, wniosłem, że to być musi mieszkanie gospodarza wyprawiającego wesele i skierowałem się ku niej. Dwa niewielkie dywaniki były w niej rozesełane, na których siedziało dwóch Kirgizów. Oba umieli trochę po rusku. Jeden z nich młody i dość przystojny był pan młody. Od dwóch dni siedział z towarzyszem swoim w tej kibitce, umyślnie dla siebie postawionej i nigdzie się z niej nie wydałał, gdyż nie wolno mu było spotkać się we dnie z narzeczoną, którą tylko ukradkiem przyprowadzała doń bratowa jej ojca. Już lat siedem jak się zareczył. Wtenczas jeszcze był gołowasy a teraz już mu bródka na palec urosła. Kałymu zapłacił czterdzieści baranów, pięć koni i krów kilka a teraz na ostatek przyprowadził dwa wielbłądy. W posagu ma wziąć tę piękną białą kibitkę i zapewne jakie takie sprzęty i ubiory kobiece. „U was, przydał daleko lepszy zwyczaj nie ma tyle zachodów i człowiek się tak długo nie męczy”. Zrobiłem uwagę, że takie ukradkowe widywanie się z narzeczoną musi mieć swe wielkie przyjemności. Już było dość późno, gdy przybyli moi towarzysze rozsiadaliśmy konie i zabieraliśmy się do spania, gdyż właśnie tę kibitkę pana młodego chciano nam wyznaczyć na kwaterę, wtem przyszedł posłaniec od gospodarza, który nas zapraszał do siebie. Gdy weszliśmy do jego namiotu, już zarznięty i oprawiony baran leżał u progu, dobrą dla wygłodniałych zapowiadając wieczerzę. Mnie i sułtana Mahbeta posadzono na dywanie naprzeciwko drzwi wchodowych, inni usadowili się naokoło przy ścianach kibitki. Ogień tylko co rozniecony pośrodku tłał pod ogromnym żelaznym kotłem i kiedy niekiedy błyskając szerszymi pasmami oświecał szerokie i ogorzałe twarze Kirgizów. Dym gęstymi kłębami wymykał się przez górny otwór, nie dosiegając dokoła siedzących biesiadników. Dwie stare kobiety zwijały się koło barana i porąbanego na części rzucały do kotła, w którym woda już wrzeć poczyniała; tymczasem kumys, dusza wszystkich biesiad kirgizkich, obficie krążyć począł i wrzaskliwa szumiała rozmowa. Na ostatek ucichli wszyscy i dał się słyszeć chrapliwy głos Czybuzga. Wpatrując się w tę stronę skąd głos wychodził postrzegłem siwego i brodatego Kirgiza, którego grube rysy i gęsta, przy wzmagającym się kiedy niekiedy płomieniu, rozeznawać można było. Za każdym przestankiem mocno wymawiał jakieś krótkie słowo, jak gdyby kończące myśl poprzednio przez muzykę wyrażoną. Po umilknięciu Czybuzga zaczęły się pieśni. Dwaj naprzeciwko siebie siedzący młodzi Kirgizi śpiewali na przemian krótkie strofy, jak pasterze w opisach Wirgiliusza. Musieli wieść spór pomiędzy sobą i słuchacze szumnym śmiechem i głośnym powtarzaniem niektórych prześpiewanych wyrazów, to jednego, to drugiego zachęcali. Ciekawy bardzo byłem wiedzieć o co rzecz szła i zapytywałem po kilkakroć obok siedzącego Kirgiza, który umiał nieco po rusku, ale ten mi zawsze powiedział: „pieśni śpiewają, zwyczajnie, pieśni” i tym podobne nic nie znaczące wyrazy. Śpiewanie to ciągnęło się dość długo, tymczasem ugotowała się baranina i wyłożono ją z kotła na kilka wielkich drewnianych mis, na jedną tłustość, na drugą wątrobę, potem mięso itd. Z tych dopiero sam gospodarz kładł zakasany aż po łokcie rękami po kawałku do każdego talerza, które po zwykłym umyciu rąk roz-

noszono gościom. Mnie dostał się spory talerz, ledwie dziesiątą część zjeść mogłem, resztę naśladowując moich towarzyszków, porznawszy na drobne kawałeczki, częstowałem dokoła siedzących gości, począwszy od gospodarza, i wkładałem im do ust całe garście *machanu*, z czego i gospodarz i goście wielce byli kontenci. Choć już mieliśmy wyznaczoną kwaterę gospodarz prosił mnie i sułtana Makbeta, abyśmy nocowali, gdyż w tamtej będzie wiele ludzi i może być niespokojnie.

Nazajutrz skorośmy się obudzili postawiono pośrodku dzbanek z wodą, z którego wszyscyśmy się umywali, po czym wypiwszy po ogromnej misce kumysu zamiast herbaty pojechaliśmy do przyległego aulu, gdzie byli znajomi sułtanowi Kirgizi, i gdzie mieliśmy oczekiwać na *skaczkę*, która powinna była odprawić się tegoż samego wieczora. Tu nam dano osobną kibitkę, zarznięto *kurgaszka* i oprócz tego częstowano *ajranczykiem* i masłem, które moi towarzysze z wielkim apetytem zjadali, biorąc w rękę i przekładając z jednej do drugiej oblizywali dłonie. Dziwili się mocno, że ja tak smakowitej rzeczy nie jadłem. Lecz chociaż dotąd we wszystkim starałem się ich naśladować, nie mogłem w żaden sposób jeść samego masła, które oprócz tego było nieświeże i nieczyste. Inny Kirgiz z sąsiedniej kibitki zaprosił nas także na barana, którego umyślnie zarznął dla uraczenia sułtana. Dziwiłem się niepomiernemu apetytowi moich towarzyszy, którzy tylko co po obfitej uczcie, sprzątnęli w oka mgnieniu całego barana. Gdy po tym bankiecie wszyscy się pokładli poszedłem chodzić po wapiennych okolicznych wzgórzach, prawie zupełnie nagich, widać było daleko ciągnącą się ku wschodowi równinę pokrytą zieloną trawą i poprzerzynaną tu i ówdzie parowami dość głębokimi, w które woda zapewne w czasie wiosennych powodzi nalana, a teraz stojąca i na wpół z błotem zmieszana, służyła za nędzny napój trzodom kirgiskim. Z tym wszystkim na tym miejscu były rozsypane jak okiem dojrzeć, w niezliczonej liczbie kibitki i czyniły widok równiny zajmującym. Gdy się słońce dobrze zniżyć zaczęło (nie mając zegarka na godziny czasu liczyć nie mogłem) ze wszystkich tych aulów wysypało się mnóstwo konnych jeźdźców. Wszyscy dążyli ku wzgórzom, na południe o kilka wiorst leżącemu, kilkunastu jeźdźców, mających walczyć o rąchość swych koni, ruszyło naprzód wraz z kilku świadkami na miejsce wyznaczone, skąd bieg swój rozpocząć mieli i wkrótce zniknęli mi z oczu. Nie mogłem dokładnie dowiedzieć się jak wielka była meta, jedni mówili, że na dziesięć, drudzy, że na piętnaście wiorst. W ogólności trudno się od Kirgiza dowiedzieć o odległości, równie, jak trudno dowiedzieć o czasie. Kiedy powie, iż wiorst piętnaście, to śmiało liczyć można we troje, jeżeli nie więcej i dlatego chcąc się dowiedzieć od nich o odległości, lepiej jest pytać, w jakim czasie i w jakim biegu ją przebyć można, i tak nawet rzadko który dokładnie odpowie. W tym czasie jednak niewiele się musieli omylić, gdyż po dwóch może po trzech godzinach ukazały się wśród chmury kurzu nasze bieguny.

Kawał poszarpanej *koszmy*, zawieszony na drągu, służył za kres ich biegu. Biesiadnicy, którzy dotąd wokoło niewielkiego wzgórza skupieni, słuchali śpiewów pośrodku stojącego barda, poruszyli się jednym razem, aby lecieć na spotkanie zawodników, ale gospodarz ze swoją partią nie chciał im na to pozwolić. Wszczął się wrzask okropny, machali rękami, wywijali batogami, ale w końcu uciszeli się i widać, że gospodarza strona zwyciężyła, gdyż pozostali na miejscu. Wszakże niedługo trwała cisza, bo gdy tamci bliżsi podjeżdżać zaczęli wtenczas rzucili się wszyscy naprzód; znowu się wszczął krzyk nadzwyczajny wśród za-

mieszania niepodobna było odróżnić zawodników od widzów; domyśleć się tylko można było, iż każdy z ostatnich dopomagać chciał swojemu znajomemu do otrzymania zwycięstwa. Stałem na koniu niedaleko mety chcąc wszystkiemu dobrze się przypatrzeć, ale wśród tłumu nic prawie widzieć nie mogłem i ze wszystkich stron ściśnięty ledwie co wymknąć potrafiłem. Mignął tylko w mych oczach biedny baran, naznaczony w nagrodę zwycięzcy, którego rwali na różne strony. Spór ten skończył się na tym, jak mi mówiono później, iż barana przyrządzono Kirgizowi, którego koń siwy niezaprzeczalnie odznaczał się w biegu, lubo o doścignieniu do mety wśród takiego chaosu, nic pewnego postanowić nie można było. Już miało się ku wieczorowi gdyśmy wrócili do aułu.

Cały ten tłum nie zsiadał z koni, ale się snuł pomiędzy kibitkami, z których dwie były zajęte przez kobiety wystrojone w najparadniejszą odzież. I panny i mężatki miały na sobie chałaty różnokolorowe, jedwabne, czerwone lub amarantowe, aksamitne. Dziewice odznaczały się od zamężnych tym, iż na głowach miały albo kołpaczki stożkowatego kształtu z piórkami u góry i różnymi brząkawkami po bokach lub tylko prosto związane chusteczki. U mężatek zaś kołpaki u góry znacznie ścięte i zwykle częścią w białe płótno obwinione, które okrywając po obu stronach uszy i przechodząc popod brodą padało długim końcem na plecy na kształt płatów włościanek poleskich.

Panna młoda sama nie miała na głowie żadnego szczególnego ubrania. Włosy po prostu w kilka kos splecione spadały na plecy; na nich zawieszona była czerwona jedwabna chusteczka, spod której kiedy niekiedy wymykało się omdlewające wielkiego czarnego oka spojrzenie. Już od pewnego czasu rozlegały się po kibitkach żałobliwe pieśni. *Koszmy* po bokach były podjęte i przez kratkowane ściany całe ich wnętrza widne było. Na końcu zjawił się młody śpiewak, który siedząc przy kratce zewnątrz kibitki, począł także intonować grubszym tonem i rozpoczęło się śpiewanie na przemian. Gdybym rozumiał po kirgizku zapewne treść tych pieśni dałaby mi poznać różne mniemania kirgiskie, ściągające się do epoki najciekawszej ich życia. Śpiewanie to miało się ciągnąć bez żadnej odmiany przez całą noc; dlatego nie spodziewając się obaczyć nic nowego wróciłem do swojej kibitki i położyłem się spać sam jeden rad, iż tę noc spokojnie będę mógł przepędzić. Nazajutrz do dnia znowu *skaczka* zupełnie taka jak pierwsza, z tą tylko różnicą, iż zamiast barana zwycięzca klacz otrzymywał. Po *skaczce* dziewięć kibitek umyślnie na to rozstawionych, napęłniło się biesiadnikami. Kumys i *ajranczyk* przywożono z sąsiednich aułów, zwyczaj u Kirgizów wynikający z koniecznej potrzeby, bez czego najbogatszy nie byłby w stanie ugasić pragnienia swych licznych gości. Częstowano miskami, które były wielkości naszych salaterek, a których po kilka, w niezbyt długim czasie, każdy wypijał.

Dwie kibitki osobne były zajęte przez dziewczęta ciągle śpiewające, między którymi znajdowała się panna młoda, i jedna kibitka przez zamężne kobiety. Kobiety te traktowano *ajranczykiem*, który rozkruszony na niewielkie kawałeczki w drewnianych korytkach podawano. Zaproszony z towarzystwem moim do jednej z najlepszych kibitek, napiwszy się kumysu i kilka minut posiedziawszy, wymknąłem się z tego natłoku dusznego by obejść i obejrzeć wszystko. Zaszedłem do kobiet, gdzie mnie podano garść *ajranczyku*, myślałem, że się na tym skończy i chciałem wychodzić, gdyż wszystkie te stare baby, choć wystro-

jone i niemiłosiernie naróżowane, strasznie były odrażające. Już uroczyście wyrzekłem *aman bul*, i miałem się ku drzwiom, ale zachodzi drogę jedna, bierze za rękę i krzyczy: *lachte, tochte kutak barma, ilkunma kichinem*, i razem przy tych wyrazach nuż mnie na wszystkie strony skubać i laskotać; do niej przyłączyło się wiele innych i w takie mnie wzięły obroty, iż myślałem, że ducha wyzionę. Krzyku mojego wśród ich wrzasku nie było słyhać. Na moje szczęście przechodził znajomy Kirgiz i mnie od tych żartów i pieszczot oswobodził. Panny były daleko grzeczniejsze, witały się ze mną i podawały, acz z małym oporem swoje ręce. Panna młoda nawet pozwalała uchylać zasłony i przypatrywać się nieszpętnej swej twarzyczce.

Po niejakiem czasie tak się ośmieliły, iż zabawiały się moimi rękawiczkami, które mi z rąk pościągały, moim kołnierzykiem, połami surduta, nożyk wyjęły z kieszeni i obrzynały nim sobie paznokcie, ale najbardziej im się podobały moje błyszczące guziki od kamizelki, i tak się ich uparły, iż nie było rady i musiałem cały jeden rząd oberznąć. Zjawiła się tymczasem jedna zamężna – która z nich się najbardziej tobie podoba? – zapytała, która najpiękniejsza? Wszystkie są piękne. – Ale która mianowicie, powiedz; kiedy milczałem nie wiedząc co odpowiedzieć, ona porwała moją rękę i poczęła wciskać w rękę tej dziewczyny, której nieco pierwej przypatrywałem się czarnym pięknym włosom. Wtem zrobił się na dworze jakiś tumult, wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę i ja wymknąłem się obaczyć, co to znaczy. Była to jakaś bagatela, wnet wszystko uciхло, gospodarz zbliżył się do mnie i zaprosił na *machan*, który wtenczas na drewnianych talerzach, na drobnutki kawałeczki pokrajany, kumysem oblany, po wszystkich kibitkach roznoszono. Podziękowałem gospodarzowi, gdyż było jeszcze dość rano i czułem małą niestrawność po wczorajszej wieczerzy. No to choć słuchać śpiewania naszych dziewczyc i przyprowadził mnie pod tę samą kibitkę, z której przed chwilą wyszedłem, i gdzie podobnie jak dnia wczorajszego, siedział ten sam śpiewak i toczyły się pieśni na przemian. Głos był ten sam, wyrazów nie zrozumiałem, postawszy parę minut odszedłem, chcąc zwiedzić jeszcze kibitki, z których mięso rozchodziło się w takiej obfitości. Było ich dwie drzwiami z sobą połączonych. W jednej stało kilka worów wypełnionych kawałkami gotowanego mięsa, a na rozesłanych słomianych matach toż samo mięso tylko drobno pokrajane ogromnymi stosami leżało. Wysoki Kirgiz z zakasanyimi po łokcie rękawami, z ogromnym nożem, napełniał garścią podawane sobie przeze drzwi talerze, polewał kumysem i wstawiał do drugiej kibitki, skąd je zabierano i niesiono, gdzie tylko trzeba. Do tej zaś kibitki, gdzie był skład mięsa, nikt oprócz niego nie miał wolnego wstępu. Po uczcie wszyscy wsiedli na koń i odjechawszy nieco od kibitek zrobili niewielkie koło, gdzie się odbywały znajome już nam zapasy ręczne, nie bez hałasu i sporów względem tego, komu się nagroda należy.

Zwycięzcy dawano po kawałku białego płótna. Taka widać nieszczęśliwa natura ludzka, iż w najoczywistszej rzeczy nie obejdzie się bez sporów i kłótni, kiedy się przeciwne spotkają interesy i kiedy nie ma jakiej pośredniej władzy, która by powagą swoją namiętności ludzkie na wodzy trzymać mogła. Zapaśnicy występując do walki wkładali na obnażone po pas barki *jergaki* włosom na dół wywrócone i po wierzchu z lekka przepasywali się chustami. Widać taki ubiór znajdowali dogodniejszym dla swobody poruszeń i nie tak przystępnym dla ujęcia przeciwnikowi. Gdy już przeciwników nie stało resztę pozostała płótna rozdarto na kawałeczki i rozdano widzom. Mnie także dano niewielką szma-

tę mówiąc: Wy naszym gościem jesteście, ta szmatka nic nie kosztuje, ale proszę przyjąć, bo taki u nas obyczaj.

Przez cały ten dzień miały jeszcze trwać śpiewy przy pannie młodej, która dopiero o samej północy miała być zaprowadzona do kibitki pana młodego i zupełnie oddana na jego opiekę. Wszakże wszyscy prawie goście zaraz po *skacze* rozjechali się do swoich aułów i zaczęto rozbierać kibitki na ich przyjęcie postawione. Jadąc nazad wstąpiliśmy do kibitki, gdzie leżał bez mowy pod białą kotarą mały chłopiec, który podczas wyścigów upadł wraz z koniem w największym pędzie. Dokoła w milczeniu siedzieli krewni i znajomi. Jeden muła rozwiedzionym w łyżce szafranem namaszczał choremu czoło, ręce i nogi, a drugi czytał modlitwy. Zabawiliśmy przy nim chwilę a następnie udaliśmy się w dalszą drogę.<sup>2</sup>

\*

### **Józef Kuczyński – Z duszpasterską posługą**

Ks. Józef Kuczyński urodził się w 1904 r. w Buczkach koło Żytomierza. W roku 1930 ukończył seminarium w Łucku. W latach 1933-1937 przebywał w Paryżu gdzie obronił rozprawę doktorską. Od 1939 do 1944 r. był proboszczem w Szumbarze i Dederkałach. Za zorganizowanie samoobrony Polaków przed atakami ukraińskich nacjonalistów był odznaczony Krzyżem Walecznych Aarii Krajowej. Przez krótki okres czasu, po przesunięciu się frontu w kierunku zachodnim prowadził pracę duszpasterską na terenach wschodniej Ukrainy. W 1945 r. został aresztowany i skazany na 10 lat łagru, z czego 9 spędził w Workucie. W latach 1956-58 był duszpasterzem w Kazachstanie. W latach 1958-65 ponownie był na zesłaniu. Od 1966 r. aż do śmierci (1982) był księdzem w Barze i innych parafiach na Podolu.

\*

Wyjeżdżając z Workuty, byłem już zdecydowany, że pojedę do Kazachstanu. Przedtem jeszcze odwiedziłem strony rodzinne. Pojechałem najpierw z dziękczynieniem do dobrodzieja Chomiczkiego, który padł przede mną na kolana, a ja przed nim. A gdy usłyszał, że jadę do Kazachstanu – znowu na kolana. Wyposażyli mnie tam w szaty liturgiczne, organista zrobił mi 10 różnych zdjęć i potem przysłał setki odbitek. Bronio radził: zostawić 50, resztę spalić. Miałem z tym ogromne kłopoty.

Potem dotarłem do matki, u której po latach rozstania przebywałem 12 dni. Następnie wyjechałem do Kazachstanu. Na miejsce przybyłem w czerwcu. Zameldowałem się i jakoś mnie nie pytano, gdzie pracuję, czy gdzie będę pracować. Nie odprawiając nawet nabożeństwa w niedzielę pojechałem od razu do Karagandy i Akmolińska odwiedzić przyjaciół i towarzyszy z więzień i obozów. W Karagandzie byłem 27 czerwca 1956 r. na imieninach ks. Władysława

---

<sup>2</sup> Podstawa relacji: A. Suzin, *Wycieczka w stepy kirgiskie odbyta w 1834 roku* [w:] „Kronika Rodzinna”, 1871, nr 17, s. 270; nr 18, s. 284-286; nr 19, s. 301-302; nr 20, s. 316, nr 22, 349-350; nr 23, s. 262-264; nr 24, s. 380-382.

– spotkanie po 10 latach! – i na poświęceniu kaplicy, którą tam kupili. Był to odpowiednio przerobiony dom.

W końcu dotarłem do Tańczy, gdzie przez dwa i pół roku miałem być proboszczem, czy raczej misjonarzem.

Okolice Tańczy to rejon trosmarhyuniński, czkałowski i keplerowski, gdzie w 26 osiedlach mieszkali Polacy. W każdym osiedlu mogło być około 300 domów tak, że było około dwudziestu kilku tysięcy ludzi, którzy przetrwali w wierze pomimo, że przez 20 lat nie widzieli kapłana. Byli oni osiedleni w zwartej masie i mieli oparcie jedni w drugich, co ułatwiło im przetrwanie a ponadto pochodzili z dobrych parafii. Były nawet dwie parafie mazurskie, których ludność zachowała język polski. Reszta zaś mówiła po ukraińsku, był to jakby ich język ojczysty. Niektórzy zdołali wyrwać się spod komendantury do osiedli roboczych i żyli już w rozproszeniu między ludźmi różnych narodowości.

Gdy przystąpiłem w Tańczy do pracy, ludzie zaczęli gnać się do kościoła ze wszystkich stron. Przyjeżdżali z odległości 40, 60 i 80 kilometrów na pudłach samochodów ciężarowych, nawet wśród upałów i zamieci piaskowej, a w zimie w mróz i śnieg – ciepło odziani.

Pracowałem tam w warunkach nadzwyczaj ciężkich: wyjazdy były trudne, trzeba było nieraz jechać 50 km do chorego, latem panowały upały do +40° a zimą mrozy do -40°C, a nade wszystko byłem w ciągłym strachu, że coś się może stać. Od ks. Rzepeckiego z Akmolińska miałem pocieszające wiadomości, że prawie swobodnie mógł pracować; te wiadomości okazały się jednak złudne, i na skutek zbyt optymistycznego nastawienia naraziłem się na różne przykrości i niepowodzenia. Myślałem, że rzeczywiście można pracować swobodnie. Pojechałem na pierwszy posesłek odległy 22 km od Tańczy, gdzie zesłani byli moi dalecy krewni. Komendantem był tam Kazach, który nie sprzeciwiał się temu, abym zaczął spowiadać, chrzczyć i wykonywać jakiegokolwiek posługi w chacie, w której mnie przyjęto.

Ludzie byli tam całkowicie przygotowani do spowiedzi i Komunii św., tak dzieci jak i osoby dorosłe, wstępujące w związki małżeńskie. Były tam bardzo pobożne i uświadomione niewiasty, które mogły nauczać. Później dwie z nich pracowały u mnie w Tańczy jako katechetki. Niewiasty te pochodziły z parafii Sławuta, gdzie pracował ks. Ruszyński.

Po pewnym czasie władze miejscowe, czyli rada wiejska – należał do niej Polak, niejaki Cerklewicz – zabroniły mi dalej pracować. Jako zesłaniec miałem pozwolenie na wyjazd na czas określony i tylko do ustalonej miejscowości. Musiałem więc wrócić do Tańczy. Najgorzej bywało, gdy jakiś Polak był we władzy miejscowej.

W Tańczy zbierało się dużo ludzi w domu Szymona Czarnego, który nie bał się przyjmować u siebie księży i umożliwiał odprawianie Mszy św. W swoim mieszkaniu. Myślałem, że jest on bardzo odważny, ale pewnego razu, gdy przyszedł prezes rady osiedlowej, to widziałem, że cały drżał. Postępował jednak bardzo dzielnie.





Ten dom Czarnego zaczęliśmy przerabiać na kaplicę. Zburzono ścianę a gospodarze urządzili się w przedsionku, gdzie na taboretach jedli obiad. Żartowali z nich, że są Kirgizami. Właściwie nie był to przedsionek; w Kazachstanie

buduje się w ten sposób, że jeśli trzeba zrobić jakąś przybudówkę, to doczepia się ją z boku. Przybudówka taka nazywa się *priczepa* i służy jako zabezpieczenie od wiatrów i zamieci. W *priczepie* zostawia się przestrzenie bez ściany i składa się tam siano, słomę, by nie wychodzić na zewnątrz, bo w czasie wielkich wiatrów nie sposób czegokolwiek donieść do domu. W przybudówkach bywają też studnie i wejścia dla bydła.

Priczepa ta bardzo nam się przydała. Ułożyliśmy w niej podłogę, ułożony z drążków dach podbiłem fornirem i pomalowałem, tak że wyszło dość przyzwoite pomieszczenie. Pod ścianą stały wieszaki i ławki, na których przyjezdni mogli wieszać swoje kożuchy oraz ustawiać koszyki prowiantem, a do kaplicy wchodzili już jako do pokoju. W kaplicy zbudowałem piec i zrobiłem wyciąg do wentylacji, taki, jakie widziałem w barakach w Workucie. Chociaż kaplica była niewielka- zaledwie 12 metrów na 4 – mieściła jednak sporo ludzi. Zdarzało się, że w zimie, w czasie burzy śnieżnej ludzie, którzy przyjechali na nabożeństwo, nocowali w kaplicy i w *priczepie*.

Nabożeństwo odprawiało się codziennie w intencji ludzi, którzy polegli w czasie wojny. Umarli oni bez spowiedzi, pochowani zostali bez kapłana; wszyscy więc garnęli się na te nabożeństwa i codziennie śpiewano modlitwy za zmarłych. Mieliśmy zaimprovizowany katafalk, świece a nawet obraz Matki Boskiej Pocieszenia, który przywieźli ze sobą ludzie z Jampola. Ludzie wywożeni na Sybir starali się zabrać ze sobą nie tylko jak najwięcej rzeczy osobistych, ale i ten obraz wzięli, pakując osobno jego szatę i koronę oraz składając płótno w taki sposób, by nie połamać oblicza. Przywieźli ponadto mszał, krucyfiks, dzwonek i żelazko do pieczenia opłatków. Mając takie wyposażenie można się było tutaj bardzo ładnie urządzać. Ponadto dostałem ze Lwowa obraz Serca Jezusowego z kościoła O.O. Jezuitów oraz obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Zamontowaliśmy też w kaplicy urządzenie, które odsłaniało i zasłaniało obraz Matki Boskiej.

Jednak i tutaj nie omijały nas trudności. Polecono nam zwołać tzw. „dwudziestkę”, czyli komitet kościelny, wybrać zarząd i podać władzy obłasti celem zarejestrowania. Uczyniliśmy zgodnie z żądaniem. Przez jakiś czas wzywano nas by nam oznajmiać, że nic nie zostało załatwione i że pracujemy nielegalnie. Kiedy pojechaliśmy do władz, aby to wyjaśnić, powiedziano nam, że nie ma naszego podania. Zmienił się jakiś tam sekretarz i pism naszych nie odnaleziono.

Napisaliśmy nowe podanie. Początkowo mówiono, że złożone pisma wystarczą, później jednak, że muszą sprawdzić, czy dom jest zdatny do użytku i że potrzebne jest zaświadczenie stacji epidemiologicznej oraz zaświadczenie o stanie bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Po wielu trudnościach uzyskaliśmy potrzebne dokumenty. Jak się dowiedzieliśmy później, pracownicy stacji epidemiologicznej mieli powód wydanego zaświadczenia ogromne nieprzyjemności, o mało ich nie usunięto z pracy. Natomiast komisja techniczna uznała, że dom grozi zawaleniem i nie nadaje się do użytku. Zgłosiliśmy zastrzeżenie, że od półtora roku jest już użytkowany, dlaczego więc nie spostrzegli tego wcześniej? W końcu pojechałem razem z delegacją parafian, aby wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Kiedy wreszcie przyjęto nas w urzędzie i okazało się, że nie jestem osamotniony, że stoi za mną naród, przez jakiś czas mieliśmy spokój. Potem znowu zaczęły się jakieś nieporozumienia, wzywania do urzędów, straszenie, w końcu przysłano nam nawet prokuratora.

Przyjechał w sobotę i rozpytywał o jakieś obrazki, to znów o jakąś młodzież i nakazał mi stawić się w poniedziałek w kancelarii koło Nowosuchotina. Te dwie doby wyczekiwania były bardzo denerwujące. Kiedy przyjechałem, siedział w poczekalni i pisał na maszynie, nic do mnie nie mówiąc. Wreszcie kazał mi usiąść. Czekałem może z półgodziny. Z końca korytarza widać było cele więzienne zamknięte na sztaby i na klucz. Wreszcie poprosił do gabinetu i zapytał: „Co to jest takiego, że sprzedajecie swoje portrety”? Tłumaczę, że byłem u kolegi na Ukrainie, że mi tam robiono zdjęcia, które rozdaje, jeśli mnie ktoś poprosi, ale że żadnych pieniędzy za to nie brałem. Wobec tego polecił, abym napisał wyjaśnienie. Najpierw zresztą sam pisał, ale potem powiedział, że jestem człowiekiem piśmiennym i poprosił, żebym sam napisał. Napisałem więc, że za moje zdjęcia żadnych pieniędzy nie żądałem, ani nie otrzymywałem. Potem wyjął wszystkie podania, które pisaliśmy do władz w celu rejestracji. „Dlaczego – powiada – to wszystko jest napisane jedną ręką? A czy to są autentyczne podpisy” Odpowiadam, że oczywiście, przecież nikt ludzi nie oszukiwał, nie przymuszał. Chcieli należeć do rady i podpisali. Zapytałem też, dlaczego te podania dostały się aż do prokuratora, skoro sprawdzał je któryś z urzędników rady wykonawczej. Odpowiedział, że oddano mu je. Następnie rozpytywał, jak wygląda nasz kaplica, mówił, że chciałby przyjść zobaczyć. Odpowiedziałem: „Proszę bardzo”. Na tym przesłuchanie zakończyło się, było to takie szarpanie nerwów, chodziło mu o to, by mnie zastraszyć.

Obłożono mnie dużymi podatkami. Za pierwsze pół roku zapłaciłem 12 tysięcy rubli, za drugi rok – 36 tysięcy, a za trzeci 89 tysięcy. Napisałem deklarację o dochodzie, w którym nic nie można było zakwestionować, a mimo to podstawę wymiaru podatkowego stanowiła kwota trzykrotnie wyższa od zadeklarowanej. Oświadczyłem, że nie przyjmę takiego wymiaru podatkowego, wobec czego przysłano do mnie poborcę i chcąc nie chcąc musiałem zapłacić. Pracownicy wydziału finansowego twierdzili, że w kościele zbiera się kwestę trzykrotnie, na różne cele. Odpowiedziałem, że jeśli ktoś chciał coś przynieść, to dał podczas jednej kwesty i na pewno więcej nie będzie dawał. Przyszli do kościoła na kontrolę. Patrzyli, co robię, co biorę. Kiedy przynoszono kwestę, natychmiast przystąpili do jej liczenia. Twierdzili, że biorę pieniądze za posługi – za chrzty i śluby. Mówiłem, że biorę „co łaska” i to nie przed posługą, ale potem, tak że nawet nie wiem, ile otrzymam, bo nie patrzę, ile kto daje. Zapisali te wszystkie dochody i przyjęli, że tak bywa każdej niedzieli. Tłumaczyłem, że bywają okresy niepogody, kiedy dochody są znaczne niższe, ale moich zastrzeżeń nie uwzględniono.

Kontrole w kościele wywoływały niesłychane wrażenie. Podczas gdy słuchałem spowiedzi, kontroler siedział o kilka metrów ode mnie i patrzył, czy nie biorę pieniędzy, a wierni w tym czasie odmawiali różaniec. Finansiści ci nie zwrócili jakoś uwagi na to, że dzieci trzymały w rękach książeczki do nabożeństwa, czego im nie było wolno. Zresztą później i to było przedmiotem wyjaśnień. Zarzucano mi, że rozpowszechniam książeczki do nabożeństwa, pisano o tym w prasie.

Najwięcej jednak kłopotu było z tymi podatkami. Banknoty miały wówczas bardzo małą wartość. Chcąc zanieść na przykład 15 tysięcy, trzeba było brać walizkę. Najgorsze było liczenie. Jestem dość roztargniony i kiedyś nie po-

liczyłem pieniędzy dokładnie i przy ich zdawaniu urzędnik rzucił mi je z powrotem i kazał jeszcze raz liczyć.

Po przesłuchaniu prokuratorskim zaczęto interesować się fotografiami, medalikami i obrazkami. Znowu wyjaśniałem, że fotografie zrobił mi przyjaciel na Ukrainie, a obrazki, medaliki, krzyżyki i różańce kupowali ludzie we Lwowie i odstępowali mi. Podałem, jaką otrzymałem ilość, i że brałem po kopiejkę czy po kilka kopiejek więcej. Urzędnik podatkowy odetchnął z ulgą. Widocznie ktoś doniósł do obłasti, że produkuję dewocjonaalia a ni nie obłożyli tego podatkiem. Dopisałem więc do deklaracji podatkowej, że znajomi z Ukrainy przywozili mi te przedmioty, ze sprzedaży których miałem taki a taki zysk. Po tym wszystko się uspokoiło, a korzyść miałem taką, że mogłem już oficjalnie handlować tymi rzeczami.

Radzono mi, abym handel dewocjami przekazał komuś innemu. Mówiłem, że nie, gdyż kogo innego mogliby oskarżyć o spekulację, a ja, skoro płacę podatek, mogę się tym zajmować.

Ponieważ nie wszyscy mogli dotrzeć do kościoła i przywozić dzieci do chrztu – jeździłem po wsiach i w mieszkaniach odprawiałem Mszę św., spowiadałem, komunikowałem, chrzcilem i udzielałem ślubów. Odbywało się to w okropnym zaduchu i ciasnocie. Ale pamiętam też taką wieś odległą od Tańczy o 50 km – chyba Białojarka – gdzie postawiono wysoki namiot i w nim wybudowano kaplicę, ozdobioną sosenkami.

Niektóre osiedla były niemieckie, ale nawet w polskich mieszkali Niemcy, jedni protestanci a inni katolicy. Tak więc udzielałem ślubów po polsku, po niemiecku, po rosyjsku, a nawet na migi –dla głuchoniemych. Praca była piękna. Później chodziliśmy na cmentarz, gdzie „pieczętowaliśmy” groby i odprawialiśmy procesje, zwykle z pięcioma stacjami na Dzień Zaduszny, niezależnie od pogody. Zazwyczaj było to już po pracy, po żniwach. Dni były już dosyć chłodne, nieraz mroźne. Bywało i tak, że ludzie trzymali w rękach grudki ziemi, a ja siedziałem w kabinie ciężarówki i świeciłem, kropiłem, odmawiałem modlitwy pogrzebowe, a oni następnie kładli ziemię na gronach swoich bliskich. Trzeba jednak było, by ktoś znalazł samochód i przyjechał po mnie. Z czasem i o tym doniesiono do rejonu i prezesa kołchozów, bojąc się konsekwencji, odmawiali wypożyczenia koni czy samochodu; kierowcy zaś narażali się na przykrości. Liczyłem więc na prywatnych właścicieli samochodów. Niektórzy bardzo dobrze tam zarabiali. Na przykład kombajnści w dwa sezony mogli zarobić na auto. Płacono im zbożem, i jeśli je zdawali, nie musieli czekać w kolejce na przydział auta. Zwykle jeden brał od drugiego kwit na zboże i kupował auto w jednym roku, a tamten w następnym. Taki Polak, który miał samochód, najczęściej był proszony na kuma, dlatego że mógł przy okazji zawieźć wszystkich do kościoła. Właśnie ci ludzie pomagali często pojechać do chorych czy obsłużyć wieś.

Do chorych najczęściej jeździł ze mną ślusarz samochodowy z autobazy – Niemiec, protestant, który posiadał własny samochód osobowy. Ponieważ mógł wyjeżdżać dopiero po pracy, o godzinie 17 czy 18 – jechaliśmy na noc. Czasem trzeba było pokonać 80 km. W ciągu wieczoru, a nieraz nocy, spełniałem swoje obowiązki duszpasterskie, a o świcie wracaliśmy do Tańczy. Drogi, którymi jechaliśmy, były wyboiste, usypane za pomocą pługów z ziemi gruntowej. Im więcej się od ludzi wymagało, tym więcej garnęli się do kościoła. Starali się, by do chrztu byli kumowie odpowiedni, żeby do spowiedzi rzetelnie przystąpić, znali

pacierz i katechizm. Wymagałem, by dzieci w wieku 4-5 lat znały „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”. Jeśli tego nie umiały, nie chrzcilem. A jeśli dziecko miało 7-8 lat i nie było przygotowane do spowiedzi, kazałem najprzód nauczyć, bo przecież chrzczymy po to, aby z dziecka wyrósł chrześcijanin. Czasem zdarzało się, że dorośli, będący kumami, musieli najpierw sami poddać się obrządkowi chrztu. Zdarzało się też dość często, że przyjeżdżały pary, które nie miały ślubu i których dzieci nie były ochrzczone. Wówczas odbywały się przygotowania: katechetka udzielała im wyjaśnień po ukraińsku, jednak nazwy Sakramentów podawano po polsku, tak jak wszędzie. Zajęcia trwały parę godzin, potem spowiadałem te pary, następnie udzielałem Komunii św.; odprawialiśmy modlitwy po Komunii i dopiero wtedy udzielałem ślubu. Jedni drugim służyli za świadków, a potem chrzcilem ich dzieci, przy czym jedni drugich brali za kumów.

Kiedy nadeszła jesień, rodzina Szymona Czarnego nie mogła już dalej gnieździć się w przyczepie i żyć jak koczownicy. Trzeba było urządzić im mieszkanie. Uchwaliliśmy, że kupimy im dom za ten, który przerobiono na kaplicę. Kupiliśmy dość ładny dom, o wiele droższy od tego, który przedtem posiadali, na nazwisko syna – Cypriana Czarnego. Był on dobrym stolarzem i nawet chcieli go mianować brygadzystą, ale musiały się zapisać do związku zawodowego. Książeczki związkowe w Związku Radzieckim mają na każdej stronie napis: profsojuz – szkoła komunizmu. Ponieważ nie chciał on wziąć tego dokumentu, więc pracował jako prosty robotnik. Ich nowy dom był o wiele bliżej stacji kolejowej, co było dla nich korzystne, bo żona Cypriana wносиła mleko czy inne produkty do pociągu, i mieli z tego pewne dochody.

W ten sposób kaplica była zabezpieczona jako dom Szymona Czarnego, gdyż Komitet wciąż jeszcze nie był zarejestrowany i nie można było dokonać aktu kupna. Dla siebie zakupiłem domek dwuizbowy po drugiej stronie drogi. Tu przyjechały do mnie z Buczek siostry Bronia i Maria wraz z matką. Z wielkim trudem udało im wyrwać się z kołchozu. Roni napisano w paszporcie, że jest Ukrainką, ale ponieważ zależało jej na wyjeździe, pogodziła się z tym.

Wobec tego, że mieliśmy swój domek, mogliśmy zapraszać gości. Przyjechał do nas ks. Bukowiński, by za poświęcenie jego kaplicy zrewanżować się poświęceniem mojej. Odbyła się więc wielka uroczystość, a ja miałem miłe towarzystwo kolegi i przyjaciela. Później odbywały się w Tańczy również inne uroczystości. W 1957 r. na moje imieniny przyjechali koledzy Bukowiński i Rzepecki – najbliżsi sąsiedzi: jeden z odległości 400 km, a drugi z 600 km. Zjawił się również ks. Michał Keller, który gdzieś w północnym Kazachstanie pracował początkowo jako więzień a później jako wolny w charakterze budowniczego nadzorującego budowę. Kiedy dowiedział się, że tutaj są księża, przyjechał i po dwunastu latach odprawił po raz pierwszy Mszę św. Potem odprawiał już stale, a wkrótce przeszedł na emeryturę. Dostał papiery pochwalne i medal za swoją pracę i osiedlił się najpierw w Nowosybirsku, gdzie pracował wśród Niemców, potem w Kirgizji, wreszcie w Uzbekistanie, gdzie miał swój domek, wraz z siostrami. Pracował on prywatnie czy też pokątnie w grupach, a w końcu Niemcy wystarli się we Frunze, stolicy Kirgizji, oraz w czterech innych miejscach o domy modlitwy, które ks. Michał Keller obsługiwał oficjalnie.

Odbywały się u nas uroczyste nabożeństwa z „Te deum laudamus”, w których brało udział czterech księży. Wywoływało to ogromne wrażenie wśród

ludzi. Nieraz nawet trochę się przechwalałem, mówiąc: „Gdyby nie ja, cóż byście widzieli...”

Odprawialiśmy również uroczystości Bożego Ciała. Kaplica stała na skraju osiedla, a z drugiej strony był już step. Ponieważ była za szczupła, by urządzić w niej ołtarze, ustawiliśmy w moim ogrodzie trzy ołtarzyki i wychodziliśmy do ogrodu i tutaj następowało zakończenie z kazaniem i błogosławieństwem Najświętszego Sakramentu – na wolnej przestrzeni tuż obok bezkresnego, płaskiego stepu, obok pola kartofli kwitnących w moim ogrodzie oraz słoneczników, ozdabiających nasz świat. W ogrodzie odbywały się również chrzty: podawano do chrztu nieraz kilkadziesiąt dzieci. Metryk żadnych nie prowadziliśmy. Kiedy zachodziła potrzeba, podawano się dane o chrzcie osobom, które wyjechały do Polski.

Cmentarz był wspólny dla wszystkich, oprócz mahometan, którzy mieli swój osobno. Jeśli zdarzyło się, że mahometanin był jakimś naczelnikiem, komunistą i pochowano go z czerwonymi flagami i orkiestrą oraz postawiono mu „szafkę”, na której była czerwona gwiazda, to Kazachowie przychodzili w nocy, odkopywali grób i przenosili zwłoki na swój cmentarz. Meczet mieli tylko w Kokczetawie: był to drewniany budynek, taki, jakie u nas bywają, na przykład w Łucku. Znajdował się w centrum miasta, lecz później kazano go opuścić; pozostał jako zabytek, a Kazachowie zbudowali sobie drugi za miastem.

Na cmentarzu zatem odprawialiśmy bardzo piękną uroczystość – „przewody”. Wychodziliśmy na cmentarz i śpiewając przechodziliśmy od jednego do drugiego grobu, modląc się przy każdym, co trwało nieraz i cztery godziny. Na cmentarzu pochowani byli również Niemcy. Nabożeństwa odprawiane były po łacinie, za dusze wszystkich zmarłych.

Nabożeństwa w kościele w zasadzie odprawiano po łacinie, ja jednak odprawiałem je częściowo po polsku, mianowicie: „O przenajświętsza Hostio”, „Przed tak wielkim Sakramentem”, „Dałeś im chleb z nieba” oraz oracje i modlitwy przed Komunią i po Komunii św.

Można było mieć tylko jedno wspólne nabożeństwo dla Polaków i Niemców, których przychodziło kilkadziesiąt, w tym cała młodzież i dzieci. Niemcy - katolicy trzymają się dobrze, zachowują swój język i wiarę. W kaplicy było jednak za ciasno i nie wszyscy się mieścili. Chodziło mi też o to, żeby Niemcy mogli śpiewać swoje pieśni i żeby powiedzieć do nich kilka słów po niemiecku. Odprawiałem więc sumę dla Polaków, a o godzinie 18 Mszę św. dla Niemców.

Wierni nanosili ziemi na grubość dwóch palców. Niemcy sprząтали kaplicę po sumie, a po nich z kolei sprzątały nasze parafianki. Przez pewien czas była wynajęta do sprzątania kobieta, ale porzuciła tę pracę. Mieliśmy też przy kościele stróża, niejakiego Jasińskiego, który nocował w kościele i pilnował. Służył też do Mszy św.

Z Tańczy wyjeżdżałem również do Niemców, którzy zamieszkiwali w odległych o 15-20 km osiedlach. Nie byli to przesiedleńcy, ale tacy, którzy tam przyjechali dobrowolnie jeszcze 1904 roku. Ciekawe, że wielu z nich miało polskie nazwiska. Niemcy wszędzie dobrze gospodarują i wszędzie mają się dobrze – tam również. Mieli oni w każdej wsi kościoły, które zamieniono na magazyny. Tak jak zawsze, ktoś musiał starać się o to, by mnie przywieźć oraz za-

wiadomić ludzi, by się zebraли w odpowiednim czasie. Robiło się wszystko jak należało, dopiero w późniejszych latach zakazano chrztów w mieszkaniach.

Trudno było ustalić, które osiedla wchodziły do mojej parafii. Ks. Rzepecki pracował w odległej o 80 km wsi Zielony Gaj; ja sam bywałem czasami w Kellerówce, gdzie zamieszkiwało kilku katolików. W Kopiejsku koło Swierdłowska było natomiast więcej Ukraińców: byli tam też księża ukraińscy. Przyjeżdżał do nas czasem ks. Rewt, z którym przebywałem później w obozie w Mordowii. Kiedyś uniknął on aresztowania w ten sposób, że gdy dowiedział się, że milicja idzie, wyszedł i minął ich bez zatrzymania, bowiem nie znali go. W samym mieście Akmolińsku był ks. Prokopiew – grekokatolik. Pochodził on z diecezji przemyskiej, z tej części, która pozostawała po tamtej stronie granicy. Zesłano go do Tańczy. Wiedziałem o nim od jego kolegi, którego spotkałem w Workujcie. Prokopiew został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. Pracował gdzieś aż w irkuckiej obłasti, w pobliżu Tracka. Osadzono go w końcu lat czterdziestych, a w 1955 roku został zwolniony i pojechał do Kazachstanu. W Akmolińsku pracował wśród Niemców, Ukraińców i Polaków. Oburzałem się na to, że odprawiał nabożeństwa tylko po słowiańsku i chciał, żeby wszyscy śpiewali „Hospody pomiluj”. Pisał, że Niemcy jako tako śpiewają, natomiast Polacy śpiewać nie chcą, co było dla mnie zrozumiałe. Pracował zbyt gorliwie.

U mnie byli Polacy i Niemcy, a grekokatolików tylko kilku. Gdy przychodzili do spowiedzi, dawałem im książeczkę napisaną w języku ukraińskim i kazałem przeczytać.

Później ks. Prokopiew jeździł też do innych miejscowości, zwłaszcza tam, gdzie osiedlono Niemców. Był on jakiś niezaradny i zawsze chodził zaniebany. Gdy przejeżdżał przez Tańczę, staraliśmy się go trochę odżywić i oprąć, by trochę odpoczął. Nie pozostawał jednak długo, twierdząc, że za dobre jedzenie. I jemu czyniono wiele przeszkód w pracy, jakoś jednak trzymał się. Dopiero później kiedy nas aresztowano wyjechał do Wilna. Tam też był więziony, ale zwolniono go, zdaje się, po roku. W obozie wezwano mnie na przesłuchanie, podczas którego zapytano mnie, dlaczego Prokopiew uciekł z Kazachstanu. Zacząłem wówczas śmiać się bardzo głośno, na co przesłuchujący oburzył się: „Co w tym śmiesznego? Zwariowaliście czy co?” Odpowiedziałem: „Dobrze, że to nie ja wyjechałem, bo byliby kogoś pytali, dlaczego Kuczyński uciekł z Kazachstanu”. Zaprotestowałem przeciw takim pytaniom, mówiąc tylko, że Prokopiew wyjechał z Kazachstanu dlatego, że gdy uwięziono już 5 księży z Kazachstanu, uznał widocznie, że nie ma na co czekać. Po zwolnieniu z więzienia w Wilnie Prokopiew był początkowo stróżem na cmentarzu, jednak zwolniono go stamtąd i skierowano do ciężkiej pracy w sowchozie. W późniejszych latach uzyskał zaświadczenie o inwalidztwie i zamieszkał w jakimś mieszkaniu całkowicie obstawionym regałami z książkami. Miał tam też swój ołtarzyk, przy którym odprawiał Mszę św., zawsze po łacinie. W niedzielę wyjeżdżał na Białoruś do polskich księży, którym pomagał w spowiedzi i odprawianiu nabożeństw. Ukrócił trochę swój ascetyzm i sypiał wprawdzie dalej na deskach, ale już nieco dłużej niż dawniej, jadł też lepiej, zwłaszcza gdy miał w domu gości. Obsługiwany przez jakąś staruszkę, chyba z Felsztyna, ciągle coś czytał i pisał: posiadał duże wiadomości o stanie kościoła w Związku Radzieckim.



Chciałbym wspomnieć też o ks. Piotrze Radwańskim. Przebywał on w Miłopolu koło Połonnego. Gdy jego kościół został zamknięty, zapytał mnie czy nie przydałby się w Kazachstanie. Odpisałem, by przyjechał do nas. Bukowiński i Rzepecki byli tym trochę zaniepokojeni, mówili, że to człowiek starszy i przy tym chory. Miał on dziwaczny pseudonim – Pieresyupkin. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się jakie było jego prawdziwe nazwisko. Prawdopodobnie uczył się przed wojną w Lublinie w seminarium dla misjonarzy wschodniego obrządku i widocznie przybrał sobie taki pseudonim. Od niego dowiedziałem się tylko tyle, że matka jego z domu nazywała się Ziółkowska. Kiedy przyjechał do mnie i jedliśmy obiad w kuchni, gdzieś obok siedziały kobiety i rozmawiały ze sobą, zapytując się: „Ciekawe, jakie jest jego nazwisko?” Na to odpowiedział: „KGB nie dowiedziało się a one chcą wiedzieć!”

Chory był podobno dlatego, że bili go poprzednio i nastąpiło pęknięcie przepony, tak, że żołądek wchodził do klatki piersiowej. Mógł jeść tylko siekane mięso lub coś podobnego.

Przybył on do nas naprawdę w porę. Moja matka była wówczas już bardzo chora, a jest taki zwyczaj, że ksiądz własnej matki nie spowiada – więc wyspowiadał moją matkę. Nie mogła ona ani leżeć, ani siedzieć, serce jej stawało i w końcu po krótkich, ale ciężkich cierpieniach umarła. Tak się złożyło, że w tym czasie trzeba było jechać do chorych, więc pojechał ks. Piotr, a ja sam pochowałem mamusię. Zrobiliśmy piękną trumnę obitą czarnym aksamitem, nabożeństwa odprawiono po polsku, a Niemcy śpiewali po niemiecku. Przesłali mi aż dwie ciężarówki: na jednej ustawiono trumnę, a na drugiej usiadło dużo dzieci z sąsiedztwa: matka moja była bardzo uczynna, gościnna i często coś podsuwała dzieciom, tak że chętnie do nas przychodzili. Przebyliśmy trzykilometrową trasę przez step i ustalili się porządek pogrzebu. Był to jeden z pierwszych pogrzebów zorganizowanych z całą procesją, tak że później wspominali go wszyscy mieszkańcy. Na cmentarzu przemawiałem po polsku, po niemiecku i po rosyjsku.

Ks. Pieresyupkin przeniósł się potem do Pietropawłowska, gdzie wynajął mieszkanie. Po moim aresztowaniu ludzie właśnie do niego jeździli do spowiedzi. Po raz ostatni widziałem go, kiedy odsyłali mnie z Pietropawłowska na step. Stał wraz z innymi z daleka i patrzył.

Później udał się do Lwowa, gdzie chciał poddać się operacji. Podjęto się jej jednak dopiero w szpitalu w Moskwie. W przeddzień operacji przysłał mi pocztówkę – reprodukcję Delacroix – przedstawiającą Arabów polujących na lwy. Ks. Piotr nie wytrzymał operacji, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Został pochowany w Moskwie. Tam dopiero okazało się, że nazywał się Piotr Radwański.

Moje późniejsze sprawy wyglądały kiepsko. Otóż w kokczetawskiej „Prawdzie” zamieszczono artykuł na trzecią część strony pod tytułem: „Czy można mu wierzyć”, w którym bardzo barwnie opisywano jak uciekłem przez granicę do Polski, co tam robiłem, że później Związek Radziecki do mnie przyszedł, a ja na to spotkanie nie przyniosłem żalu, tylko kamień za pazuchą. Dalej opisywano jak i za co zostałem pierwszy raz uwięziony, potem omawiano moją działalność w Kazachstanie. Zostałem nazwany spekulantem i darmozjadem, oskarżony, że posadziłem ludziom na głowę matkę i dwie siostry, że wzbogaciłem się i kupiłem dwa domy, a to dzięki temu, że spekulowałem dewocjonaliami – że na przykład za książeczkę wartą półtora rubla brałem 60 rubli.

W rzeczy samej dostawaliśmy dewocjonalia ze Lwowa, z Wilna, a nawet z Polski, przywoziła je też pani S. i wierni chętnie je kupowali, dając każdą cenę.

Poza tym napisano, że handluję widokówkami piekła, rajy i świętych, do których widocznie zaliczam siebie samego, skoro za swój portret biorę 10 rubli; że w ogóle załatwiam tutaj brudne sprawy watykańskie jako agent, a co to jest Watykan, wiadomo, skoro niedawno odbył się w Stanach Zjednoczonych zjazd policjantów, na którym mianowano papieża Piusa XII honorowym policjantem<sup>3</sup>; i wiele innych, podobnych rzeczy.

Kiedy ukazał się ten artykuł, przybiegli do mnie przede wszystkim Niemcy; pytali, co oznaczają te wszystkie epitety, te straszne, niezrozumiałe słowa, jak tuniejadziec, co to znaczy „feudalny”, „agent” – po prostu ogarnęło ich przerażenie tak wielkie, że trudno było wytrzymać. Zauważyłem jednak, że gdy ja sam jakoś zbierałem siły i odwagę i zaczynałem zachowywać się spokojnie, to i oni nabierali ducha. Po zakazie praktykowania, który został wkrótce wydany, zaczęliśmy znowu jeździć do władz. Dzięki temu na pewien okres czasu znów udzielono zezwolenia na odprawianie nabożeństw. Zresztą, uzyskanie takiego zezwolenia zależało od postawy parafian. Jeśli domagali się czegoś stanowczo, to uzyskiwali, jeśli dali się zastraszyć, to wszystko było na nic.

Wyjechałem później w podróż duszpasterską do dwóch odległych osiedli niemieckich. Po powrocie dowiedziałem się, że zostałem podany do sądu. Wobec tego niezwłocznie udałem się do sądu, by wyjaśnić, o co chodzi. Oświadczono mi, że nie zapłaciłem 16 tysięcy podatku i że jeśli kwotę tę uiszczę, to sprawa zostanie skasowana. Poczyłem starania o zebranie pieniędzy, które następnie wpłaciłem.

Umyślnie chodziłem po mieście, aby widziano, że nie uciekłem. Ten artykuł prasowy jak i całe śledztwo w mojej sprawie miały na celu usunięcie mnie z miasta. Dano mi do zrozumienia, że jeśli wyjadę, nie będę miał żadnych kłopotów. Na temat moich objazdów po wsiach zamieszczono następny artykuł w gazecie rejonowej. Tym razem pisano, że napadam na wioski. Wzięło się to z następującego zdarzenia.

W jednej wsi wybudowano nowy dom i trzeba było go poświęcić. Córka gospodarzy była nauczycielką. Napisali więc, że skradałem się po zaułkach (gdzie tam, we wsi stepowej zaułki?) i wszedłem do tego domu, ale kiedy chciałem dostać się do pokoju nauczycielki, dostałem odprawę. Widocznie nie chcieli kompromitować tej nauczycielki. Szybko więc – pisali – ochrzciłem dzieci, udzieliłem ślubów i czym prędzej uciekłem.<sup>3</sup>

\*

### **Tadeusz Szpaczyński – *List ze stepu***

List Tadeusza Szpaczyńskiego, który drukujemy poniżej, nadesłała do Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu jego siostra Janina Korszon z Krakowa, w związku z ogłoszonym w roku 1988 konkursem na wspomnienia z pobytu Polaków na Syberii, w Kazachstanie, na Dalekim Wschodzie i w innych rejonach ZSRR. List pisany był do siostry ich matki. Autor listu wywieziony został z Lwowa w dniu 13.04.1940 r. do miejscowości Jegen-Suлак, Semipałatyńskiej oblasti w Kazachstanie. Był magistrzem

<sup>3</sup> Podstawa relacji: J. Kuczyński, *Między parafią a lagrem*, Paryż 1985, s.68-78

polonistyki, którą ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim, absolwentem Szkoły Nauk Dyplomatycznych i studentem III roku prawa UJ. Wywieziony został z matką i siostrą. W chwili śmierci z głodu miał 29 lat...!(red.)

\*

### Kochana Ciociu

Ponieważ brak listu i jakichkolwiek dopisków spotkał się z nieco dowolnymi komentarzami, więc teraz, kiedy po ostatniej wiadomości od Was z dn. 10.08 wiem, że mój pierwszy list do T. Jacka nie poszedł na marne, więc biorę drugi, a zarazem ostatni papier listowy będący w mym posiadaniu, by uzupełnić nieco zasób wiadomości przesyłanych przez Mamę, która na pewno pisałaby jeszcze częściej gdyby miała na czym. Poza tym proszę o tyle nie mieć do mnie żalu, że ja nigdy zdaje się w mym życiu nie byłem zbyt skłonny do korespondencji, choć niejednokrotnie z tego tytułu mogłem być posądzany o niewdzięczność.

Tak tedy przed tygodniem minęły już dwa miesiące mego pastuszkowania. Jak dotychczas nie zaszкодziło to w większym stopniu ani mnie ani krowom. Powtarzane nam aż do znudzenia przez kozaków słowo „przywykniesz” ma w sobie niestety dużo racji „życiowej”, choć bynajmniej nie umniejsza się przez to tragizm naszego położenia. Inna rzecz – nie wyglądam podobno na pastucha z powołania. Nie wyganiam krów jeżdżąc na byku i dziko pokrzykując, ale jak filozof zadumany nad złośliwymi igraszkami losu. Znajdujący się w kieszeni płaszcza podręcznik rosyjskiego lub powieść Bruna Jasińskiego „*Człowiek mieniajet kożu*” przypomina, że jestem z zawodu „ucztiel”. Ale postronny widz nie widzi książki ukrytej w kieszeni płaszcza, i sądząc z pozorów, myśli, że to idzie utrudzony wędrowiec, którego kij pastuszy przypomina chwilami kostur żebraczy. Bo gdy zmęczone od słońca i jednostajności stepu oczy, co chwilę spoglądają ku ziemi, to nie dlatego by dostrzec żmiję. Na stepie można czasem zobaczyć zagubioną przez kogoś gumkę od bucika, gumową podeszwę porzuconą przez Kazacha, lub pudełko, w którym jest jeszcze trochę zapalek. Wówczas należy się schylić i podnieść co się znalazło, bo jedno i drugie może się przydać. I oto jest symbol drogi, którą się przebyło w ciągu jednego roku, drogi, która prowadzi do coraz dalszego upokorzenia, by jednak w końcu doprowadzić do Wiktorii. Poprzez dziury w wytartych do szarości bucików wdziera się pasterzowi do środka kurz stepowy, gdy pada deszcz - na szczęście rzadki – chłupie w nich woda, zgięte nogawki pozwalają się domyśleć, że są już poszarpane od ostrej trawy stepowej, która również kłuje nogi nie odziane z oszczędności skarpetkami. Gdy pasterz idzie bez płaszcza widać dziury na kolanach od spodni i postrzępione rękawy zabrudzonego surduta. A płaszcz. Ten się niszczy od przynoszonych nim systematycznie ze stepu łajniaków. A jeśli kogoś obdarzył Bóg wzrostem wyższym od pastucha, ten jeszcze zobaczy dziury na eleganckim kiedyś kaszkiecie. I tylko dobrze, że nie potargało się coś, co każe bezwolnemu manekinowi dzień w dzień iść i przemierzać w samotności posępną jednostajność nie kończącego się stepu. Kazachy na ogół odnoszą się życzliwie do pastucha, bo wiedzą, że pasie krowy będące ich własnością, i że stara się je paść dobrze. Co pół miesiąca dają mu dwa ruble od każdej krowy (szkoda, że tych krów jest obecnie tylko 12) i w ciągu miesiąca 1 litr mleka od każdej kro-

wy. Tak więc miesięczny zarobek w pieniądzu i mleku około 70 rubli. Ponieważ obecnie dzień krótszy wstaję nie o 5 jak początkowo, ale około 6. „Chaziajki” doją do 6,30 i wtedy dopiero mogę wyganiać. Codziennie po kolei biorę od każdej do flaszki dobre ½ ml mleka, wieczorem poprzedniego dnia Mama daje mi chleb, mniej lub więcej, zależy od okoliczności, i z tego mam na stepie śniadanie, śniadanie naprawdę przyjemne, gdy zapędzę już krowy na pastwisko przeszedłszy nieraz do 3 km i siadę tak jak dziś, w cieniu pod stogiem siana. Na godzinę dwunastą przypędzam krowy do fermy, gdzie o tej porze jest już gotów obiad, ugotowany bodajże najpункtualniej ze wszystkich naszych ludzi. Od 1 do 3 odpoczywam, gdyż gorąco bardzo osłabia. Około 3 znów wypędzam krowy, przy czym muszę wybrać takie pastwisko, które leży jak najdalej od wszelkich stogów i „urodzajów” (owies, jęczmień), by krowy nie wyrządziły szkody. Po zapędzeniu ich bowiem na miejsce, zostawiam je same i około 6 wracam na fermę na kolację przeważnie zimną. Po kolacji muszę jednak dobrze obserwować, w którym kierunku krowy idą i w razie potrzeby iść po nie trzeci raz. Przeciętnie robię 10 km dziennie, czasem do 20. O 8-mej zaczyna się już robić ciemno. Z przykrością przyjęliśmy tu wszyscy wiadomość, że wstrzymano czasowo wysyłanie paczek. Są tacy, co dostali już po kilka paczek (5-8). My dotychczas żadnej, gdyż Mama popełniła niewinne kłamstewko, by prędzej doczekać się drugiej. Paczki dochodzą tylko niekiedy, idą bardzo długo, do 2 miesięcy. Bardzo by się nam teraz przydała, w sierpniu, w okresie przednówka, gdy kończą się zapasy mąki, a nowej jeszcze nie ma. U nas jarzyn nie ma zupełnie, ale są w odległej o 18 km centrali (Petropawłówka), gdzie nasi ludzie chodzą od czasu do czasu. Wisia również, ja nie, związany krowami. Tak więc jemy teraz dość często barszcz na burakach, na kolację do kwaśnego mleka chleb i ogórki. Wisia raz dostała pomidora, który był jak przysmak, można dostać poza tym koper, cebulę, młode kartofle (to już trudniej) i marchewkę, a także kapustę. Trzeba jednak mieć co mieniać, za pieniądze można właściwie dostać tylko chleb i mleko. Szczęśliwi są ci, którzy posiadają tytoń i herbatę, gdyż za te rzeczy najlepiej można mieniać. Chleb na ogół przywożą stale i dają dla pracujących od 50 dkg. do 1 kg. Ja w zasadzie jako pastuch dostaję kilo, ale czasem, gdy chleba mało, dają mniej. Fatalnie daje się odczuwać brak mydła, którego nie sprzedają tu od dłuższego czasu. Nawet ci, co go mają gonią ostatekami. Nie ma czym myć się i prać. A jest co prać. Bielizna coraz bardziej zapchlona, W ogóle insekty są tu plagą. W nocy gryzą nas pchły, a wielu także wszy, wieczorem komary, w ciągu całego dnia muchy, których jest tu masa, są także pluskwy. Rzeka wyschła i przemieniła się w szereg mniej lub więcej cuchnących kałuż z brudną wodą, zanieczyszczoną przez bydło. Kto chce się myć lub kąpać musi iść dalej. Względnie dobra jest woda w studni służącej do picia i gotowania.

Wszyscy martwimy się jak przetrwamy zimę, która jest coraz bliżej. Na razie nie wiadomo, jak w tym roku będzie z mąką z obecnych zbiorów. Bardzo źle jest z jajami. Kury się nie niosą, albo bardzo mało, na zimę zapowiadają 40 stopni mrozu i więcej, brak nam opału, to, co się uzbiera, starczy na potrzeby dnia, na razie dużo Kazachów koczuje poza fermą, wskutek czego mieścimy się jako tako po nędznych chałupach, ale nie wiadomo co będzie, gdy Kazachy wrócą z koczowania z końcem września, jakkolwiek wybudowano w międzyczasie 3 nowe chałupy. Nie wiadomo, jaki będzie rodzaj naszej pracy w zimie.

W razie dużych śniegów nie ma dowozu, w styczniu i lutym mają być zawieje, a śnieg ma być już w październiku. Wątpliwy jest dowóz chleba w zimie. Coraz mniej rzeczy do wymiany, a kozacy jeszcze na razie lubią nas dla naszych rzeczy. Nie od rzeczy będzie napisać o samych kozakach. Z listów z Lwowa wynika, że panuje tam przekonanie, iż na ogół są to dobrzy ludzie. Przede wszystkim dobroć jako wykwit pewnego rodzaju kultury humanistycznej – to rzecz dla nich zupełnie obca. Dobroć to u nich kwestia instynktu. To ludzie dzicy, prymitywni. Przeważnie chytry i interesowni. Oczyma dzikiego, chciwego, zdumionego dziecka patrzą na nasze kołdry, prześcieradła, poduszki, ubrania, buciki, zegarki, chustki kolorowe na głowę, poszewki, lusterka, pularesy, torebki itd. Chcieliby mieć to wszystko. Mieniają za produkty, a czasem za pieniądze. Do tych, co mają więcej rzeczy odnoszą się lepiej, póki mogą coś zyskać. Humory u nich zmienne. Ten sam Kozak, który jednego dnia robił mi straszną awanturę przy kupnie chleba, za to, że nie wygoniłem jego krowy i ta do południa została w fermie, na drugi dzień kazał mi pierwszemu dać w sklepie chleb spośród naszych ludzi. Umieją być gwałtowni. Potrafią pchnąć i uderzyć. Należy ich odpowiednio z góry traktować, i też z krzykiem na nich. Są na ogół gościnni. Gdy przyjdzie się do nich w czasie, gdy jedzą, zazwyczaj czymś poczęstują. Ale nie zawsze. Niektóre chazajki poczęstują mnie czasem kawałkiem chleba, dając mi mleko. Ale dwie potrafiły mi rano odmówić mleka i dać dopiero na drugi lub trzeci dzień. Zachowują się często tak gruboskórnie, że trudno wprost wytrzymać. Pozwalają sobie na głupie i niesmaczne żarty, zwłaszcza wobec pań. Zaledwie kilku z nich to ludzie bardziej okrziesani. Niemożliwi są, gdy się upiją kumyssem – końskim mlekiem. U nich to przysmak. Przepadają za czajem. Za czaj można u nich dostać wszystko, czego się nie da kupić za pieniądze. Tylko, że nawet nasi ludzie mają go coraz mniej. Nachodzą nas bez przerwy po naszych kwaterach. Stoją wtedy jak słup, nic nie mówią, gapią się i dopiero po dłuższej chwili odchodzą, zostawiając trochę wszy i pcheł. Mleko szachrają, tak jak i nasze baby. Ja dostaję na ogół dobre mleko surowe, bo rano nie ma czasu gotować, przeważnie prosto od krowy. Więcej niż pół litra, bo ma dużą flaszkę.

Było nas wszystkich początkowo 63 osoby wraz z dziećmi. Umarła pani Bogdanowiczowa, staruszka 80-kiłkuletnia i pan Klemberg, Żyd z Krakowa, lat ponad 70. Jedna z pań zgodziła się na gospodynię do rejonowego dygnitarza w Kopekli (70 km od nas). Pracujący u nas w kuźni p. Krechowiecki przeniósł się z żoną i córką do Biegacza (18 km), dwie osoby opuściły nas po angielsku. Zostało 55 osób, z tego obecnie pracuje przy największym natężeniu 245 osób, 12 osób nie pracuje z powodu podeszłego wieku lub słabego zdrowia. Parę osób musi pilnować dzieci i gospodarstwa. Dzieci do lat 18-tu (najmłodsze 1 ½ roku) jest 22, kilkoro z nich pracuje. Obecnie około 9 osób pracuje przy sianokosach, mieszkając w jurtach do 10 km od fermy, przenosząc się z miejsca na miejsce wraz z Kozakami, około 6 osób, między innymi Wisia, 4 km od fermy przy czyszczeniu... bydła; wychodzą około 8-mej rano, wracają na 5-tą po południu. Praca ich zbliża się ku końcowi, 4 osoby niedaleko wsi przy owsie, ja z krowami i chłopak pasie wielbłądy, dwie osoby w Biegaczu. Zresztą w tym zakresie ciągle zmiany. Za miesiąc maj nasi ludzie otrzymali onegdaj wypłatę wynoszącą przeciętnie 20-35 rubli. Za pracę przy sianokosach mają płacić znacznie więcej, ale dopiero z czasem. Pan Krechowiecki, kowal, zarobił za maj około 120 rubli.

Lato mieliśmy upalne, zar czasem był niemożliwy, pastuch wychodził czasem z parasolem, by uchronić się od słońca. Czasami spadnie drobny deszcz, przeważnie – na szczęście – większy pada w nocy. Obecnie jest już trochę chłodniej. 2 razy rano nim doszedłem do pastwiska ręce zgrabiały mi z zimna, gdyż trafiają się i zimne ranki. Ziemia po deszczu prędko wysycha. Dość często są b. silne wiatru. Burz było kilka, ale bezpośrednio nad nami tylko jedna. Od pioruna pała się często stopy. Były i większe pożary trwające 3 dni, ale dalej od nas. Na zdrowiu na ogół się trzymamy. Chorują dość często dzieci. Poza tym starsi na żołądek. Ja w ciągu 2 miesięcy pastuchowania nie pasłem przez 7 dni, chorując okresowo na 4 zawody z gorączką do 39,4 stop., ale to jakoś szybko przechodzi jak szybko przyszło. Mnie dokuczają zęby, zresztą wielu osobom także. Poza tym jesteśmy straszliwie zmęczeni. Ci, którzy wciąż chodzą są poza tym wciąż głodni, choć co się nas tyczy, Mama dba o nas. Dobrze jest zwłaszcza, gdy jest dużo chleba, a tymczasem są dni, gdy go nie ma. U Kozaków trudno coś obecnie kupić na dożywienie, bo sami nie mają wiele dla siebie w okresie przednowku. Dlatego tak bardzo tęsknimy za paczkami. Strona kulturalna naszego życia przedstawia się poniżej wszelkiego minimum. Nawet gazety widzi się obecnie najwyżej 3 razy w miesiącu. Naszą lekturą i niemal wszystkim są listy, których oczekujemy z utęsknieniem. Ja stworzyłem sobie zajęcie wyuczywszy się języka rosyjskiego. Przerobiłem I część Kułakowskiego i żałuję, że nie mam drugiej. Obecnie mogłem już swobodnie przeczytać powieść Jasińskiego, b. polskiego komunisty i dobrego literata, który jak zdaje mi się, wszyscy zdrowi komuniści skończył na wygnaniu. Oczywiście nie w Polsce, gdyż dawno uciekł do Sowiec. Gorzej jest z konwersacją, gdyż nie ma tu z kim mówić. Rosjan nie ma, a kozacy mówią fatalnie po rosyjsku. Zamiast byśmy się od nich uczyli, oni od nas uczą się ukrainizmów. Doprawdy ciężkie, straszliwie ciężkie jest tu nasze życie. Drobne wzruszenie potrafi nieraz niektóre osoby, zwłaszcza starsze panie, przyprowadzić o wybuch spazmatycznego płaczu. I mnie nieraz, gdy idę samotnie w step, gdy przypomnę sobie jakiś drobny szczegół z przeszłości, jakiś drobiazg, którego w Krakowie nie umiało się wówczas docenić, łzy, których nikt nie widzi, podchodzą do oczu. Ale nie są to łzy słabości, lecz łzy rozrzewnienia nad tym, co się straciło i na co znów trzeba długo i w udręce czekać. Toteż i we Lwowie nie płaczcie nad naszymi listami płaczem rozpacz. Nad losem przedstawicieli narodu, który istnieje lat tysiąc i istnieć będzie do skończenia świata i staje się celem, dla którego żyć warto, jeśli chce się doczekać wolności. Odżyła wielka poezja romantyczna. Anhelli znad tajg Sybiru przeniósł się na stopy Kazachstanu. W tym roku zapewne nie ujrzycie go w Polsce, ale gdy wróci na przyszły rok, łachmanów swoich wstydzicie się nie będzie. Ale nie wszyscy idą ku temu cierpieniu jak Chrystus na Golgotę. Chcieliby się z niego zrzucić. „Mówię bom smutny i sam pełen win”. Kto zrozumie sens tego cierpienia, przestanie być tylko człowiekiem nieszczęśliwym, zasługującym na współczucie, a będzie w swoim zakresie człowiekiem wielkim. Przez cały świat przewala się walka między złym a dobrym, między Ormuzdem a Arymanem. I cóż dziwnego, że każdy z nas wierzy, że zwycięży Ormuzd, że ci co rozpętali łańcuch zbrodni i łajdactw sami legną pod ich ciężarem. Nie bójmy się powtarzać tej prawdy, która ratuje nas od samobójczych myśli. Nawet najgłupszy przedstawiciel NKWD nie wątpi chyba w to, że każdy Polak w Kazachstanie wierzy, że wróci do Polski, o ile tylko przetrwa tę zimę.

U nas bardzo trudno o papier listowy i jeśli można prosimy zawsze o jego przysłanie. Krowy nie pozwoliły mi skończyć listu, gdyż musiałem za nimi gonić i kończę go rano 25.8, pod tym samym stogiem, gdzie go wczoraj zacząłem pisać. A szkoda, bo dziś właśnie dwie panie poszły do Petropawłówki, gdzie jest poczta. Pójdzie przy najbliższej okazji długo odwlekany list. Na tym kończę to przydługie i zdaje się nieczytelne pisanie całując Kochaną Ciocię wraz z Wujciem, dziećmi i wnuczką, dla p. Inki i Haneczki załączam serdeczny uścisk dłoni i dla p. Romka.

*Tadzik*

PS. 30.8.40. Dotychczas nie mogłem wysłać listu, gdyż nikt z naszych nie wychodził ostatnio do Centrali, gdzie jest poczta. Dziś list zakleję i pewnie niedługo już będzie czekał. Paczki dotychczas nie ma. Od kilku dni jesteśmy, Mama, Wisia i ja na nowej kwaterze, gdyż wobec zbliżającego się nowego roku szkolnego trzeba się było wyprowadzić ze szkoły. Mieszkamy obecnie w jednej izbie tylko we troje. Zdaje się jednak, że i to tylko czasowo, gdyż jak kozacy wrócą z sianokosów i koczowania nastąpią... dalsze zmiany. W nowej kwaterze mamy kuchnię i obecnie Mama nie musi gotować na dworze w razie deszczu. Właśnie pogoda się psuje, coraz częściej deszcze i zimno, kiedyś rano był szron. Pieniądze nadeszły około 10 sierpnia. Przednówek coraz cięższy – często jesteśmy głodni. Chleba dają mało. Czasami brak mi już sił do pasienia krów, zajęcie to już całkowicie mi obrzydło. Krążą tu różne plotki na temat misji amerykańskiej w sprawie uchodźców i przesiedleńców, ale na razie nie widać, by dla nas miało coś z tego wyniknąć. Świat jest duży. Łatwo wymieniane są USA, Kanada, Indie czy Filipiny.

*Tadzik.*

Godz.18. Przed chwilą przyjechał Kozak z Centrali z wykazem osób, które dostały paczki. Figuruje tam nasze nazwisko. Jutro Wisia pójdzie lub pojedzie do Centrali po odbiór.





## KRONIKA

### • Stowarzyszenie Sybiraków Polskich w Australii

Dnia 27 sierpnia 2006 roku odbyło się Walne Zebranie Członków Stowarzyszenia Sybiraków Polskich w Wiktorii. Na przewodniczącego zebrania został wybrany Jerzy Król, który jak zwykle, prowadził zebranie sprawnie i delikatnie, ale stanowczą ręką.

W ubiegłej, trwającej rok kadencji zarządu wydane zostały trzy „Biuletyny”, urządzono pięć spotkań towarzyskich oraz tradycyjny „Opłatek”, który jak zwykle, był bardzo udany i cieszył się dużą frekwencją. Bardzo ważnym wydarzeniem w życiu Stowarzyszenia w tym roku była uroczystość wręczenia Krzyży Zesłańców Sybiru, poprzedzona Mszą św. i połączona z obchodami Dnia Katynia. Ustępującemu zarządowi udzielono absolutorium, następnie, przez aklamację wybrano następujące osoby na różne funkcje w zarządzie: prezes p. J. Król; wiceprezes – p. U. Paszkowska; sekretarz – p. B. Trella; skarbnik – p. W. Bernat; referent Sekcji Samopomocy – p. Z. Wasylkowski; referent Sekcji Historycznej – p. H. Juszczyk; referent prasowa - p. M. Trella; Public Officer – p. J. Król; Sekcja Towarzystwo-Imprezowa: panie Chwasta, I. Janson, J. Mielnik, W. Paszkiewicz. C. Polakowska, I. Pyśk; Komisja Rewizyjna: p. E. Gierud, panie E. Gierud i C. Polakowska.

W czasie zebrania wynikała żywa dyskusja na temat przystosowania działalności Sekcji Samopomocy do dzisiejszych potrzeb i możliwości Stowarzyszenia. W konkluzji zebrania pan prezes podzielił się swoją refleksją na temat dalszego działania Stowarzyszenia. Otóż od założenia Stowarzyszenia minęło 16 lat. Pan prezes zwrócił członkom uwagę na to „że lata nas gonią coraz szybciej, jesteśmy o 16 lat starsi. Trzeba się zastanowić jak długo jeszcze pociągniemy. Do tego czasu robiliśmy fantastyczną robotę, szczególnie jeśli chodzi o nasze spotkania, a to wszystko wymagało sporo wysiłku. Teraz jest już coraz trudniej zdobyć się na taki wysiłek.” Tę refleksję p. J. Król zostawił członkom do namysłu, a zarządowi do deliberacji.

Kończąc Walne Zebranie pan prezes podziękował wszystkim za pomoc i współpracę w ubiegłym roku kadencji.

*Maria Trella*

*(Przedruk z: „Tygodnik Polski” – 11. X. 2006)*

Od redakcji: powróćmy jeszcze na chwilę do powyższej informacji, dodając do niej podziękowanie kwartalnika „Zesłaniec” za wsparcie finansowe, które Stowarzyszenie Sybiraków Polskich w Wiktorii udzieliło naszej redakcji. Wiemy, że „Zesłaniec” czytany jest tam przez naszych Rodaków, którzy przez Syberię dotarli aż hen daleko na Antypody. Życząc im Wszystkim dużo zdrowia i szczęścia w życiu osobistym zapraszamy na łamy „Zesłańca”, zarówno z bieżącymi informacjami o działalności Stowarzyszenia oraz z tekstami wspomnień dotyczących zesłania oraz drogi z sowieckiej niewoli. Tym bowiem relacjom z syberyjskiej niewoli „Zesłaniec” poświęca szczególnie wiele uwagi. Piszcie więc do nas, i dla nas Drodzy Przyjaciele Sybiracy mieszkający tam za Wielką Wodą oraz już teraz dziękujemy za przysłane teksty, dokumenty i fotografie.

Będziemy je drukować na łamach „Zesłańca”, przekonani, że wniosą one wiele nowych wątków dotyczących pobytu na Syberii, w Kazachstanie oraz w innych rejonach sowieckiego imperium zła.

Na dalsze lata osobiste i Waszego Stowarzyszenia ślemy życzenia wszystkiego co najlepsze, zdrowia i pogody ducha oraz dalszego przeżywania Jubileuszy wyjścia z Nieludzkiej Ziemi.

### • Wystawa „Azja Środkowa w obiektywie Leona Barszczewskiego”

W przestronnych salach Muzeum Etnograficznego we Wrocławiu gościła w kwietniu i maju 2006 roku fotograficzna wystawa pod nazwą „XIX-wieczna Azja Środkowa w obiektywie Leona Barszczewskiego” ze zbiorów rodziny Igora Strojckiego – prawnuka tego niezwykłego podróżnika i badacza Emiratu Bucharskiego, przez pewien czas oficera armii carskiej. Urodził się on w Warszawie 20 lutego 1849 roku, zmarł natomiast w Częstochowie 22 marca 1910 roku. Pochodził z wielodzietnej rodziny, miał bowiem sześciu braci i siostrę. Bracia biorący udział w Powstaniu Styczniowym podzielili los wielu Polaków i represjonowani przez władze carskie zaginęli gdzieś w rosyjskich więzieniach i na syberyjskim zesłaniu. On zaś na mocy carskiego ukazu, jako sierota został skierowany do korpusu kadetów w Kijowie, a następnie kształcił się w Szkole Piechoty w Odessie, którą ukończył w 1869 roku.

Początkowo służył w Guberni Chersońskiej i Besarabii. W roku 1876, na własną prośbę skierowany został wraz z pułkiem, którym dowodził do Emiratu Bucharskiego. Był zamiłowanym fotografem, archeologiem i etnografem, a pobyt w tej części Azji Środkowej dał mu możliwość rozwijania tych pasji. Ponadto czynił obserwacje przyrodnicze, np. interesowały go złodowacenia istniejące w tej części Azji, odkrył złoża kamieni szlachetnych, rud metali, ropy naftowej, węgla kamiennego oraz pokłady złota i srebra. Jego zasługi w tej dziedzinie legły u podstaw powołania go w skład członków Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego oraz Towarzystwa Przyrodników w Moskwie.

Znawcy biografii L. Barszczewskiego oraz jego dorobku badawczego wskazują, że w rezultacie tych pasji potrafił on wzbogacić wiedzę o tej części Azji Środkowej pozwalającą dostrzec całą różnorodność problemów właściwych tamtejszym mieszkańcom i ich kulturze, np. Tadżyków i Uzbeków. Wiedział też nasz podróżnik, że w tamtych stronach tkwią korzenie starych kultur Azji, które w zależności od lokalnych uwarunkowań społeczno-politycznych przybierały różny charakter. Pisał o tym lakonicznie w swoich terenowych notatkach, które niestety nie zostały do tej pory opublikowane. Wspominał o tym na otwarciu wystawy jego prawnuk Igor Strojcki, który od lat czyni wiele by spopularyzować w naszym kraju postać L. Barszczewskiego oraz podejmuje żmudne starania by wydać drukiem jego terenowe zapisy, bowiem on sam nie zdążył tego uczynić, nawet wówczas gdy zakończył służbę wojskową.

Zakończenie tej służby i kolejny awans nie wynikał też z normalnej w wojsku pragmatyki, której wyznacznikiem był wiek. Tutaj było inaczej, oto bowiem władze carskie doceniając jego zasługi i wzorową służbę wystąpiły wobec z propozycją przyjęcia przez niego prawosławia, co łączyło się z rychłym awansem na stopień generała. On zaś stanowczo odmówił, powiadamiając tele-

gramem swoich zwierzchników w którym napisał: „Nie zgadzam się na przyjęcie prawosławia. Jestem Polakiem i katolikiem”. Odwołano go więc z Samarkandy i skierowano do Siedlec jako dowódcę 177 krasnostawskiego pułku piechoty. Tak więc nie został generałem, a do Azji powrócił po pewnym czasie w składzie ekspedycji poszukującej monolitu nefrytowego na sarkofag cara Aleksandra III. Uczestniczył też w wojnie rosyjsko-japońskiej na Dalekim Wschodzie, a po jej zakończeniu przeszedł w roku 1906 na emeryturę.

Czas pobytu w kraju wypełniała mu opieka nad Szkołą Handlową dla dziewcząt, którą ufundował w Siedlcach. Odbył też podróże do Szwajcarii i Francji, gdzie w Alpach zetknął się z tamtejszymi lodowcami. Nie były one zapewne na miarę jego wyobrażeń bowiem napisał potem: „Myślą uciekam do moich lodowców azjatyckich. Piękniejszych nie ma nigdzie. Marzę o odwiedzeniu raz jeszcze tych wspaniałych olbrzymów.” Nie odwiedził ich jednak! Zmarł bowiem i pochowany został w Częstochowie. W roku 1995 z mogiły Leona Barszczewskiego znajdującej się na Cmentarzu na Kulach w Częstochowie skradziono pomnik, rodzina więc ekshumowała jego szczątki i przeniosła do Warszawy do grobów rodzinnych na Cmentarzu Powązkowskim.

Ten krótki szkic biograficzny L. Barszczewskiego przedstawił jego wnuk Igor Strojcki, po tym jak otwarcia wystawy dokonała mgr Elżbieta Berendt, dyrektor Muzeum Etnograficznego. Wystawa ta była jedną z pierwszych, po tym jak wspomniane muzeum zasiedliło nową siedzibę, ofiarowaną jej przez władze miasta Wrocławia, po szerokiej fali przeszkód związanych z nową lokalizacją. Tak więc na miarę świetnie zorganizowanej i wyposażonej placówki muzealnej, podjęła ona wielość przedsięwzięć wystawienniczych, a jednym z nich była wspomniana wystawa fotograficznych zbiorów naszego rodaka, którego los związał ze służbą w carskiej armii. Ten wątek związków polsko-rosyjskich w dziedzinie poznawania Azji stanowił główne tło wystąpienia etnologa Antoniego Kuczyńskiego z Uniwersytetu Wrocławskiego, który zwrócił uwagę na zasługi L. Barszczewskiego w zakresie poznania rosyjskiej Azji Środkowej i zapewnił, że nie napisana jeszcze książka biograficzna o tej postaci i jej doświadczeniach życiowych obiecuje interesującą lekturę. Przy tej okazji przypomniał dorobek polskich zesłańców, którzy wnieśli niebagatelny wkład w naukę, kulturę i gospodarkę rosyjskiej Azji oraz tych Polaków którzy wykształceni na cywilnych i wojskowych uczelniach ówczesnej Rosji zapisali się w jej dziejach jako wybitki kartografowie, geolodzy i geodeci, sędziowie, inżynierowie czy lekarze. Podkreślił zarazem, że wystawa fotografii L. Barszczewskiego jest zaledwie małym fragmentem tego dziedzictwa.

Na wspomnianą wystawę złożyło się wiele fotografii ukazujących katalog kulturowy Tadżyków i Uzbeków, rzeki, góry i doliny Azji Środkowej, domostwa tubylcze, przywódców plemion i widoki miast. To wszystko tworzyło bogatą fabułę wystawy na której prezentowano około 150 fotografii z tej niezwyklej kolekcji o rozległym zakresie tematycznym. W Polsce zidentyfikowano dotychczas 690 szklanych klisz i błon, na których utrwalone są różne tematy z rozległych zainteresowań tego fotografa, który w 1895 roku zdobył złoty medal na wystawie w Paryżu.

Na fotografiach tych odnajdujemy ulubioną egzotykę i tajemniczość, miłość do natury i piękna. One też przybliżają nam niesamowitą scenierię Samarkandy, Gór Hissarskich i Zerwaszańskich czy dorzecza Amu-Darii. Autor foto-

grafii starannie dobierał tematy, tak aby składały się na wielość scen obrazujących ludzi z którymi się spotykał, i kraje w których przebywał. Dobrze więc się stało, że Muzeum Etnograficzne we Wrocławiu zaprosiło jego mieszkańców do zobaczenia kawałka egzotycznej Azji, a zarazem polskiego dziedzictwa w jej poznawaniu.

*Bronisław Przesmycki*

- **Odezwa „Ku uwadze Polaków”**

Dnia 25 maja 1919 roku na łamach gazety „Pribajkalskaja žizń” wydawanej w Wierchnieudińsku na Zabajkale ukazała się odezwa do polskich kolejarzy pracujących na magistrali transsyberyjskiej podpisana przez M. Szotakowskiego z Polskiego Komitetu Wojennego zachęcająca ich do opuszczenia Syberii i powrotu do kraju. Tu wypada przypomnieć, że wielu naszych rodaków pracowało na różnych odcinkach budowy tej wielkiej inwestycji z końca XIX i początkach XX wieku, a później w zarządzie i ruchu na całej trasie kolei wiodącej aż do Władywostoku. Oprócz tej grupy zawodowej na terenie całej Syberii pracowali absolwenci rosyjskich uczelni – byli to lekarze, prawnicy, inżynierowie, farmaceuci, sędziowie, wojskowi i inni. Była też liczna grupa ludności chłopskiej, która w ramach tzw. reformy stołypinowskiej pod koniec i na początku XX stulecia wyjechała na Syberię gdzie otrzymała przydział ziemi i nieźle jej się tam powodziło. Przypominamy tu o tym dlatego bo ważny jest ogląd, patrzanie, rejestrowanie i utrwalanie w pamięci obrazu o różnych aspektach związków polsko-syberyjskich, jest więc to poznawanie tych związków poprzez konkret, który często został już zapomniany, bo przysłoniły go martyrologiczne opisy naszych losów na „niehumanitarnej ziemi”, zwłaszcza te z okresu drugiej wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu.

Już w pierwszych latach po odzyskaniu przez Polskę niepodległości (1918) władze odrodzonego państwa czyniły starania o powrót rodaków z Syberii i innych rejonów byłego carskiego imperium. Byli wśród nich zesłańcy ale także i ci, którzy udali się na Syberię do pracy, chłopci i robotnicy oraz absolwenci rosyjskich wyższych uczelni, którzy z łatwością znajdowali tam zatrudnienie w różnych dziedzinach syberyjskiej gospodarki, w administracji i wojsku. Ukazujemy tę inność polskich związków z Syberią, bowiem rozbija ona martyrologiczny, obolały i cierpiący schemat oglądu tej ziemi.

Wspomniany artykuł w „Pribajkalskiej žizni” wspominał o tym na początku, że rząd Polski, działając poprzez Polski Komitet Wojenny na Syberii podjął starania by polscy kolejarze – „których liczba zatrudnionych na kolei transsyberyjskiej była wysoka, a np. na stacji Wierchnieudińsk i podległych jej odcinkach Polacy stanowili ponad połowę zatrudnionych” – powracali do kraju. Wspomnianą odezwę poprzedzał tekst tej treści:

**Ku uwadze kolejarzy Polaków.**

**Otrzymana przeze mnie z Delegatury Polskiego Komitetu Wojennego depesza zawierała informację iż niezbędnym jest stworzyć w najbliższym czasie, związek kolejarzy Polaków w celu zorganizowania im zbiorowego powrotu do kraju.**

Wierchnieudińskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny prosi zamieszkałych w Wierchnieudińsku Polaków pragnących powrócić do kraju by zgłaszali się w celu rejestracji.[...] Dlatego proszę wszystkich kolejarzy Polaków od stacji Mysowaja do stacji Mogzon by pilnie powiadomili współrodaków o możliwości takiego powrotu.

Należy od zaraz zorganizować tę akcję i przesłać do mnie wykazy kolejarzy według rodzaju pełnionej służby, skąd pochodzą ile mają lat i jaki jest ich stan rodzinny. Tam gdzie nie ma możliwości utworzenia takich kolejarских związków, proszę osobiście przybyć do mnie w celu rejestracji lub złożyć podanie na piśmie.

*Emisariusz Polskiego Komitetu Wojennego  
m. Wierchnieudińska M. Szotakowski*

Idźmy jednak dalej i dodajmy zaraz, że podobne akcje organizowane były wówczas na terenie całej Syberii i odniosły pożądane skutki, wielkie bowiem rzesze syberyjskich Polaków powróciły do kraju. Oczywiście byli też wśród nich kolejarze, tak bardzo potrzebni w zarządzie i ruchu odradzającej się polskiej kolei, przechodzącej wówczas trudny okres scalania będący rezultatem wojny oraz funkcjonowania jej w trzech zaborach. Ci co pozostali wówczas w Rosji, bo byli i tacy, poddani zostali w latach wielkiego terroru w ZSRR przypadającego na lata dwudzieste i trzydzieste licznym represjom i uznani za tzw. wrogów ludu byli rozstrzelani lub uwięzieni w łagrach, z których już nie powrócili.

*Tłumaczenie z języka rosyjskiego i opracowanie tekstu  
Bronisław Przesmycki*

### **Studium Europy Wschodniej**

18 grudnia 2006 roku odbyła się w Warszawie robocza sesja naukowa pod nazwą „Polskie badania wschodnie po 1989 roku” zorganizowana przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, utworzone 15 lat temu przez niestrudzonego Jana Malickiego, redaktora prestiżowego pisma historycznego pod nazwą „Przegląd Wschodni”. Pismo przyznaje doroczne nagrody dla autorów krajowych i zagranicznych za publikacje książkowe poświęcone problematyce wschodniej.

Założono je w 1991 roku i od tego czasu jest niezależnym kwartalnikiem naukowym współpracującym ze Studium Europy Wschodniej, poświęconym dziejom Europy Wschodniej, historii i współczesności Polaków na Wschodzie oraz ich związków z innymi narodami tego regionu. Pojęcie „na Wschodzie” odnosi się do obszaru sięgającego od obecnej wschodniej granicy Rzeczypospolitej aż po Kamczatkę, Sachalin i Mandżurię. Materiały publikowane w piśmie dotyczą w równej mierze dziejów Polaków, jak i innych narodów, zwłaszcza Litwy, Białorusi i Ukrainy.

W doborze tekstów przyjęto zasadę łączenia wyników badań różnych dyscyplin zajmujących się tą tematyką, przede wszystkim historii, historii sztuki i historii literatury, etnografii, demografii i geografii. Redakcja współpracuje z autorami polskimi i szerokim gronem wybitnych badaczy z innych krajów.

Ktokolwiek w Polsce interesuje się tzw. badaniami wschodnimi zna doskonale dokonania „Przeglądu Wschodniego” i jego redaktora Jana Malickiego oraz utworzonej przez niego placówki mającej niezaprzeczalne rezultaty w dziedzinie kształcenia i badań naukowych. W jej dokonania organizacyjne wpisuje się też wspomniane czasopismo, Wschodnia Szkoła Letnia czy ostatnio Program Stypendialny Rządu RP dla Młodych Naukowców w zakresie problematyki wschodniej.

Celem wspomnianego spotkania była nie tylko ocena dotychczasowej działalności Studium Europy Wschodniej w zakresie stanu organizacji prowadzonych badań w zakresie szeroko pojętej tematyki lecz także ocena aktualnych możliwości dotyczących podjęcia współpracy jednostek akademickich, zajmujących się badaniami wschodnimi i kształceniem w Polsce specjalistów z tej dziedziny.

Jubileuszowi 15-lecia Studium, towarzyszyły także dwa inne przedsięwzięcia, a mianowicie zjazd absolwentów „Studiów Wschodnich Uniwersytetu Warszawskiego” oraz spotkanie szefów instytutów/zakładów/katedr zajmujących się studiami wschodnimi w uczelniach akademickich w Polsce. Było to interesujące spotkanie, które w najbliższej przyszłości zaowocuje dalszym rozwojem badań wschodnich we współpracy z krajowymi ośrodkami akademickimi, w których wykryzalizowały się już określone programy badawcze z tego zakresu.

*Bronisław Przesmycki*

- **Uzupełnienie do artykułu pt. *Wywieziona do Maryjskiej ASRR*, opublikowanego w numerze 26 (2006) „Zesłańca”**

W numerze 26 „Zesłańca” opublikowałem relację pt. *Wywieziona do Maryjskiej ASRR*, pióra Pani Kauckiej. Chciałbym dodać kilka informacji o autorce, uzyskanych z kartotek Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie. Oto one:

Izabela Maria Felicja Kaucka urodziła się 23 sierpnia 1896 roku w Budapeszcie w rodzinie Tadeusza i Marii z Ponińskich. Maturę uzyskała w Wiedniu. Jako żona starosty łomżyńskiego mieszkała do wojny w Łomży przy ul. Sienkiewicz a 10. Sama napisała o pobycie w Białymstoku i Lwowie, z którego została wywieziona na wschód. Tam 16 maja 1942 r. wcielono Izabelę Kaucką do Pomocniczej Służby Kobiet, z przydziałem do kompanii Sztabu Dowództwa. Wiek i przejścia syberyjskie przyczyniły się do zmiany tego statusu, komisja przy Szpitalu Cywilnym w Teheranie 6 maja 1944 r. wydała orzeczenie uznające Izabelę Kaucką za niezdolną do służby w wojsku. Wskutek tego autorka relacji znalazła się w Oddziale Informacyjnym „Włochy”. Dnia 1 listopada 1945 r. otrzymała Brązowy Krzyż Zasługi, a 3 maja 1946 r. awansowano ją do stopnia sierżanta. Znała języki: polski, francuski, niemiecki, rosyjski, angielski.

*Adam Dobroński*



## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Janusz Gwardiak, *Uczestnicy działań niepodległościowo-rewolucyjnych na ziemi łomżyńskiej 1794-1918. Leksykon, Łomża 2005, s. 399.***

Autor jest aktywnym członkiem Łomżyńskiego Towarzystwa Naukowego im. Wagów, wydawcy książki. W jego dorobku znajduje się wiele publikacji biograficznych, w tym ogłoszona w 2003 r. książka *Architekci i budowniczowie ziemi łomżyńskiej. Słownik biograficzny*. Z pewnością należy do najlepszych znawców dokonania ludzi związanych – w ten czy inny sposób – z Łomżą i obszarem zwanym zwyczajowo ziemią łomżyńską. To co przedstawił w swej najnowszej książce stanowi owoc jego wieloletnich kwerend, choć z uwagi na różne okoliczności nie mógł ich prowadzić zbyt wiele w kraju, nie mówiąc już o zagranicznych składnicach dokumentów do działalności łomżan. Zgodnie z radą naukowego patrona tego dzieła prof. Adama Dobrońskiego, Autor do tytułu dołączył słowo „leksykon”, a we wstępie dodał ponadto, iż swą pracę traktuje jako popularnonaukową.

Zestawił 774 not bibliograficznych, z czego 416 stanowi tzw. tekst zasadniczy (tzn. mniej lub bardziej rozwinięte biogramy), a pozostałe są danymi z zestawień umieszczonych w aneksach. Są to: *Powstańcy 1863-1864 r.: więźni, skazani na katorgę i zesłani (pow. łomżyński)* (170 osób; np. Antoni Świerczewski z Woli Zambrowskiej – 20 lat katorgi i zesłanie; Ignacy Grucki (Grądzki?) – wrócił do kraju z Syberii po 40 latach), *Powstańcy 1863-1864 r. z pow. łomżyńskiego: skazani na rotę aresztanckie i wysłani etapem do Warszawy i Grodna* (w tym: *Skazani na rotę aresztanckie* – 28 osób; *Przesłani do Grodna, a stąd na Syberię* – 14 osób; *Przesłani do X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej* – 5 osób); *Duchowni represjonowani za związki z powstaniem styczniowym 1863 r.* (39 osób – nie wszystkich skazano na zesłanie; niektórzy wrócili do kraju po 20 latach); *Członkowie młodzieżowej konspiracji niepodległościowej w Łomży (ZMPN) 1910-1911* (35 osób – w większości więźni przez kilka miesięcy); *Żołnierze Legionu Puławskiego z gub. Łomżyńskiej (bez pow. węgrowskiego) (1914-1915)* (37 osób); *Uczniowie gimnazjum łomżyńskiego polegli w walce u zarania niepodległości (1919-1920)* (11 osób w wieku od 15 do 20 lat).

Stosunkowo duża liczba biogramów, tych w obrębie leksykonu, dotyczy osób w ten czy inny sposób represjonowanych w Rosji, w tym na Syberii. Są wśród nich Rafał Błoński, autor ogłoszonego w 1867 r. w Krakowie pamiętnika pt. *Pobyty na Syberii przez niego samego w Rzymie spisany w 1865 r.*, który mimo 17-letniego pobytu na zesłaniu na Syberii, po powrocie uczestniczył w powstaniu styczniowym. Rzecz zrozumiała, że do leksykonu wszedł również biogram Agatowa Gillera, autora ważnej książki *Opisanie Zabajkalskiej Krainy*, ogłoszonej w Lipsku w 1867 r. i – niestety – dotychczas nie wznowionej. Jest również biogram Wiktora Ignacego Godlewskiego, absolwenta gimnazjum w Łomży, zesłanego po powstaniu styczniowym i wsławionego – razem z Benedyktem Dybowskim – pionierskimi badaniami limnologicznymi Bajkału. Ostat-



ni z tych biogramów zdradza pewną słabość warsztatową biografistyki. Autor za *Polskim słownikiem biograficznym* podał imiona Godlewskiego: Wiktor Witold, ale poprawił błąd w erracie. Tego typu opracowania, z uwagi na ich kompilacyjny charakter, są zawsze kumulacją błędów poprzedników. Są one w każdym słowniku, jest także wiele w opracowaniu Gwardiaka, a errata objęła głównie błędy nieuważnej korekty.

Z pewnością książce zabrakło ponadto kompetentnego, tzn. znającego się na biografistyce, redaktora. Choć we wstępie wskazano na sposób prezentowania tworzywa

[...] w miarę możliwości dokładne daty i miejsca urodzenia, dane dotyczące rodziców i rodzeństwa, żony i dzieci, pochodzenia (z przewagą drobnoszlacheckiego), związków z działalnością niepodległościowo-rewolucyjną, otrzymanych odznaczeń, wykazu ważniejszych dzieł, związków małżeńskich, daty i miejsca zgonu oraz formy upamiętnienia. Każdy biogram kończy dokumentacja bibliograficzna zawierająca wykaz najważniejszych i wykorzystanych archiwaliów, źródła i opracowań drukowanych i niedrukowanych [...]

Pod nazwiskiem bohatera biogramu nie zawsze podano krótkie o nim dane. Te skrótove objaśnienia czasem mają taki zapis: „szlachecki konspirator niepodległościowy” (to akurat dotyczy znanego filarety wileńskiego Justyna Ciecierskiego). W innych miejscach są takie określenia, jak np. „partyzant powstańczy”, „publicysta i literat ze wsi Goski Witnice gm. Piski w pow. ostrowskim”, itd.

Merytorycznie biogramy są bardziej wartościowe, gdy Autor korzystał z ogłoszonych po wojnie życiorysów w *Polskim słowniku biograficznym* oraz dzieł takich jak Wiktorii Śliwowskiej *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku* z 1998 r. Z innymi jest różnie, choć Autor zgromadził wiele publikacji źródłowych. W niektórych przypadkach nawet uściślił ustalenia poprzedników (w tym także Śliwowskiej).

Są wielkie słowniki biograficzne obejmujące życiorysy ludzi szczególnie zasłużonych dla kraju. Do nich u nas należy przede wszystkim *Polski słownik biograficzny*, dawniej wydawnictwo Polskiej Akademii Umiejętności, a dziś Polskiej Akademii Nauki. Z erraty dołączanej do każdego tomu wynika, że i tam nie sposób było uniknąć nawet poważnych błędów, mimo kompetencji autorów i fachowej, dość dużej, redakcji. Wiele specjalistycznych instytutów naukowych ogłasza słowniki biograficzne, jak choćby Instytut Historii PAN, w którym powstał wspomniany słownik zesłańców Wiktorii Śliwowskiej. Jakkolwiek dzieło to jest firmowane przez jedną autorkę, to materiały zbierało wiele osób w Polsce i Rosji, co uwidoczniło we wstępie. Dzieło miało przy tym staranną redakcję wydawniczą. Stąd poziom całości jest wyjątkowo wysoki.

Rzeczywistość krajową tworzą jednak regionalne słowniki i leksykony biograficzne. Ich autorami są – podobnie jak Janusz Gwardiak – fascynacji problemu, zwykle mający skromne możliwości czasowe do prowadzenia kwerend archiwalnych i bibliotecznych. Ostateczny produkt ich pracy to ukazanie niejako „drugiego garnituru” uczestników wydarzeń historycznych. Właśnie zebrane przez nich dane stanowią, lub będą stanowić, materiał do sporządzenia zestawu kwalifikowanych osób do słowników ogólnokrajowych bądź międzynarodowych. W tej grupie – mimo pewnej słabości – lokuje się prezentowana książka. Chwała więc Autorowi za podjęcie trudu tej pracy. Chwała Łomżyńskiemu To-

warzystwu Naukowemu im. Wagów za podjęcie starań o jej ogłoszenie. Chwała także prof. Adamowi Dobrońskiemu i uczestnikom seminarium historycznego przy Łomżyńskim Towarzystwie Naukowym, że wspierali Autora przy jego żmudnej pracy. Oni też z pewnością przyczynią się do przygotowania drugiej edycji, poprawionej i poszerzonej.

Zbigniew J. Wójcik

- **Feliks Trusiewicz, *Duszohubka*, wydanie II poprawione i rozszerzone, Wrocław 2004, s. 232; *Pokolenie*, Wrocław 2005, s. 107; *Pokolenie. Część druga*, Wrocław 2005, s. 296.**

Trzy obszerne książki emerytowanego pracownika Uniwersytetu Wrocławskiego, inż. Feliksa Trusiewicza w ciągu dwóch lat to niewątpliwie ewenement. Nie pomniejsza tego fakt, że wliczając pierwsze edycje, ich różne wersje ukazywały się wcześniej. Książkę *Pokolenie* wydano bowiem (w językowej wersji polskiej i angielskiej) w Filadelfii w 1985 r. *Duszohubkę* w pierwszej edycji ogłoszono we Wrocławiu w 2002 r. Tylko *Pokolenie. Część druga* miało jedną edycję. Animatorem, redaktorem oraz mecenasem tych prac była zamieszkała w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej kuzynka Autora Krystyna Korneluk-Eliasz. Zdołała ona zachęcić przebywającego okresowo za Oceanem Autora do podjęcia trudu spisania sagi Trusiewiczów, wywodzących się ze wsi Obórki, leżącej dawniej między Łuckiem a Kołkami na Wołyniu. Ci, którzy ocalili z pogromów niemiecko-ukraińskich w czasie ostatniej wojny, mieszkają dziś w różnych krajach, głównie w Polsce oraz w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Jedną z nich jest właśnie Krystyna Korneluk-Eliasz, która zdecydowała się na emigrację już z powojennej Polski.

Książek Feliksa Trusiewicza, z bliżej nieznanymi powodów, nie ma w Bibliotece Narodowej. Bolesny jest zwłaszcza brak filadelfijskiej edycji *Pokolenia*. Nie wydaje się jednak, że Autor w drugiej edycji wprowadził jakieś istotne zmiany. Raczej jest to przedruk. Tyle tylko, że do wersji angielskiej Krystyna Korneluk-Eliasz dodała własne komentarze, przybliżające realia europejskie czytelnikowi amerykańskiemu, a to może stanowić ważny przekaz nie tylko dla historyków literatury. Nowa edycja *Duszohubki* została poprawiona i rozszerzona. *Pokolenie. Część druga* jest wartością samą w sobie, a do uwag recenzentów Autor – być może – ustosunkuje się przy kolejnej edycji tej książki.

O ile *Pokolenie* oraz *Duszohubkę* możemy uznać za literaturę pamiątkarską dotyczącą holokaustu Polaków i Żydów oraz innych grup narodowościowych Wołynia (Rosjan, Czechów, Cyganów, ale także – ginących z rąk rodaków - Ukraińców), to *Pokolenie. Część druga* jest pamiątkiem osoby umiarkowanie niepokornej w Polsce Ludowej. Zwróćmy uwagę, że do wojska został wcielony na Wołyniu w 1944 r. Kwalifikację mechanika samolotowego zdobywał w Zamościu jeszcze w czasie działań wojennych, by na Boernerowie pod Warszawą (dziś Bemowo) uzyskać szlify oficerskie w wojsku polskim, całkowicie niemal dowodzonym przez oficerów sowieckich. Z wojska tego został niebawem zwolniony z „wilczym biletem”. Po pewnym czasie zatrudnił się w technicznym szkolnictwie średnim. Z czasem ukończył studia politechniczne i był inżynierem mechanikiem dużych zakładów przemysłowych, nawet po wystąpieniu z PZPR.

Za krytykę fałszowanych wyborów do organizacji związkowej został karnie zwolniony z pracy. Zatrudniono go w innej placówce, gdzie udało mu się niebawem uzyskać urlop, który wykorzystał na wyjazd do rodziny w Ameryce. Powrócił do kraju i podjął pracę inżyniera w Instytucie Chemii Uniwersytetu Wrocławskiego, wykazując się niebywałą wprost inwencją w konstrukcji aparatury do oczyszczania wody, neutralizacji ścieków, itp. I w tej placówce naraził się krytykując publicznie stan wojenny. Przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Ponownie wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjął pracę jako robotnik w fabryce metalowej. To wtedy, wieczorami i w dni wolne od pracy zawodowej, zaczął spisywać kronikę rodzinną. Opuszczając Amerykę przygotował do druku *Pokolenie*, które dzięki Krystynie Korneluk-Eliasz niebawem ukazało się w Filadelfii. Reżim komunistyczny w kraju kruszył się. Nasze służby wywiadowcze nie zajmowały się już takimi drobiazgami, jak książka obywatela PRL wydana na emigracji. Nie był więc z tego powodu nagabywany przez Służbę Bezpieczeństwa. Już po upadku reżimu zasiadł do napisania opowieści o losach ludności zamieszkałej na północnym Wołyniu w XIX i XX w. Za podstawę wybrał dzieje trzech rodzin: polskiej, żydowskiej i ukraińskiej. Powstało dzieło, najwyższej klasy, na miarę relacji zesłańczej Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Jest to znakomity materiał na scenariusz filmowy o holokauście ludności wołyńskiej w czasie II wojny światowej, w tym także tragedii wywożonej na Syberię ludności polskiej.

*Pokolenie*, w wydaniu pierwszym – amerykańskim, otrzymało w 1993 r. nagrodę specjalną w konkursie *Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939-1945*, zorganizowanym przez Archiwum Wschodnie i Samodzielną Pracownię Dziejów Ziemi Wschodnich II Rzeczypospolitej w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Rzecz zrozumiała, że nie mogło to mieć większego rezonansu społecznego, bo ile egzemplarzy mogło dotrzeć do kraju skoro nawet nie ma tej książki Książnica Narodowa (nb. wydawnictwa emigracyjne trafiały tam z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i traktowane były jako prohibity). *Duszohubkę* odnotowało kilka recenzji. Jedna z nich ukazała się nawet w Izraelu w „Nowym Kurierze”, napisana przez Natana Grossa. Fakt, że ledwie trzy lata po pierwszym wydaniu ukazało się następne najlepiej świadczy o wartości dzieła. Nic dziwnego zważywszy na to czym Autor zamknął informację o swym dziele na czwartej stronie okładki:

Polacy – wygnańcy z tej ziemi – ze szczególną wrażliwością pamiętają o udziale wielu pokoleń Polaków, również Żydów, w tworzeniu kulturalno-gospodarczego oblicza Wołynia – ziemi, której byli sołą. Dziś po tych wspólnotach pozostały tylko zbiorowe mogiły; świadectwa ich życia i kultury zostały barbarzyńsko zniszczone, a ślady zatarte. Zrobiono to tak dokładnie, że chociaż ta tragiczna historia jest jeszcze świeża, już dziś szukamy jej śladów w popiołach.

Owe popioły zastał Autor odwiedzając porośnięte już lasem tereny wsi Obórki, w której się urodził i spędził dzieciństwo. Z rodziny ocalał tylko on, bo w czasie masakry był w innym miejscu. Ale w *Pokoleniu. Części drugiej* stwierdził, że na tym obszarze ocaleli nieliczni Polacy, a jeden z Ukraińców przechował nawet w Rudnikach koło Obórek przez całą okupację niemiecką rodzinę Bolesława Trusiewicza. Nie był to jedyny Ukrainiec, który pomagał Polakom w tym strasznym czasie. (Nb. moja Mama uratowała dziewczynkę Żydówkę z getta w Łucku i przez pewien czas zatrzymała ją u nas w domu. Później ulokowała ją u Ukraińców na wsi, gdzie przeżyła okupację.). Tam także byli „sprawiedliwi wśród narodów świata” i ich nazwiska powinno się pamiętać.

Trzy książki Feliksa Trusiewicza osnute głównie na kanwie zapamiętanych obrazów i nielicznych fotografii dokumentujących wydarzenia od połowy XIX w. po początek XXI wieku. Dotyczą one losów kresowej rodziny o korzeniach wywodzących się z Litwy (okolice Trok) i zbiegiem okoliczności osiadłej na północnym Wołyniu. Z pewnością szlachta litewska, ale już pod zaborem rosyjskim zaliczona do stanu włościańskiego. Sami zagospodarowali otrzymany od bliżej nieznanego właściciela posiadłości Kołki fragment lasu i po jego wykarczowaniu trudniąc się rolnictwem, przemysłem (węgiel drzewny) i handlem, szybko osiągając pewną stabilizację. Mimo braku choćby średniego wykształcenia ich osada promieniowała poziomem kultury wśród otaczających wsi. Zachowane listy – zawsze pisane po polsku – świadczą o tym, że w domu dbano o kształcenie dzieci, choć rodziców nie było stać na guwernerów i posyłanie ich do szkół do pobliskiego Łucka.

Konstatacja ta świadczy o pewnym fenomenie rodzin polskich osiadłych na tym terenie, dotychczas nierozpoznanym przez etnografów. Cechą charakterystyczną tych osad był ponadto język mówiony, mający wprawdzie pewne naleciałości obce (por. treść dialogów w *Duszohubce*), ale zdradzający przyswojenie treści książek polskich, tak trudno dostępnych tam przed 1914 r. Autor tych relacji to niewątpliwy talent pisarski, ale podglebiem dla niego była atmosfera jaką wyniósł z domu – czy szerzej: przede wszystkim z Obórek.

Wspomniano, że *Duszohubka* jest opowieścią o północnym Wołyniu oraz zamieszkałych tam do holokaustu Polaków i Żydów. *Pokolenie* natomiast jest dokumentowaną sagą Trusiewiczów i spokrewnionych z nimi rodzin, m.in. Korneluków. Tu znalazła się także lista wymordowanych w Obórkach 13 listopada 1942 r., wśród których Czesław Szpryngiel miał ledwie 5 lat. W dniu następnym zamordowano kilka kobiet, z których Elżbieta Domalewska – najmłodsza – liczyła 17 lat. W innym miejscu zamordowano wcześniej wybranych mężczyzn, z Witoldem Trusiewiczem – czternastolatkiem. W końcowym fragmencie tekstu powstałego w Stanach Zjednoczonych w 1985 r. Autor zapisał w związku z tym:

Zawsze marzyłem, że po wojnie wrócę do Obórek, uczczę miejsce męczeństwa mojej rodziny, że odnajdę grób mężczyzn zamordowanych w lesie koło Cumania, że wrócę na rodzinną, skrwawioną ziemię, która grzebie nie tylko bliskie mi ofiary ostatniej wojny, ale zawiera też prochy moich rodziców i przodków mojego rodu.

Marzeń moich spełnić nie mogłem. Moja ziemia została oddzielona granicą i włączona do ZSRR (s. 96).

W *Epilogu* do tej książki podkreślił Autor, że już w 1977 r. podjął starania o odwiedzenie Obórek. Nie zdołał jednak przełamać przeszkód administracyjnych. Udało mu się zrealizować zamierzony wyjazd później, gdyż w *Duszohubce* na jednej z fotografii stoi na moście w pobliżu wsi Krasnowola w 1991 r. W rzeczywistości – jak to podał w *Pokoleniu. Części drugiej* – był tam trzy razy: po raz pierwszy w 1990 r. Odnalazł w lesie miejsce pogrzebania pomordowanych. Kolejna wizyta w 1991 r. to już ustawienie krzyża na grobie pomordowanych w Obórkach. To po tej wizycie w ciągu kilku miesięcy napisał *Duszohubkę* (!), bo chciał utrwalić zapamiętane obrazy północnego Wołynia, którego już nie było. Miał to być rękopis pozostawiony dzieciom i wnukom. Dzięki życzliwości takich ludzi jak Antoni Kuczyński książka ukazała się w roku następnym i z miejsca stała się ważną publikacją dokumentacyjną (m.in. dane o

partyzanckich grupach żydowskich pod okupacją niemiecką, wywózkach na Sybir ludności polskiej w czasie pierwszej okupacji sowieckiej, itp.), ale także autentycznym wydarzeniem literackim.

Trzecią podróż do Obórek odbył Autor w 2002 r., tym razem z synem Andrzejem i wnuczką Anią, już urodzonymi na Dolnym Śląsku. Zapisał potem:

Jak poprzednio, chodziłem po tym terenie, gdzie były kiedyś Obórki, i szukałem śladów dawnego życia, ale widziałem tylko te, które wcześniej odkryłem, resztę pokryła patyna czasu i dziki, gęsty las, nad którym, w głębokim moim odczuciu, unosił się świetlany duch tamtych czasów... W tym stanie ducha widziałem mój rodzinny dom i domy sąsiadów, widziałem sady, pólka uprawne i malownicze łąki kwieciste, a w środku duży krzyż umajony i przybrany kwieciami. Tę malowniczą całość okalał las, jak olbrzymi wieniec... (s. 272).

Nie ma więc co się dziwić, że następstwem tego co Autor przeżył była kolejna książka, owa kontynuacja wspomnień, których pierwszy szkic nakreślił w czasie pobytu u rodziny za Oceanem w 1985 r. *Pokolenie. Część druga* to także wspaniała literatura faktu. W tej książce przedstawił przede wszystkim kronikę własnego życia od 1944 r. Sercem związał się z wojskiem, z którego wydalon go w związku z okolicznościami słynnego referendum 1946 r. (tzw. „3 x tak”). Był uważnym obserwatorem rzeczywistości w tym czasie w kraju, a spostrzeżenia o oficerach rosyjskich w wojsku polskim w latach powojennych rzucają dużo nowego światła na problem naszej niepodległości. Pisał o absurdach gospodarki nakazowej, głównie związanym z tym marnotrawstwem materiałów, ale także o wszechobecnej bezpiece. Z tego co opisał w relacjach ze Stanów Zjednoczonych wynika, że udział naszych rodaków w tzw. szarej strefie w tym kraju był wtedy problemem znaczącym. Zdaje się to wszystko wskazywać, iż książkę tę należy traktować także jako pamiętnikarskie źródło historyczne.

Wspomniano, że Autor był inżynierem mechanikiem o umyśle poszukującym nowatorskich rozwiązań, autorem pomysłów zgłoszonych do opatentowania. Do *Pokolenia. Części drugiej* wprowadził jeden kapitalny pomysł: autorskie teksty świadków historii. We fragmencie wspomnień – rękopis przekazał do Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu – znajdują się relacje Bolesława Trusiewicza, uratowanego w Rudnikach.

Niektóre ze wspomnień dotyczą Wołynia z 1942 r. (Janina Korneluk), inne PRL-owskiej rzeczywistości (Krystyna z Korneluków Eliaz, Krystyna Wojczal-Cichoń). Są także teksty syna Andrzeja (o stanie wojennym oraz powodzi we Wrocławiu). Mało zatem, że sam Autor wywiązał się znakomicie jako pisarz, ale także zadbał o dokumentację, dotyczy to również strony ilustracyjnej książki. Zachęcił także innych do spisywania wspomnień przez co książka stanowi dokumentację różnych rodzinnych wątków oraz innych spraw dotyczących się miejsca i czasu.

Dodajmy, że wymienione książki Feliksa Trusiewicza to także znakomity materiał do badań spraw Polonii amerykańskiej, zagadnień polsko-żydowskich, stosunków ukraińsko-polskich, a także martyrologii Polaków w Związku Radzieckim w czasie II wojny światowej.

Zbigniew J. Wójcik

- R. Kuśnierz, *Ukraina w latach kolektywizacji i Wielkiego Głodu 1929-1933*, Toruń 2005, s. 336.

Mimo upływu kilkunastu lat od momentu rozpadu Związku Radzieckiego jego historia, fenomen wciąż przyciąga uwagę wielu historyków. Olbrzymie zainteresowanie budzą także dzieje poszczególnych części składowych imperium, w tym zwłaszcza Ukrainy. Była to ta z republik, której losy były bodaj najbardziej dramatyczne. Szczególnie tragiczny był okres lat 30. i 40. XX w. Obok II wojny światowej kolektywizacja, Wielki Głód i „Wielki Strach” niewątpliwie zaważyły i zostawiły krwawy ślad na losach nie jednego pokolenia ukraińskiego. Do czasu upadku Związku Radzieckiego Wielki Głód i terror na Ukrainie był tematem tabu, a fakt głodu usilnie negowany przez władze radzieckie. Nawet najmniejsze zainteresowanie tą problematyką traktowane było jako działanie antyradzieckie.

Fakt, że w Związku Radzieckim w ogóle się nie wspominało o Wielkim Głodzie nie oznacza, że świat zachodni nie wiedział o tragedii narodu ukraińskiego. Wszystkie informacje, które jakimś cudem przenikały do państw zachodnich, niezwłocznie były publikowane w prasie.<sup>1</sup> Temat ten starali się poruszać przede wszystkim historycy wywodzący się z diaspory ukraińskiej.<sup>2</sup> Dorobek sowietologii był w tej dziedzinie bardziej skromny.

Na Ukrainie dopiero pod koniec lat 80-tych XX w. zaczęto głośno mówić o Wielkim Głodzie, terrorze, o tym, jakie miały one następstwa dla przyszłości Ukrainy, dla całego społeczeństwa ukraińskiego. W 1990 r. kierownictwo Komunistycznej Partii Ukrainy oficjalnie przyznało, że na Ukrainie w latach 30-tych miał miejsce głód i wyraziło zgodę na opublikowanie tomu materiałów archiwalnych *Hołod 1932-1933 rokiw na Ukrajinii: ocyzma istorykiw, mowoju dokumentiw*, Kyjiw 1990. Wydawnictwo to dało początek całej fali publikacji, które pojawiły się w ostatnim dziesięcioleciu.<sup>3</sup> Wyniki badań prowadzonych przez historyków ukraińskich prezentowane były na licznych konferencjach naukowych.<sup>4</sup> Te tragiczne wydarzenia znalazły także swoje odbicie w literaturze pięknej.<sup>5</sup>

Wielki Głód stać się ma też zapewne jednym z najważniejszych elementów-symboli, konstytuujących świadomość historyczną i narodową Ukraińców. Jeszcze w 1998 roku ówczesny prezydent Ukrainy Leonid Kuczma ustanowił dzień pamięci ofiar Wielkiego Głodu, który obchodzony jest co roku z mniejszym lub większym rozmachem w czwartą sobotę listopada. W roku 2003 ponad 2000 osób, w tym politycy i dyplomaci, uczciło w Kijowie pamięć milio-

<sup>1</sup> M.in. M. Mischenko, *Hunger as a Method of Terror and Rule In the Soviet Union*, „Ukr. Quarterly”. – 1949. – Vol.5, N3. – P.219-225; S. Bertillon, *La Famine en Ukraine*, „Le Matin”. – 1933, – 30 Aout. – P. 1, 2; T. M. Prymak, *The Great Ukrainian Famine*, „Forum”. – 1983. – N.54. – P.23-24.

<sup>2</sup> Wymienić tu można m.in. M. Werbyckyj, *Najbilszjy zloczyn Kremla. Stworenyj sywietskoju Moskwoju sztucznyj hołod w Ukrajinii 1932-1933*, Londyn 1952; V. Hryshko, *The Ukrainian Holocaust 1933*, Toronto 1983; F. Belov, *The History of a Soviet Collective Farm*, New York 1955.

<sup>3</sup> Weselowa O.M., Maroczko W.I., Mowczan O.M., *Holodomory w Ukrajinii 1921-1923, 1932-1933, 1946-1947: Zloczynny proty narodu*, Asoc. Doslidnykiw holodomoriw w Ukrajinii, In-t istoriji Ukrajiny NAN Ukrajiny, Kijiw 2000, s. 262; O. O.Kostenko, *Zdrastuj, hołodomore!: Metafizyka nasylla 1932-1933 rr.* – X.: Osnowa, 1998, s. 64; *Hołod 1932-1933 rokiw w Ukrajinii: przyczyny ta naslidky*, red. W. Łytwyn, Kyjiw 2003.

<sup>4</sup> M.in. Wseukrajińska naukowa konferencja, Kyjiw 15.XI.2002; Druha Miznarodna naukowa konferencja, Kyjiw 28.XI.2003; Miznarodna naukowa konferencja Budapeszt – Užhorod 2003.

nów Ukraińców – ofiar Wielkiego Głodu, a żałobne mityngi zorganizowano w wielu miastach ukraińskich. Ponadto Parlament ukraiński w przyjętej rezolucji uznał głód z lat 1932-1933 za akt ludobójstwa. Dzień pamięci ofiar Wielkiego Głodu zorganizowano też w listopadzie 2005 roku. Prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko zaapelował do przywódców innych krajów o uznanie głodu na Ukrainie za zaplanowane ludobójstwo na narodzie ukraińskim.

Mimo rosnącego zainteresowania historią Ukrainy, temat ten przez dłuższy okres był pomijany w badaniach historyków polskich, skupionych przede wszystkim na relacjach polsko-ukraińskich z lat 1918-1921 czy wydarzeniach II wojny światowej.<sup>6</sup>

Problematykę przekształceń politycznych i społecznych na Ukrainie pod koniec lat 20-tych i na początku lat 30-tych podjął dopiero Robert Kuśnierz, młody historyk z Lublina, w książce pt. *Ukraina w latach kolektywizacji i Wielkiego Głodu 1929-1933*, która stanowi przygotowaną do druku wersję jego rozprawy doktorskiej.

Praca ta jest niewątpliwie pierwszą w historiografii polskiej, źródłową, opartą na bogatym zasobie archiwaliów proveniencji radzieckiej próbą zarysowania obrazu Ukrainy w latach kolektywizacji i głodu. Monografia została napisana głównie na podstawie materiałów dwóch archiwów ukraińskich – Centralnyj Derżawnyj Archiw Hromadських Objednań Ukrainy w Kyjewi – CDA-HOU (dokumenty władz partyjnych) oraz Centralnyj Derżawnyj Archiw Wysszych Orhaniw Władzy i Uprawlinnia Ukrainy w Kyjewi – CDAWOWUU (dokumenty władz administracyjnych) Autorowi nie udało się dotrzeć do archiwów rosyjskich, wykorzystał jednak materiały publikowane w wydawnictwach źródłowych, co pozwoliło na odtworzenie względnie pełnego obrazu wydarzeń, w tym podejmowania decyzji na najwyższym szczeblu kierownictwa partyjnego i państwowego ZSRR. Kwerenda objęła znaczną liczbę tytułów prasy radzieckiej, ukraińskiej i światowej z lat 30. (65 gazet i czasopism). R. Kuśnierz sięgnął także do bogatej już literatury przedmiotu, przede wszystkim ukraińskiej, ale także rosyjskiej, amerykańskiej czy francuskiej.

W pierwszej części swojej monografii autor scharakteryzował sytuację na Ukrainie w latach dwudziestych, w okresie NEPu i realizacji polityki autochtonizacyjnej – „ukrainizacji” radzieckiej Ukrainy. W drugim rozdziale omówiona została kolektywizacja rolnictwa. R. Kuśnierz przedstawił przesłanki oraz przebieg kolektywizacji, pisząc m.in. o likwidacji „kułaków”, oporze chłopów, sytuacji kołchoźników w nowo tworzonych gospodarstwach spółdzielczych. Najbardziej rozbudowany jest rozdział III dotyczący Wielkiego Głodu. Autor poruszył w nim wiele wątków, nie sposób bowiem opisać Wielkiego Głodu nie wspominając o represjach, postanowieniach, które uniemożliwiały chłopom normalne istnienie, ograniczały możliwość poruszania się po kraju (paszporty

<sup>5</sup>W. Barka, *Żowtyj Kniaź*, „Dnipro” 1992, nr.8-9, s. 5-54, nr 10-11, s. 4-93; J. D. Bedzyk, *Gipsowa lalka*, „Dnipro” 1989, s.253; B. Onufrijenko, *Holod 1933*, Wilna Dumka, 1995, 8 żoźtnia; O. Terlecka, *Mołytwa za Ukrajinu*, „Ukr.Wisti”, 1983 6.XI, s.5 i in.

<sup>6</sup>Wymienić tu można C. Rajca, *Głód na Ukrainie*, Lublin 2005; R. Torzecki, *Wielki Głód na Ukrainie w latach 1931-1933*, „Warszawskie Zaszty Ukrainoznawcze” 1994, t.2, s.114-116 i in. Nie odtwarzają one jednak całego problemu, sygnalizując tylko poszczególne momenty.

wewnętrzne, dekret o ochronie mienia przedsiębiorstw państwowych, kołchozów, spółdzielni oraz wzmocnienie własności społecznej). Niezwykle wartościowym dopełnieniem i wzbogaceniem treści są tabele i zestawienia ukazujące np. wielkość kontyngentu zbożowego nałożonego na sektor rolny w 1932 roku w obwodach Ukrainy lub charakteryzujące czystkę aparatu kierowniczego 11420 kołchozów na Ukrainie. Dramatyzmu obrazowi Wielkiego Głodu przydają cytowane przez autora relacje i wspomnienia świadków, zaczerpnięte z dokumentów archiwalnych z epoki albo późniejszych publikacji prasowych. W kolejnym rozdziale R. Kuśnierz poruszył kwestię liczby ofiar głodu na Ukrainie. Poszczególni historycy i instytucje zajmujące się badaniami tego okresu podają bardzo różniące się między sobą szacunki. Wahają się one od co najmniej 2,5 mln do nawet 10 mln ofiar. Tak wielka różnica wynika z odmiennej metodologii obliczeń. Źródłem rozbieżności mogą być nawet kwestie terminologiczne i definicyjne – czy za ofiary należy uznać jedynie osoby zmarłe na skutek głodu i spowodowanych głodem chorób, czy także straty demograficzne pośrednie, czy i jak uwzględniać ujemne dla Ukrainy w tamtych latach saldo migracji? Jednym z następstw Wielkiego Głodu było m.in. podjęcie przez władze przesiedleń tak w granicach Ukrainy, jak i na inne obszary Związku Radzieckiego. W podrozdziale zatytułowanym „Przesiedlenia” przedstawiony został zarówno sam przebieg wysiedleń, ale także warunki, w jakich przyszło żyć chłopom w nowym miejscu osiedlenia.

Autor zajął się również kwestią reakcji opinii światowej wobec głodu. Informacje o głodzie, pomimo prób zatajania podejmowanych przez stronę radziecką, publikowane były w latach 30-tych w prasie amerykańskiej, angielskiej, francuskiej, polskiej, i emigracyjnej ukraińskiej. Ukraińskie organizacje za granicą urządzały protesty przeciwko polityce bolszewików (protesty takie odbyły się m.in. w Czechosłowacji, Bułgarii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Niemczech, Włoszech, Francji). Powstawały Komitety Ratunku Ukrainy, które prowadziły akcje na rzecz pomocy głodującym w ZSRR. Jak się wydaje ich możliwości skutecznej pomocy, były niewielkie, zwłaszcza w porównaniu do pomocy udzielonej ofiarom głodu w latach 20-tych.

Równocześnie z akcją kolektywizacji władze radzieckie nasiliły proces usuwania religii z życia codziennego ludzi (o czym jest następny rozdział książki), zaczynając od propagandy antyreligijnej polegającej m.in. na urządzaniu spotkań, wyświetlaniu filmów antyreligijnych, utrudnianiu obchodzenia Świąt Bożego Narodzenia i kończąc na bardziej drastycznych metodach, czyli burzeniu cerkwi, kościołów, prześladowaniu duchownych.<sup>7</sup> Represje te od roku 1933 przybrały charakter niemal powszechny. Wielki Głód – zdaniem R. Kuśnierza – nie był końcowym etapem na drodze niszczenia narodu ukraińskiego. Terror uderzał we wszystkie grupy społeczne, nie omijając ani chłopów i robotników, ani też inteligencji, polityków i duchownych. Lata 30. (głód, terror, represje) zapoczątkowały zdecydowany zwrot w polityce władz sowieckich, odejście od kursu ukrajinizacyjnego. Sygnałem do tego było podjęcie represji wobec ludzi, którzy zaangażowani byli w jego realizację w latach 20-tych. Ostatni rozdział pracy poświęcony jest aresztowaniom, które dotknęły osoby należące do wy-

<sup>7</sup> Obszerne fragmenty tego rozdziału zostały opublikowane w czasopiśmie „Więź” 2004, nr 6, s. 115-125.



krytych przez GPU, fikcyjnych struktur Związku Wyzwolenia Ukrainy, Ukraińskiego Centrum Narodowego czy Ukraińskiej Organizacji Wojskowej. Podejrzenia, a później oskarżenia i wyroki nie były oparte na żadnych konkretnych dowodach, poza wymuszonymi zeznaniami podsądnych. GPU na rozkaz Moskwy wymyślało istnienie różnych organizacji szpiegowskich, żeby mieć pretekst do aresztowania wielu czołowych osobistości życia ukraińskiego.

Książka zawiera aneks, w którym zostały zamieszczone reprodukcje fotografii, karykatur i plakatów z epoki. Zdjęcia i rysunki z prasy radzieckiej („Izwestia”, „Prawda”) przedstawiać mają „szczęśliwe życie kolchoźników”. Sąsiadują z nimi reprodukcje plakatów informujących o nabożeństwach w związku ze straszliwą sytuacją na Ukrainie lub o koncercie, dochód z którego będzie przekazany na rzecz głodujących na Ukrainie oraz zdjęcia (niestety bliżej nie opisane) ukazujące głodne dzieci, zmarłych na ulicach, rozkułaczoną rodzinę.

Praca Roberta Kuśnierza, wypełniając dotkliwą lukę w polskiej historiografii, w sposób wnikliwy, i dokładny przedstawiła okres kolektywizacji i kłeski głodu na Ukrainie na początku lat 30-tych XX w. Katastrofa „Wielkiego Głodu”, represje z lat 1937-1938 w znacznym stopniu zniszczyły ukraińskie życie duchowe. Przez kilka następnych dziesięcioleci ukraińskie życie narodowe niemal nie istniało. Wschód Ukrainy, zawsze związany blisko z Rosją, uległ tak daleko idącej rusyfikacji, że w szkołach średnich z powodów zdrowotnych można było dostać zwolnienie od nauki języka ukraińskiego. Korzeni takiej sytuacji trzeba szukać m.in. w latach 30-tych XX wieku.

Okres Wielkiego Głodu i niszczycielskiej polityki radzieckiej bez wątpienia zaważył na losach nie jednego pokolenia Ukraińców i był bardzo ważnym okresem w dziejach Ukrainy. Książka Roberta Kuśnierza z pewnością może być interesującą lekturą dla każdego, kto chciałby poznać bliżej jeden z najbardziej dramatycznych, jeśli nie najbardziej tragiczny moment w historii naszego wschodniego sąsiada. Praca ta pozwala jednak nie tylko na lepsze zrozumienie przeszłości, ale także i niektórych aktualnych ukraińskich problemów.

*Olga Solozobova*

- **K. Grenszak, J. Rossowski, *Księga Sybiraków, cz. I-III*, Warszawa 2006, s. 1532 (łącznie).**

Upłynęło niespełna pięć lat od dnia kiedy otrzymaliśmy wielką *Księgę Sybiraków* (2001) – pomnik pomników, jak trafnie nazwał to dzieło ówczesny prezes Związku Sybiraków Ryszard Reiff, księgę obejmującą historię Związku Sybiraków od czasu jego powstania w 1928 roku aż do krańcowej daty 2000 roku. Autorzy pierwszej edycji *Księgi* skupili się na ukazaniu historii, zadaniach i znaczących dla organizacji osiągnięciach. Brakowało jednak szczegółowego opisu osiągnięć z konieczności pominiętych w *Księdze Sybiraków*. Czytelnicy domagali się szerszego opisu działalności Związku w terenie, ich pracy „u podstaw” Zapadła więc decyzja o wydaniu *Księgi*, która obejmowałaby te obszary działalności, których zabrakło w pierwszym opracowaniu, limitowanym objętością. *Księga Sybiraków*, która ukazała się w 2006 roku, składa się z trzech oddzielnych tomów – części.

Cześć I zawiera opis działalności wszystkich Kół Związku Sybiraków od początku powstania do końca 2005 roku. Część II – to teksty wystąpień prezesa Ryszarda Reiffa w sprawach ważnych dla Związku. Część III – to prezentacja „znaków pamięci” nieujętych w *Księdze* z 2001 roku powstałych po 2000 roku. Nic i nikt nie został pominięty, wszystkie nawet te najmniejsze Koła znalazły swoje miejsce w *Księdze*. Przedstawione w układzie chronologicznym – data założenie Koła, pierwotny i aktualny skład Zarządu Koła, personalny skład pocztów sztandarowych, zbudowane znaki pamięci na obszarze ich działalności, osiągnięcia na polu propagandowym i charytatywnym.

Dzieło zostało wyposażone w indeksy – Kół Związku Sybiraków nazwisk i nazw geograficznych miejscowości wraz z numerowanymi znakami pamięci z *Księgi Sybiraków* wydanej w 2001 roku i osobny indeks „znaków pamięci” reprezentowanych w *Księdze Sybiraków* z 2006 roku. A wszystko to bogato ilustrowane – fotografie barwne – staranny druk i oprawa edytorska dokumentują działalność Związku Sybiraków, jednego z najliczniejszych tego rodzaju organizacji w Polsce.

Trzytomowa *Księga Sybiraków* jest kontynuacją *Księgi* wydanej w 2001 roku, nawiązuje więc bezpośrednio do poprzedniczki, przytaczając niektóre teksty tam opublikowane, w ten sposób czytelnik, który nie ma pierwszej *Księgi* ma szansę zapoznania się z jej treścią.

Irena Tańska

**Jerzy Gruszczyński, *Z Syberii do niepodległej Polski 1914-1921. Wybór dokumentów wojskowych i pocztowych*, Warszawa 2007, s. 243, ilustracje + mapy**

Jerzy Gruszczyński nie należy do postaci powszechnie znanych szerszemu kręgowi czytelników literatury historycznej, natomiast wśród filatelistów jest to nazwisko oplecione szeregiem pozytywnych skojarzeń – działacza z kręgu Polskiego Związku Filatelistycznego oraz człowieka o rzadkiej pasji dokumentowania polskiego czynu zbrojnego na Syberii z wykorzystaniem bogatych zbiorów filatelistycznych – znaczki pocztowe, karty korespondencyjne, datowniki itp. Przed paroma laty opublikował on bowiem książkę pt. *Polacy i Wojsko Polskie w północnej Rosji i na Syberii w latach I Wojny Światowej (1914-1918) oraz wojny polsko-sowieckiej (1919-1920)*, Warszawa 1999, która spotkała się z szerokim rezonansem przede wszystkim wśród historyków wojskowości i filatelistów w kraju oraz zagranicą.

Uwarunkowania i organizacja Wojska Polskiego w północnej Rosji i na Syberii w lecie 1918 roku są bowiem jedną z mniej znanych kart walki o niepodległą Polskę w latach I Wojny Światowej. Przeto należą się autorowi słowa podziękowania za to, że z niemałym trudem podjął się wzbogacić ten problem w oparciu o mało znaną i rzadko spotykaną dokumentację filatelistyczną pozyskiwaną od kolekcjonerów mieszkających w Polsce a także poza jej granicami, np. w Szwecji czy USA. Pozwoliłem sobie na wstępie zwrócić uwagę czytelnika tym „ukłonem” wobec autora prezentowanej tu książki, która powstała z jego żarliwej pasji i aktywności twórczej. W tym nowym przedsięwzięciu wydawniczym zaznaczyła się także w jakiś sposób zachęta czytelników, którzy znali

jego pierwszą książkę na ten temat. Przystępując do jej omówienia wspomnieć tu również należy, że w paru zeszytach pisma „Zesłaniec” ukazały się także teksty dokumentujące historię V Dywizji Strzelców Polskich (Syberyjskich), które spotkały się z żywym zainteresowaniem czytelników. Wnosić zatem należy, że i tym razem sięgną oni po najnowszą publikację J. Gruszczyńskiego dopełniająca ten wątek naszych dziejów w Rosji i jej syberyjskiej części. Oprócz tematyki *stricte* wojskowej przez treść książki przewija się wiele innych wątków polsko-syberyjskich jak np. los księży i alumnów Seminarium Duchownego Księży Jeżuitów w Chyrowie koło Sambora, których wojna rzuciła aż do dalekiego Tom-ska. Wspomina też autor Kazimierza Porębskiego organizatora szkolnictwa morskiego w Polsce, który przed odzyskaniem niepodległości służył w marynarce rosyjskiej i był jednym z oficerów na statku „Nowik”, biorącym udział w wojnie japońsko-rosyjskiej na początku XX wieku. Jest takich fragmentów więcej.

W sumie trzeba podkreślić, że jest to książka wartościowa i sumienna, a co też jest ważne, inspirująca do dalszych studiów nad tym tematem. Na jej treść składają się skrótko przedstawione dzieje Polaków na Syberii do 1917 r., Polaków w rosyjskich i japońskich obozach jenieckich, zagadnienia organizacji i uwarunkowań tworzenia się Wojska Polskiego w Rosji – np. Oddziału Polskiego w Murmanie, Legionu Polskiego w Finlandii, V Dywizji Strzelców Polskich (Syberyjskiej) oraz IV Dywizji Strzelców Polskich na Kubaniu, a także zagadnienia związane z wojną polsko-sowiecką w 1919–1920 roku. Autor nie ma ambicji historycznych ale częstuje czytelnika ogromem wiedzy, wprowadza go w ogólniejszą refleksję i skłania do tego by niektóre z tych złożonych wydarzeń były zapamiętane. Refleksje te potęgują się gdy czytamy na zamieszczonych w książce kartach pocztowych wysyłanych z obozów jenieckich w Rosji czy z oddziałów Wojska Polskiego różne informacje o ludzkich losach na polu walki, w szpitalach czy obozach jenieckich. Śmiało można powiedzieć, że właśnie te ilustracje, a jest ich wiele, ba nawet można powiedzieć ogrom stanowią ważne uzupełnienie tekstu. Rodzi się nawet wrażenie, że tekst jest formą wiązania wielu kontekstów wyłaniających się z tych ilustracji, do których należą znaczki pocztowe, pieczęcie, pocztówki, zdjęcia żołnierzy i oficerów, karty poborowe, pokwitowania na rzecz pomocy dla ofiar wojny, zdjęcia widoków Syberii, karty do korespondencji wojskowej, listy prywatne i urzędowe, widoki miast, zdjęcia poległych i pomordowanych przez bolszewików żołnierzy polskich, stemple poczty polowej, winiety gazety „Żołnierz Polski we Wschodniej Rosji” i wielość innych. Wszystkie one są dokumentami oddającymi złożoność drogi z Syberii do niepodległej Polski w latach 1914-1921. Złożoność ta przedstawiona też została na 8 kolorowych mapach, niezmiernie starannie wykonanych i załączonych do książki w specjalnej obwolucie. Wiele zatem przemawia za uznaniem tematu tej książki za niezwykle ważny i należy pogratulować J. Gruszczyńskiemu tego przedsięwzięcia edytorskiego, które z całą pewnością spotka się z zainteresowaniem czytelników.

*Bronisław Przesmycki*

- **Antoni Lenkiewicz, *Polskie wzmaganie z Rosją sowiecką 1939-1989*, t. 1, 1939-1940, Wrocław 2007, s. 100.**

W podręcznikach szkolnych oraz książkach dotyczących relacji polsko-sowieckich w okresie drugiej wojny światowej faktografia w tego zakresu do-

tyczy spraw najbardziej spektakularnych. Tymczasem stosunki te obfitowały w wiele wydarzeń, które we wspomnianych wyżej publikacjach nie znalazły miejsca ze względu na ich zdawałoby się mniej ważny charakter w kontekście globalnym. Autor prezentowanej tu książki zadał sobie wręcz benedyktyński trud zestawiania „polskich zmagania z Rosją sowiecką” od 1 września 1939 do grudnia 1940 roku. Zapowiada ich kontynuację podkreślając, iż z powodów wydawniczych wydarzenia te będą przedstawiane w kolejnych tomach.

Wykaz ten zawiera 457 wydarzeń opatrzonych dziennymi datami, dotyczących szerokiego spektrum „zmagania” jakie miały miejsce w tym okresie. Oczywiście, że czytelnicy „Zesłańca” znajdą w niej także informacje dotyczące zesłań i deportacji, które dotknęły Polaków w tych pierwszych miesiącach wojny. A oto jedna z nich: „9 i 10-II. Władze sowieckie przeprowadziły na wcielonych do ZSRR ziemiach II RP pierwszą masową deportację ludności. Ogółem deportowano ok. 220-250 tys. osób (według zaniżonych danych NKWD – ok. 140 tys.) Akcję wysiedleńczą rozpoczęto w nocy, przy 40-stopniowym mrozie i w asyście uzbrojonych funkcjonariuszy NKWD.

Deportowani mieli od 15 minut do 2 godzin na spakowanie i przygotowanie do wyjazdu. Saniami lub furmankami zawieziono ich do wyznaczonej stacji kolejowej, gdzie oczekiwali na odjazd w wagonach kolejowych z okratowanymi oknami. Z powodu silnego mrozu w trakcie transportu i postojów dochodziło do częstych odmrożeń i zgonów, zwłaszcza wśród dzieci, osób starszych i chorych.” Autor rejestruje też deportacje przypadające na rok 1940 oraz podaje różne ludzkie dramaty z tym związane.

Wielość wydarzeń odnotowanych w książce tworzy w sporej części listę tematów do obszerniejszych opracowań historycznych – np. prac magisterskich, doktorskich czy habilitacyjnych, wreszcie do problemowych monografii, jakich stanowczo za mało na naszym skomercjalizowanym rynku księgarskim. Wprawdzie książka stawia sobie jasno sprecyzowane ujęcie kronikarskie, pozwala jednak ona na wysunięcie pewnych ogólniejszych wniosków podkreślających istnienie pilnej potrzeby pełniejszych ujęć historycznych z tego zakresu.

Książkę uzupełnia bogata bibliografia stanowiąca nieraz uzupełnienie odnotowanych w niej wydarzeń. Do sięgnięcia po jej lekturę zachęcamy przede wszystkim nauczycieli historii, przekonani o jej przydatności w zajęciach dydaktycznych. Ponadto odnotowane w książce wydarzenia z całą pewnością „przyczynią się do poszerzenia wiedzy młodych pokoleń Polaków o tragicznych losach naszego państwa i Narodu.” Ograniczenia z jakimi często spotykamy się w obiegu informacji o ukazujących się książkach skłaniają mnie do podania kontaktu z wydawcą, który realizuje zamówienia na tę przydatną w procesie edukacyjnym publikację: e-mail: [gazetapolska@poczta.onet.pl](mailto:gazetapolska@poczta.onet.pl)

*Bronisław Przesmycki*

- **Romuald Warakomski, *Wileńskie dramaty w czasie wojny i w PRL. Kormórka Legalizacyjna Sztabu Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej w latach 1939-1947*, Krzeszowice 2006, s. 256.**

Akurat w tym czasie gdy Kościół polski zdecydował się na głośne mówienie o tym, że wśród jego struktur w okresie Polski Ludowej znaleźli się lu-

dzie, którzy współpracowali z komunistyczną służbą bezpieczeństwa ukazała się prezentowana tu książka, wydawałoby się tematycznie bardzo odległa od tej problematyki. Tak też jest istotnie, ale pewne jej fragmenty wskazują na inwigilację, rzecz można także od wewnątrz, zakonu Karmelitów Bosych w Czernej. To właśnie tutaj po powrocie z zesłania po powstaniu styczniowym Józef Kalinowski był przeorem. Papież Jan Paweł II kanonizował go w 1991 roku, a sybiryacy uczynili swoim patronem.

W klasztorze tym po wojnie znalazł się Romuald Warakomski, jedna z czołowych postaci Komórki Legalizacyjnej Sztabu Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej w latach 1939-1947. Obawiając się aresztowania przez organa bezpieczeństwa PRL wstąpił on wiosną 1947 r. do Zgromadzenia Zakonnego Karmelitów Bosych w Czernej opodal Krakowa. Ukrył się pod nazwiskiem Roman Wojnicz i obrał imię zakonne „Marian od Najświętszego Serca Jezusa”. Było to już w tym czasie gdy wszechwładna „bezpieka” w ramach tzw. „Akcji X” rozpracowywała i likwidowała członków wileńskiej konspiracji, z których część była wcześniej aresztowana przez NKWD i znalazła się w sowieckich łagrach. Te dwa wątki zostały omówione w książce przez Piotra Niwińskiego z Instytutu Pamięci Narodowej w Gdańsku, w obszernym i kompetentnym opracowaniu pt. *Okręg Wileński Armii Krajowej w okresie od września 1939 do lipca 1948* (s. 8-36) oraz przez Annę Kubajak w szkicu zatytułowanym *Pod kontrolą Służby Bezpieczeństwa – lata powojenne* (s. 216-247).

Oba teksty pokazują nieszczęścia byłych żołnierzy AK przeciwko którym połączyły się złe moce powojennej polityki i historii. Są one też widzeniem losu tych ludzi, ich dramatów i nieszczęść. Pozostańmy więc na moment w kręgu spraw zakonnych ojca „Mariana od Najświętszego Serca Jezusa”, który poddany był również inwigilacji Urzędu Bezpieczeństwa w Krakowie nie podejrzewającego pierwotnie, że to właśnie on był poszukiwanym przez bezpiekę R. Warakomskim. Po pewnym czasie uznano nawet że „dalsze prowadzenie” go jest niecelowe, aż do chwili gdy o. Marian został przeorem klasztoru w Krakowie. Stał się więc osobą, która z racji ten funkcji ponownie znalazła się w kręgu zainteresowań bezpieki. Autorka tego nowego konspiracyjnego życiorysu ojca przeora oraz rozszyfrowanego pod koniec lat pięćdziesiątych przez bezpiekę faktu, że to on jest owym żołnierzem AK z Wilna R. Warakomskim dotarła do materiałów SB zgromadzonych w Instytucie Pamięci Narodowej w Krakowie o łącznej objętości 1384 strony. Wynika z nich, że w 1957 r. krakowska Służba Bezpieczeństwa poprzez agenta, zakonnika karmelitę bosego o pseudonimie „Satyr” (dzisiaj nie zidentyfikowanego), dowiedziała się kim jest przeor o. Marian. Z materiałów tych wynikało, że „ks. zak. Karmelitów Bosych o. Wojnicz Roman im. zakonne „Marian” pełniący obecnie funkcję przeora w klasztorze OO. Karmelitów Bosych w Krakowie, ma wg słów inf. „Satyr” ukrywać się pod przybranym nazwiskiem.” Był to już jednak czas popaździernikowej odwilży politycznej i uwięzienie go za działalność w Armii Krajowej było raczej nie wskazane. Podjęto jednak stosowne kroki dotyczące dalszego rozpracowania o. Romana Wojnicza, a rezultaty tej inwigilacji i różne wątki z nią związane znajdzie czytelnik we wspomnianym tekście A. Kubajak, stanowiącym integralną część omawianej książki. Jego autorka patrzy na te nieszczęścia z pozycji dokumentalisty, referując dokładnie przedsięwzięte wówczas formy inwigilacji Kościoła i zgromadzeń zakonnych. Cytaty z raportów donosicieli i służb bezpie-

czeństwa, wplecione w wątek narracji, informują o tamtejszych wydarzeniach owego czasu na rozdrożach.

Co do zasadniczej części książki, którą są wspomnienia R. Warakomskiego, to zgodzić się należy z P. Niwińskim, autorem *Wprowadzenia*, że jest to wartościowe kompendium wiedzy o Komórcie Legalizacji AK w Wilnie, którą bez skutku tropiły najlepsze wywiady świata – Abwera i NKWD. Wspomnienia te spisywał o. Marian w latach 60. i 70. ubiegłego wieku i ostatecznie zakończył pisanie w 1975 r. Oparł je na własnej wiedzy i przeżyciach, a wiele opisywanych przez niego wydarzeń znajduje potwierdzenie w innych opracowaniach autorstwa ludzi zajmujących się wileńską konspiracją czasu wojny.

Zaletą wspomnień jest żywy tok narracji oddający wiernie obraz życia w Wilnie w czasie wojny, pełen realiów dotyczących konspiracyjnej działalności i normalnego codziennego bytowania, gdy trzeba było zmagać się z litewskimi nacjonalistami, sowietami i niemieckim okupantem. Rejestr przedstawionych w nich spraw jest wielowątkowy: bo oto poznajemy zasady pracy legalizacyjnej, spotykamy się z ludźmi, którzy ją wykonywali, poznajemy ich niepokoje i solidarne wspieranie się w nieszczęściach. Autor pisze też o wyzwaniu Ziemi Wileńskiej spod okupacji niemieckiej, znanej pod kryptonimem „Ostra Brama” oraz o tragedii żołnierzy AK, którzy zdradzeni przez sowietów byli rozbijani i wywożeni na Syberię.

Ogrom materiału i różnorodność wątków, jakie niesie z sobą treść wspomnień czynią z nich lekturę zajmującą i dodajmy zaraz wielce pożyteczną dla historyków. Autor stroni od ocen i po prostu dzieli się swoimi doświadczeniami mając przekonanie, że trzeba było o tym napisać, bo gdzieś i kiedyś wspomnienia te mogą okazać się komuś przydatne. Pożyteczna to lektura dla piszącej ten tekst, która czas wojny zna lepiej z doświadczeń rodziców aniżeli z podręczników szkolnych i głównie chyba dlatego polecam tę książkę moim rówieśnikom, by mieli możliwość obcowania z autentycznie patriotyczną atmosferą lat wojny i pogardy dla ludzkich istnień, jaką niósł ze sobą totalitaryzm wrogów. To dobrze, że wspomnienia te ukazały się drukiem, a kto ciekaw dlaczego niech sięgnie do ich lektury!

*Joanna Maria Kuczyńska*

